cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #184 10/2021

Piotr Lisiewicz
NAJBARDZIEJ ZADZIORNY KOGUT II RP

Tomasz Panfil
KOP – NA STRAŻY POLSKICH GRANIC

Agnieszka Kowalczyk
ROWEREM PRZEZ AFRYKĘ

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



Rozmowa z **Antonim Macierewiczem**

ROSJA UWAŻA POLSKĘ ZA NAJWIĘKSZE ZAGROŻENIE W EUROPIE

FOT. KRZYSZTOF SITKOWSKI/GAZETA POLSKA

ISSN 1895-4960

eprasa.pl c3ea528a8b

TEMAT NUMERU 4–17



Rosja uważa Polską za największe zagrożenie w Europie / 4

KRAJ 18–31



Syn poczekał na Matkę / 18

IDEE 32–47



Dlaczego elity intelektualne tak bardzo nienawidzą... / 32

HISTORIA 48–69



Najbardziej zadziorny Kogut II RP / 48

ŚWIAT 76–97



Landszaft po bitwie, landszaft przed bitwą / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Z Antonim Macierewiczem rozmawiają Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz
Rosja uważa Polską za największe zagrożenie w Europie /4

Grzegorz Wierzchołowski
Remont, wybuch, zdrada. Co zawiera końcowy raport smoleński /14

Ryszard Czarnecki
Chcę sensacyjnego filmu o śledztwie „smoleńskim” /17

KRAJ

Stefan Czerniecki
Syn poczekał na Matkę /18

Z prof. Zbigniewem Krysiakiem rozmawia Grzegorz Wszołek
Jesteśmy członkiem UE, a nie jej kolonią /26

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Dlaczego elity intelektualne tak bardzo nienawidzą własnej wspólnoty /32

Małgorzata Matuszak
No gender – no problems? /38

Ewa Polak-Pałkiewicz
Pierwsze Damy /42

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Najbardziej zadziorny Kogut II RP /48

Tomasz Panfil
Na straży polskich granic /54

Dariusz Jarosiński
Z pamiętnika Idalii Żyłowskiej /58

Agnieszka Kowalczyk
Rowerem przez Afrykę /64

ŚWIAT

Olga Doleśniak-Harczuk
Landszaft po bitwie, landszaft przed bitwą /76

Antoni Rybczyński
Putin i taktyka salami /81

Hanna Shen
Tajwański rabin – przyjaciel Polski /86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
Kontrowersyjna „Zgoda”. 80 lat temu
Londyn i Moskwa podzieliły Iran /94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Historia i interesy
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Kim jest... osoba
KATECHIZM INTELIGENTA 41



Krzysztof Wołodźko
Prawda i gorycz
DZIENNIK LEKTUR 70



Marek Kalinowski
Daleko od metalu
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 74



Ryszard Czarnecki
Polskie DNA i sąsiedzi ze Wschodu i Zachodu
CZARNECKO TO WIDZĘ 75



Olga Doleśniak-Harczuk
Gadżety z wyborczego Berlina
Z GLOBALNEGO TYGLA 90



Marcin Wolski
Klątwa Smoleńska
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Dlaczego PO jest tak agresywna
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl c3ea528a8b



Katarzyna Gójska

Historia i interesy

Uświadomienie Polakom prawdziwego przebiegu tragedii, która wydarzyła się nad Smoleńskiem, jest dziejową koniecznością. To nasza misja. Bezpieczeństwo Polski zależy w ogromnej mierze od tego, czy nasi współrodacy będą mieli świadomość realności zagrożenia, jakim jest rządzona przez Putina Federacja Rosyjska, oraz bezwzględności, z jaką potrafi ona siać dezinformację.

W najnowszym numerze naszego miesięcznika publikujemy niezwykłą rozmowę z Antonim Macierewiczem. Rozmówca sam ocenił ją jako najważniejszą w swoim życiu. Zdecydował o tym bez wątpienia temat – okoliczności przed zamachem smoleńskim i po nim. Celowo skupiamy się bowiem na nich, a nie na kwestiach technicznych, gdyż po przyjęciu raportu z prac Podkomisji uznajemy je za wyjaśnione, zbadane i opisane. Nie ma dziś już żadnych wątpliwości, że podczas lotu polskiego samolotu rządowego z delegacją pod przewodnictwem śp. Pana Prezydenta Lecha Kaczyńskiego doszło do wybuchów. Śmierć naszych rodaków jest efektem zbrodni. Zbrodni, której dopuścili się Rosjanie, do której by nie doszło bez wsparcia z Polski. Podczas rozmowy z Antonim Macierewiczem chcieliśmy podjąć próbę rekonstrukcji zdarzeń politycznych umożliwiających skuteczne przeprowadzenie ataku, ale także jego propagandowe zmanipulowanie. Fragment wywiadu opublikował wcześniej tygodnik „Gazeta Polska", w tym numerze „Nowego Państwa" prezentujemy całą rozmowę.

Trzeba mieć jednak świadomość, że Raport nie kończy sprawy. On tak naprawdę daje dopiero podstawy do rozpoczęcia walki o prawdę o przyczynach Smoleńska. Pamięć o Ofiarach jest konieczna, ale niewystarczająca. Comiesięczne Msze święte w Ich intencji, pomniki, uroczystości rocznicowe winny stać się współczesną polską tradycją. Jednak zupełnie kluczowe jest dotarcie z wiedzą o 10 kwietnia 2010 roku do polskiej i międzynarodowej opinii publicznej. Wspierana przez rząd Donalda Tuska propaganda moskiewska wyrządziła wiele zła – bo kłamstwo, szczególnie takiego kalibru, jest złem, a wręcz kolejną zbrodnią. Uświadomienie Polakom prawdziwego przebiegu tragedii, która wydarzyła się nad Smoleńskiem, jest dziejową koniecznością. To nasza misja. Bezpieczeństwo Polski zależy w ogromnej mierze od tego, czy nasi współrodacy będą mieli świadomość realności zagrożenia, jakim jest rządzona przez Putina Federacja Rosyjska, oraz bezwzględności, z jaką potrafi ona siać dezinformację. Wydarzenia ostatnich miesięcy pokazują, że znaczna część

> Atakowanie służb Rzeczypospolitej za konsekwentną obronę naszej wschodniej granicy to nic innego jak wyszydzanie czy ataki na ludzi domagających się przez całe lata prawdy o śmierci polskiej delegacji.

polskich mediów – dokładnie tak jak 10 kwietnia 2010 roku i później – działa tak, jakby była elementem kremlowskiej maszyny kłamstwa. Atakowanie służb Rzeczypospolitej za konsekwentną obronę naszej wschodniej granicy to nic innego jak wyszydzanie czy ataki na ludzi domagających się przez całe lata prawdy o śmierci polskiej delegacji. W ogromnej mierze dotyczy to zarówno tych samych tytułów i redakcji, jak i tych samych nazwisk. Ci sami ludzie, którzy bezwstydnie rozpowszechniali moskiewskie kłamstwa na temat śp. Prezydenta czy śp. Generała Błasika, dziś atakują fałszem żołnierzy i Straż Graniczną. Fałszem pisanym cyrylicą..

eprasa.pl c3ea528a8b

Katarzyna Gójska


Piotr Lisiewicz


Rosja uważa Polskę za największe zagrożenie w Europie

Smoleńsk powinien być wielkim wstrząsem, pokazującym nam, że żyliśmy wówczas w państwie agenturalnym. Z aparatem państwowym, który zdecydował się działać na rzecz zabójców prezydenta i polskiej elity narodowej. A także na rzecz likwidacji polskiej niepodległości. Ale równocześnie Smoleńsk zainicjował wielkie odrodzenie polskiego patriotyzmu. Reakcja młodzieży i szerokich grup społeczeństwa na to, co się stało, była taka, jak zawsze w historii były reakcje Polaków na zamach na naszą niepodległość. To był moment wielkiego przełomu. Podjęcia decyzji, że naród polski chce być niepodległy i że Polska ma istnieć wbrew tak straszliwym działaniom nakierowanym na jej zniszczenie – z ANTONIM MACIEREWICZEM rozmawiają KATARZYNA GÓJSKA I PIOTR LISIEWICZ.



fot. Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska

prasa.pl

W 2011 roku w „Gazecie Polskiej" ukazał się tekst, w którym analizując 35 morderstw przeciwników Putina i rosyjskiej władzy, głównie dziennikarzy, wskazaliśmy, że Rosja nic nowego w przypadku tuszowania Smoleńska nie wymyśliła. Zastosowała te same kalki, których używała wielokrotnie. Zabity Siergiej Protazanow, dziennikarz gazety „Porozumienie Obywatelskie", był, zdaniem milicji, pijany niczym gen. Andrzej Błasik. Przypadek kpt. Arkadiusza Protasiuka, u którego MAK stwierdził „przewagę konformizmu w cechach charakteru", to tylko złagodzona wersja potraktowania dziennikarza Iwana Safronowa. Śledczy uznali, że jego śmierć była „wynikiem skłonności samobójczych", których nigdy nie zauważyła jego rodzina. Redaktora Magomeda Jewłojewa zgubiła z kolei – niemal polska – brawura, przez którą przypadkiem został postrzelony w głowę. Kiedy mordercy odwiedzili reportera Ilję Zimina, który w nocy wrócił z klubu, akurat popsuł się monitoring w budynku, gdzie mieszkał – równie kiepski jak radar w Smoleńsku. Rodzinie otrutego dziennikarza śledczego Jurija Szczekoczichina, podobnie jak rodzinom ofiar Smoleńska, odmawiano dokumentów z sekcji zwłok. Potem okazało się, że opisana przyczyna śmierci to „syndrom alergiczny wywołany czynnikiem zewnętrznym". To chyba i tak konkretniej niż „uraz wielonarządowy" w przypadku ofiar Smoleńska. A jeśli polityk zginie w katastrofie lotniczej? Ten wariant MAK przećwiczył już na gen. Lebiedziu. Winne są pilot i mgła, a także naciski ważnych osób na pokładzie (raport z 2002 roku). Jak postawiona przez nas 10 lat temu teza ma się do wiedzy z Raportu Podkomisji, powstałego w 2021 roku?

Zgadzam się z tą tezą, badając katastrofę zyskiwaliśmy nowe jej potwierdzenia. Zasadnicza różnica polegała na skali wydarzenia. Tu nie chodziło o jednego człowieka, a o niemal sto osób. To wydarzenie o znaczeniu międzynarodowym. Dlatego, by skoordynować tuszowanie sprawców, trzeba było uruchomić całą agenturę wpływu oraz operacyjną i medialną. Nie tylko w Polsce, lecz także w Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii, we Francji, niemal w całym świecie zachodnim. Opisane przez państwa schematy tuszowania zbrodni były w użyciu, ale z powodu skali stosowane były wobec konkretnych, wytypowanych osób, które miały stać się według reżysera tego spektaklu symbolami określonych postaw. Prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu, generałowi Andrzejowi Błasikowi, pilotowi Arkadiuszowi Protasiukowi przypisano określone cechy, by nadać wiarygodność kłamstwu. Wystarczy, że wbijemy w świadomość narodową, że prezydent Kaczyński chciał za wszelką cenę wymusić na pilotach lądowanie, a oni się bali, ponieważ pamiętali sprawę gruzińską. Czyli narzucane są widzowi obrazki mające zaspokoić jego ciekawość: wymuszający uległość polityk, pijany generał (pamiętacie takich z czasów służby w wojsku za komuny, nieprawdaż?), zastraszony podwładny. A do tego od samego początku media rosyjskie, a za nimi polskie powtarzały kluczowe kłamstwa: winni piloci, zeszli zbyt nisko, uderzyli w drzewa (drzewo!). I wszystko jasne. Ta metoda dezinformacji służyła temu, by nikt nie wymagał od władzy czegoś tak oczywistego, jak normalne śledztwo, solidne badanie wszystkich dowodów, ustalanie przyczyn śmierci każdej z osób. To jest wręcz nieprawdopodobne, jak komisja Millera przechodziła nad poszczególnymi faktami i niechcianymi analizami do porządku dziennego.

Jakie to były fakty?

Oni nawet nie sprawdzili rosyjskiego kodeksu postępowania karnego ani ustawy lotniczej, w odniesieniu do tego, jakie są obowiązki poszczególnych służb w przypadku katastrofy. Ustawa bardzo precyzyjnie formułuje, że poza ratowaniem życia ludzkiego do czasu przybycia komisji państwowej badającej katastrofę nic nie wolno ruszać. Nic. A tutaj po 40 minutach oświadczono, że wszyscy nie żyją. A dotyczyło to 96 osób! Większości z nich w ogóle jeszcze nie znaleziono. Ciało Pana Prezydenta znaleziono po sześciu godzinach. Ale już po 40 minutach ogłoszono, że wszyscy nie żyją. I media polskie to przyjęły, powtarzały, podobnie jak polscy urzędnicy.

Jak wpłynęło to na możliwość ustalenia winnych?

Jest pewna metodologia działania rosyjskiego, z którą zapoznałem się długo przed Smoleńskiem, ale w Smoleńsku była widoczna i miała bardzo poważne konsekwencje. Pierwszy etap działań rosyjskich po zbrodni to czas, w którym czynności podejmuje wielu ludzi względnie profesjonalnych i nieświadomych, którzy wypełniają swoje zadania zgodnie z prawem. Dopiero drugi etap to fałszowanie i niszczenie dowodów zgodnie z ustaloną interpretacją wydarzenia. A trzeci etap to dezinformacja. Dlatego tak ważne są pierwsze godziny i dni. Jak się dotrze do pierwszych świadków i ich wiedzy, to ona jest względnie uczciwa. Oczywiście bywa też inaczej, ale to z tego czasu pochodzi największy wsad prawdy do śledztwa.

Jaka jest nasza wiedza na temat tego, czy ktoś mógł przeżyć w Smoleńsku po powstaniu raportu?

Ten stan wiedzy jest duży i wręcz dramatyczny. Są zeznania dwóch konsulów, którzy otrzymali tę wiedzę od sanitariuszy rosyjskich. Przekazali ją do kraju. Jeden z nich otrzymał polecenie, żeby natychmiast pójść sprawdzić, do którego ze szpitali odwieziono te ranne osoby. I odpowie-

eprasa.pl c3ea528a8b

dział, że się boi. Powstrzymał się świadomie przed wykonaniem tego, co było jego obowiązkiem. To nie jest wymysł ani pomyłka. To jest oficjalna informacja służb państwa polskiego.

▶ Chcemy zapytać o jeszcze jedną stawianą przez „Gazetę Polską" tezę: że celem Smoleńska nie było tylko zabicie prezydenta czy uderzenie w Polskę, lecz w aspiracje państw całej Europy Środkowo-Wschodniej. Józef Mackiewicz w powieści „Kontra" opisywał, jak żołnierze narodów ze Wschodu Europy wydawani byli (po wojnie!) przez cywilizowanych Brytyjczyków Sowietom. A w 2008 roku przełamany został ten fatalizm opisany przez Mackiewicza: ta gorsza Europa pierwszy raz od wojny pokazała, że już gorsza nie jest, bo potrafi wspólnie wystąpić w obronie Gruzji. Zamach w Smoleńsku był potrzebny Rosji po to, by pokazać tym państwom, że nadal są posowieckim bantustanem. Bo my możemy zamordować prezydenta kraju, który stał się liderem regionu. I jego rodacy nic z tym nie zrobią. Nic nie zrobi też UE czy NATO, jakby Jałta wciąż obowiązywała. To znaczy, że nadal jesteście postsowieckimi bantustanami. Polszy niet.

W pełni zgadzam się i z tą tezą. A nawet poszedłbym dalej. Oczywiście chodziło o uderzenie w czołowe państwo Europy Środkowej, które pod kierownictwem Pana Prezydenta Lecha Kaczyńskiego rozpoczęło proces odbudowy niepodległości i tworzenia gwarancji dla państw, które Rosja straciła w roku 1989. A może dokładniej: które oddała, licząc na to, że je odzyska w procesie dezorganizacji i przekształceń UE, co dobrze rozumiemy z dzisiejszej perspektywy. W tym sensie polityka Lecha Kaczyńskiego blokowała proces, który zaczął się w czasie pieriestrojki. Kluczowym momentem polityki polskiego Prezydenta, sygnałem, który Moskwa zarejestrowała jako najistotniejszy, był proponowany przez Kaczyńskiego na szczycie bukaresztańskim NATO w 2008 roku wniosek o włączenie Gruzji i Ukrainy do Sojuszu. Opinie, użyjmy tego eufemistycznego określenia, które napływały do Polski z Rosji, jednoznacznie mówiły, że Putin postrzega odradzającą się Polskę jako największe zagrożenie dla Rosji w Europie. I to jest bardzo ważne: Rosja, uważając Polskę za największe zagrożenie, równocześnie uprawia propagandę, która ma przedstawić Polskę jako nic nieznaczące i lekceważone przez nich państwo.

▶ Kto zna historię Polski choćby z czasów zaborów, wie, że Rosja często ukrywała kompleks wobec Polski, poniżając ją, mówiąc, że nic nie znaczy.

W rzeczywistości było i jest odwrotnie. Politycy rosyjscy postrzegają do dziś politykę PiS jako taką, która może realnie zagrozić ich imperialnym dążeniom. To był fundament ich działania.

▶ Kluczowe wydaje się to jedno słowo: realnie. Krytyka Putina w środowisku „Gazety Wyborczej" była dozwolona. Nagradzany był przez „GW" Siergiej Kowaliow, jako dobry Rosjanin. Wolno było zamieszczać informacje o jakichś zbrodniach w Czeczenii. Środowisko „GW" zawsze deklaratywnie pochylało się nad ofiarami, ale nigdy nie skutkowało to politycznymi czynami. Natomiast gdy ze strony polskiego prezydenta pojawiły się te czyny, tak jak w Gruzji, ton zmienił się o 180 stopni, zaczęto na łamach „GW" potępiać rusofobię.

To jest trafny opis. Ale wydaje mi się, że przyczyna tego była głębsza. Faktycznym celem polityki „GW", Tuska, Sikorskiego czy PO jest trwałe związanie Polski z Niemcami. Ich prorosyjskość jest funkcją polityki niemieckiej. A Niemcy chcą widzieć Polskę jako swoisty kanał przepływu, łącznik między Niemcami a Rosją. Chcą zlikwidować potencjał Polski jako kraju, który jest w stanie budować taką Europę Środkową, która utrwaliłaby niepodległość tych państw i oddaliła zagrożenie dla Europy wynikające z sojuszu rosyjsko-niemieckiego. Dlatego, mimo że te słowa padają, czynów nie ma. Czyny działają na rzecz Niemiec, które są prawdziwym sponsorem tej polityki. Dla tego scenariusza zagrożenie stanowią Polska i USA. Dlatego eliminowanie ich wpływów z naszego regionu jest rosyjskim i niemieckim celem.

▶ Jakie okoliczności sprawiły, że możliwe było przeprowadzenie zamachu?

W mojej ocenie kluczowe są dwie okoliczności tego dramatu. Pierwsza to powierzenie remontu obu naszych Tu-154 rosyjskiemu Awiakorowi, firmie Olega Deripaski, przyjaciela Putina. Przypominam, iż w wymiarze międzynarodowym ten człowiek był traktowany jako zagrożenie bezpieczeństwa Zachodu. Amerykanie nie wpuszczali go na swoje terytorium. Oba tupolewy zostały po prostu przekazane rosyjskim służbom i decydenci musieli mieć tego pełną świadomość. Gdyby gdziekolwiek na Zachodzie zapytano, czy reprezentowany przez Deripaskę Awiakor daje gwarancję bezpieczeństwa i jest firmą godną zaufania, odpowiedź bez wątpienia byłaby negatywna. Tymczasem służby podległe premierowi Tuskowi, reprezentowane przez funkcjonariusza pracującego jeszcze w WSI, uznały, że jest odwrotnie. Dokonanie wyboru podmiotu przeprowadzającego remont i wybór firm pośredniczących w tym przedsięwzięciu z punktu widzenia przebiegu wydarzeń z 10 kwietnia 2010 roku był kluczowy. Był kamieniem węgielnym tego dramatu. Bez tego tragedii nad Smoleńskiem najpewniej by nie było.

eprasa.pl c3ea528a8b

▶ Zadamy to pytanie, choć odpowiedź wydaje się oczywista. Ale chcemy, by ona w tej rozmowie wybrzmiała. Czy polskie służby mogły nie mieć wiedzy na temat Awiakoru i firm pośredniczących?

To nie jest możliwe. Nie mam cienia wątpliwości, że doskonale znały powiązania firmy Deripaski oraz Polit Elektronik i MAW Telekom, czyli pośredników. Jest dla mnie także oczywiste, że miały informacje dotyczące powiązania tego ostatniego podmiotu ze służbami sowieckimi, sięgające czasów komunistycznych. Zakres tych powiązań pokazuje specjalny załącznik do Raportu. Trzeba też pamiętać, że ostateczną decyzję przesądzającą, jakie firmy będą realizować remont i jakie będą pośredniczyły, podjęła specjalna instytucja rosyjska kierowana przez byłych funkcjonariuszy wywiadu. I minister Bogdan Klich zgodził się na to.

▶ Czy podczas procedury wyboru podmiotu serwisującego rządowe tupolewy ktokolwiek ze szczytów władzy wyraził choćby wątpliwość dotyczącą Awiakoru i pośredników?

Tak, był to minister Aleksander Grad. To on był autorem pisma do ministra obrony narodowej Bogdana Klicha, w którym przestrzegał, że oddanie samolotów tej firmie zagraża bezpieczeństwu najważniejszych osób w państwie. Podkomisja dysponuje tym dokumentem, stanowi on załącznik do Raportu. Także Bumar przestrzegał przed wyborem Awiakoru i pośredników. Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym powiedzieć. Otóż ówczesny szef MON, dziś senator, pan Bogdan Klich, zastrzegł, że remont maszyn rządowych nie może objąć systemów zabezpieczenia przez atakami zewnętrznymi, które rekomendował pan generał Andrzej Błasik.

▶ Przed czym chronią te systemy?

Choćby przed wystrzelonymi w kierunku samolotu rakietami. Ale zakres działania takich systemów jest zróżnicowany w zależności od zamówienia.

▶ Czy podał powód swojej decyzji?

Podobno dlatego, iż chciał oszczędzać wydatki na remont. Warto jednak dodać, iż do redukcji kosztów najwyraźniej nie był silnie przywiązany, bo gdy Polit Elektronik zwiększył cenę remontu o 50 proc., to Klich żądanie zaakceptował.

▶ Spróbujmy zatem zrekonstruować przebieg zdarzeń: minister Klich dostaje ostrzeżenie od ministra Grada, na jego biurko trafia także pismo Bumaru. Jakie podejmuje decyzje?

Na pewno zwrócił się z zapytaniami do służb. Te podeszły do wyboru firmy remontującej niemal entuzjastycznie. Choć jedna z nich sygnalizowała sceptycyzm, ale nie sprzeciw. Sugerowano nierzetelność Awiakoru.

▶ Czy ładunki wybuchowe były do odnalezienia po powrocie Tu-154 z remontu? Nie sprawdzano, czy nie dałoby się ich wykryć?

On był umiejscowiony w takich częściach samolotu, które nie są nigdy sprawdzane, nie są dostępne. Tych części się nie rozkręca, nie otwiera, nie weryfikuje. Nie było takiej instrukcji, a powinna być, w naszym raporcie wskazujemy, że powinna ona obejmować cały samolot, a nie tylko górną, pasażerską część. Powinien być sprawdzany także cały przedział dolny. Gdyby go sprawdzono z psami, to być może ten materiał w lewym centropłacie dolnym mógłby zostać wykryty. O tyle nie jest to pewne, że on znajdował się w miejscach, gdzie był zanurzony w paliwie, więc być może psy czy urządzenia nie byłyby w stanie go wykryć.

▶ Czyli pierwszą okolicznością, która dała szansę na przeprowadzenie zamachu, był wybór przeprowadzających remont. A drugą?

Musimy to powtórzyć: rozdzielenie wizyt. Decyzja o tym, że szef polskiego rządu i głowa naszego państwa będą oddzielnie czcić ofiary ludobójstwa katyńskiego, została podjęta podobno na żądanie Putina. Kremlowi zależało na tym, by Polska wycofała się z określania zbrodni katyńskiej mianem ludobójstwa. Mieli świadomość, iż Pan Prezydent na taki układ by się nie zgodził. Było to jasne chociażby po przemówieniu z 1 września 2009 roku na Westerplatte. Tusk dał im to, czego oczekiwali w sprawie Katynia, a nawet dużo więcej. Bo kontrakt uzależniający nas superkosztowną umową gazową od Moskwy początkowo planowano na... 30 lat! Było przygotowywane również porozumienie między Federacją Rosyjską i Rzeczpospolitą Polską o współpracy wojskowej, zakładające udział we wspólnych akcjach zbrojnych nazwanych interwencjami pokojowymi.

▶ Ale ono nie zostało ostatecznie podpisane. Dlaczego?

Nie wiem, mogę tylko przypuszczać, że umowa nie została zrealizowana, dlatego że stopień szoku i przekonania wśród Polaków, iż mieliśmy do czynienia z zamachem, z zamordowaniem polskiego Prezydenta, był tak duży, że zawarcie takiego układu byłoby potwierdzeniem zarzutów. Dlatego odłożono to na później, choć rozmowy na temat współpracy wojskowej były prowadzone, a w zakresie służb specjalnych realizowano nawet nielegalną współpracę ze służbami rosyjskimi.

eprasa.pl c3ea528a8b

▶ To chyba ważna nauka dla przyszłych pokoleń Polaków, że nawet gdy jest się słabym, działanie oddolne ma sens.

Tak, Tusk wiedział, że nie może się odważyć na taki krok. I moim zdaniem miał rację. Udało się też PiS, w czym ogromna zasługa ministra Piotra Naimskiego, doprowadzić do tego, że umowa, która na 30 lat miała uzależnić Polskę od rosyjskiej energetyki, została skrócona do 13 lat.

▶ Powróćmy do rozdzielenia wizyt. Czy gdyby do niego nie doszło i premier poleciałby z prezydentem, to polska delegacja by nie zginęła?

Tak.

▶ Dlaczego?

Uważam, że żadna z osób zaangażowanych w operację przygotowania Smoleńska nie naraziłaby życia Donalda Tuska. On podejmował decyzje, które były albo spełnieniem oczekiwań Putina, albo były mu na rękę. Wcześniej wszyscy byliśmy świadkami tego, jak PO zwalczała możliwość sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi w oparciu o obecność baz amerykańskich w Polsce, które chroniłyby za pomocą rakiet nasze bezpieczeństwo, tzw. Tarczy. To pan Radosław Sikorski uzasadniał odrzucenie tej propozycji prezydenta Busha. Nie ma wątpliwości, że trzeba też uwzględnić przemówienie Pana Prezydenta na Westerplatte, gdy pani Merkel siedziała ramię w ramię z panem Putinem i oboje reagowali bardzo negatywnie na słowa Lecha Kaczyńskiego, które potępiały także współczesny rosyjski imperializm i przypominały, że Katyń to było ludobójstwo. Tego Rosjanie za wszelką cenę nie chcieli przyjąć. Co więcej, myślę, że znali niestety tezy przemówienia, jakie było przygotowane do Smoleńska, w którym mowa była o tym, że zbrodni ludobójstwa, takich jak Katyń, było w czasach stalinowskich więcej i inne narody, które są obecnie częścią Federacji Rosyjskiej, były tym dotknięte.

▶ Jak dalece rząd Tuska dał się wciągnąć w tę grę?

Proszę pamiętać, iż konsekwencją rozdzielenia wizyt był bojkot przygotowań wizyty śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Rosjanie zupełnie otwarcie powiedzieli wówczas, że nie będą zajmować się obchodami 10 kwietnia – wsparciem, ochroną, organizacją – bo to prywatna, a nie państwowa wizyta. To samo zrobił premier Tusk. Wówczas właśnie stworzono atmosferę umożliwiającą realizację tej operacji. Nikt niczego nie weryfikował, systematycznie obniżano warunki bezpieczeństwa Prezydenta. Wystarczy przypomnieć, że nie przygotowano zapasowego samolotu i zapasowej załogi, do czego zobowiązywała Instrukcja Head. Co oznacza, że Prezydent był skazany na użycie Tu-154 M nr 101!

▶ Nie ma wątpliwości, iż polskie służby odstąpiły od właściwego zabezpieczenia wizyty śp. Pana Prezydenta i towarzyszących Mu osób. Kto wydał taką decyzję? Kto stał za tym, by zmaksymalizować ryzyko misji głowy państwa i tym samym umożliwić wrogim rosyjskim służbom choćby prowokacje wobec Prezydenta Rzeczypospolitej?

Na pewno o istniejącym stanie rzeczy informowany jest minister Radosław Sikorski. Wie, jakie raporty ślą do centrali reprezentujący Polskę w Moskwie dyplomaci. Jest aktywny w sprawach związanych z wizytą Pana Prezydenta. Odsuwa w czasie przyjazd przedstawicieli Kancelarii Prezydenta, którzy mają za zadanie dokonać ustaleń przed 10 kwietnia. Uniemożliwia im tym samym pracę. Wiemy, że minister Sikorski opóźniał oficjalne powiadomienie Rosjan o wizycie głowy państwa. Dwa dni przed przylotem polskiej delegacji funkcjonariusze naszych służb słyszą od swoich odpowiedników z Federacji Rosyjskiej, że aby lotnisko w Smoleńsku zostało otwarte, trzeba poprosić o to samego Putina. Jeśli mnie państwo pytają o jedną konkretną osobę odpowiedzialną za przygotowanie wyjazdu Pana Prezydenta, to oczywiście jest nią Tomasz Arabski. Skazany przez sąd za niedopełnienie obowiązków. Na śmiesznie niską karę. Parę miesięcy w zawieszeniu. Oczywiście pan Arabski miał patrona – premiera Tuska, który zresztą po ogłoszeniu wyroku sądu powiedział, iż wszystkie działania szefa kancelarii były realizowane za jego aprobatą i przy jego wiedzy. Nawet zadeklarował, że bierze za nie odpowiedzialność. Ale wcześniej bardzo ważnym elementem procesu, który opisujemy, był zamach gruziński.

▶ Przypomnijmy: w listopadzie 2008 roku podczas wizyty prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Gruzji, przy granicy z uznawaną niemal wyłącznie przez Rosję Osetią Południową, kolumna samochodów, w której znajdował się prezydent, została ostrzelana przez Rosjan.

To był pierwszy, można to tak nazwać, model tego, co się później miało zdarzyć. Próba mająca sprawdzić, jak zachowają się służby specjalne kierowane przez premiera Tuska, politycy, media, wreszcie opinia publiczna. I czy uda się przedstawić ten zamach jako winę tego, kto się znalazł w zagrożeniu.

▶ Oswajano nas z czymś.

Okazało się, że raport przygotowany przez ówczesne centrum antyterrorystyczne, powołane przez ówczesnego szefa ABW, przedstawił ten zamach jako winę prezydenta Saakaszwilego, a nawet prowokację tego sojusznika Polski. Powtórzono w ten sposób dosłownie stanowisko rosyjskie! I zostało to przez główne media w pełni wsparte. Rosjanie dowiedzieli się, że to da się zrobić, że rządzące

eprasa.pl c3ea528a8b

w Polsce elity są gotowe oskarżyć własnego prezydenta wówczas, gdy zostanie zaatakowany.

▶ A inne sygnały?

Mogę powiedzieć o moim i nie tylko moim poglądzie, że gdy mianowano pana Adama Daniela Rotfelda jako osobę, która została pełnomocnikiem ds. rosyjskich, człowieka, który w przeszłości był zarejestrowany jako kontakt operacyjny wywiadu komunistycznego, to był to bardzo niepokojący sygnał. Nie mniej groźnym był fakt mianowania pana Turowskiego, groźnego agenta wywiadu sowieckiego, pełnomocnikiem nadzorującym w Ambasadzie Polskiej w Moskwie przygotowanie wizyty Prezydenta. Ta decyzja ministra Sikorskiego była wstrząsająca.

▶ To brzmi dziś w sposób szczególny po tym, jak w czerwcu 2021 roku Rotfeld podpisał się pod raportem, który postuluje ograniczenie sił NATO w Europie. Wraz m.in. z rosyjskimi generałami.

W tym procesie przygotowań politycznych do Smoleńska, które zarówno przed nim, jak i po nim odegrały ogromną rolę, jest sprawa uzależnienia Polski od energetyki rosyjskiej. Podczas rozmów 18 marca 2010 roku pan Tomasz Arabski rozmawia z Igorem Sieczinem m.in. o rozszerzeniu energetycznych działań rosyjskich w Polsce przez korzystanie z elektrowni atomowej pod Królewcem. Czyli Rosjanie zapewnią nam nie tylko gaz, lecz także dostawy energii elektrycznej z elektrowni atomowej, tak żebyśmy w ogóle zrezygnowali z budowy własnego potencjału energetycznego. Druga sprawa to jest kwestia służb specjalnych, niesłychanie istotna. Chodzi o rozmowy, które miały miejsce po dramacie smoleńskim z przedstawicielami służb rosyjskich. Minister nadzorujący służby specjalne w rządzie pana Putina przyjeżdżał nielegalnie czy też prywatnie do Polski, są zdjęcia z tych jego przyjazdów. Z kolei ówczesny szef BBN, pan Koziej, jedzie do Rosji. Równocześnie dochodzi do sytuacji, w której następuje nielegalna współpraca polskiego kontrwywiadu wojskowego ze służbami rosyjskimi. Rosyjskie służby zyskują możliwość operacyjnego działania na terenie Polski. To są rzeczy absolutnie niebywałe.

▶ Czy dokonanie zamachu na prezydenta byłoby możliwe bez świadomego i celowego zaangażowania wysokich rangą przedstawicieli naszego państwa?

Moja wiedza na temat stopnia przeniknięcia oraz uzależnienia aparatu państwowego od służb postsowieckich wskazuje na to, że to byłoby możliwe. Najczęściej osoby zajmujące najwyższe stanowiska, zwłaszcza gdy chodzi o środowisko liberalno-postkomunistyczne, bardzo ściśle związane z ludźmi dawnego aparatu komunistycznego, nie ma świadomości zagrożeń, niebezpieczeństw, ponieważ samo czuje się pewnie i bezpiecznie, wiedząc, że pracuje na rzecz tej formacji. Nie chcę przesądzać, jak było w tym przypadku, ale na pytanie, czy było to możliwe, odpowiadam: tak. Państwo formułujecie to pytanie w kategoriach świadomego działania. Ja chcę powiedzieć, że oczywiście bez polityki prorosyjskiej, bez polityki nienawiści wobec Prezydenta, bez dążenia do absolutnego opanowania przez formację postkomunistyczną całości aparatu władzy i wspierania układu rosyjsko-niemieckiego, do tego dramatu by nie doszło. Ale to nie musi znaczyć, że ci ludzie byli w pełni świadomi tego, co planuje strona rosyjska.

▶ Czy jest taki moment przed 10 kwietnia 2010 roku, w którym do ówczesnych władz RP dociera sygnał alarmujący: coś dziwnego dzieje się wokół wizyty Prezydenta, to wygląda poważniej niż rosyjska niechęć.

W mojej opinii informacją mającą taki potencjał jest ostrzeżenie sformułowane przez Interpol o potencjalnym zamachu na samolot w jednej ze stolic UE. Trudno sobie wyobrazić, by taka wiadomość przeszła bez echa. Był 9 kwietnia. Służby specjalne na pewno potrafiłyby właściwie ją zinterpretować. Ale nie mamy śladu wskazującego na to, by ten międzynarodowy alert wywołał na szczytach władzy w naszym kraju jakiekolwiek zaniepokojenie.

▶ Tusk o nim wiedział?

Nie wiem. Powinien wiedzieć. Odpowiadał za służby specjalne. Powinien wiedzieć też minister obrony, pan B. Klich. Zresztą jego zachowanie tuż przed Smoleńskiem rodzi pytania. Przypominam, że generałowie byli przez niego zachęcani do lotu z Panem Prezydentem. Klich informował o tym, że sam też się wybiera na uroczystości do Katynia. Ostatecznie nie wsiadł do samolotu. Tłumaczył to chorobą bliskiej osoby.

▶ Wolał nie ryzykować, gdy przeczytał alert Interpolu?

Nie wiem. Ale przyznają państwo, iż takie pytanie się nasuwa. Już po śmierci delegacji RP wysocy przedstawiciele rządu, jak choćby przyboczny premiera Tuska, twierdzili, iż ostrzeżenie dotyczyło samolotu lecącego do Iraku. Ale to nieprawda. Interpol sygnalizował, że chodzi o samolot lecący na wschód.

▶ Jaki był zasięg agentury rosyjskiej w Polsce w 2010 roku?

Gigantyczny. Ogromne znaczenie miało jednoznaczne stanowisko rządu Donalda Tuska, chroniące i wspierające ludzi z Wojskowych Służb Informacyjnych. Od początku rozpoczęła ona nagonkę na ludzi, którzy doprowadzili do likwidacji WSI. To sprawiło, że ludzie tych służb poczuli się w istocie panami sytuacji. Symbolem tego pozostaje fakt, że osobą,

eprasa.pl c3ea528a8b

która miała bezpośredni dostęp do największych tajemnic, do rozmów między panem Putinem i panem Tuskiem, była osoba związana rodzinnie z WSI. Wszyscy ludzie ze służb byli tego w pełni świadomi. Że kontrola nad całą sytuacją może być w rękach służb. Dopiero Lech Kaczyński odsunął tę osobę. Jeszcze w 2012 roku Polit Elektronik cieszył się pełnym zaufaniem MON. A przecież co do roli tej firmy nikt w służbach nie miał wątpliwości – to nie były nawet związki z Rosją, to była *de facto* firma rosyjska, chociaż formalnie będąca własnością Polaka. Ludzie, którzy będąc wysokimi urzędnikami w tej części aparatu wojskowego, który zdecydował o przekazaniu remontu stronie rosyjskiej, czyli Awiakorowi, ci ludzie awansowali i byli przyjmowani do Polit Elektronik na najwyższe stanowiska. Oni dostali zapłatę za to. Tak po prostu. I to wszyscy wiedzieli.

▶ Przed zamachem w Smoleńsku w mediach III RP pojawiła się pewna zmiana. Dotąd najgorszymi ludźmi byli w nich Jarosław Kaczyński i Antoni Macierewicz. Ale krótko przed Smoleńskiem zaczęły się pojawiać materiały wręcz odczłowieczające Prezydenta. Miał być kimś wręcz fizycznie odstręczającym, Palikot sugerował, że pije „małpki" wódki, co wizerunkowo wydawało się czymś zupełnie zaskakującym, bo to jego poprzednik kojarzył się z nadużywaniem alkoholu. Te ataki przyszły nagle, wcześniej Lech Kaczyński jako urzędnik traktowany był trochę lepiej od brata, który miał być jego złym duchem. A tu nagle Prezydent zaczął być zohydzany najsilniej. Jakby ktoś chciał wykreować wizerunek człowieka, którego po zamachu nikt nie będzie żałował.

Dokładnie tak było. Ja uważam, że wbrew temu, co się mówi, Rosjanie byli przekonani, że Lech Kaczyński wygra wybory prezydenckie. Przecież poprzednio też nie dawano mu szans, podobnie jak później przyszłemu prezydentowi Andrzejowi Dudzie.

▶ Czy istnieją relacje jakiegoś polskiego funkcjonariusza, na przykład prokuratora, funkcjonariusza BOR czy służb, w których zawarte są wątpliwości co do podanej zaraz po katastrofie wersji wydarzeń?

Tak, oczywiście. Jeżeli chodzi o ludzi służb specjalnych, nie tylko były wątpliwości, lecz nawet działania, które doprowadziły do uzyskania bardzo istotnej wiedzy na temat zarówno dramatu smoleńskiego, jak i fałszowania materiału dowodowego. Wiedzy, którą zdobywano, opisywano, analizowano i... chowano. Ludzie ze służb, którzy otrzymywali informacje od Rosjan o prawdziwym przebiegu wydarzeń, a następnie, na rozkaz centrali, przekazywali nazwiska, adresy i informacje od tych ludzi do Federalnej Służby Bezpieczeństwa, wiedzieli, co robią. Wiedzieli, że celem jest uniemożliwienie pozyskania prawdy, zabicie prawdy.

▶ Dlaczego śmierć polskiej delegacji nie uruchomiła procedur NATO?

Pamiętam przynajmniej dwie wypowiedzi rzecznika NATO, który mówił, że rząd Polski wciąż nie zwraca się do NATO w tej sprawie. Decyzja należała do rządu polskiego. Strona francuska bardzo zdecydowanie podkreślała, że powinny być podejmowane działania przez NATO, o ile Polska będzie się tego domagać. Mam wrażenie, że my nie do końca zdajemy sobie sprawę ze znaczenia decyzji, by postępowanie oprzeć na konwencji chicagowskiej. To eliminowało możliwość włączenia się w nią NATO. A mianowanie jako przedstawiciela Polski pana Edmunda Klicha zwielokrotniło ten stan rzeczy. Pan E. Klich – relacjonuję tylko informacje, które jego podwładni przekazywali do MON – działał z absolutnym przekonaniem, że to wina pilotów. I że nie wolno podejrzewać Rosjan. Polscy specjaliści, którzy byli tam obecni, często jego podwładni, domagali się możliwości bezpośredniego badania, przesiania gruntu poszczególnych części wrakowiska. Domagali się udziału w oblocie weryfikującym działanie systemów lotniska. To wszystko Rosjanie ignorowali, a pan E. Klich działał na ich korzyść. On wręcz groził polskim ekspertom, że ich odeśle do Polski, jeśli będą się przeciwstawiali Rosjanom. Nie wolno nam zapomnieć słów pana Tuska, że największym problemem, najgroźniejszym zjawiskiem jest to, że Polacy sądzą, że to Rosjanie są winni tragedii smoleńskiej. Te słowa Tuska zostały wypowiedziane 23 kwietnia jako instrukcja dla pana E. Klicha. Ale główne decyzje Tuska począwszy od 10 kwietnia były podporządkowane założeniu, by chronić stronę rosyjską. Dlatego służby specjalne, komisja Millera (przedtem Klicha), aparat rządowy i administracyjny oraz media systematycznie wspierały Rosję w fałszowaniu dowodów i ukrywaniu prawdy o dramacie smoleńskim, a równocześnie powtarzały bezczelne i straszliwe zarzuty oskarżające Prezydenta Kaczyńskiego, generała Andrzeja Błasika, polskich pilotów o spowodowanie tej tragedii. Kazano polskiej komisji powtarzać tezy komisji rosyjskiej, wydawano FSB rosyjskich świadków przekazujących nam dowody winy rządu Putina, ukrywano fakty fałszowania czarnych skrzynek przez Rosjan, a także zamiany ciał poległych. A wreszcie wszyscy posłowie PO, PSL i SLD zagłosowali za tym, by pozostawić wrak i wszystkie dowody w rękach rosyjskich i nie przejmować badania tej tragedii przez Polskę! Skala tych działań na szkodę prawdy i dla ochrony Rosji nie ma precedensu w polskiej historii poza wspieraniem przez komunistów kłamstwa katyńskiego. To wszystko przesądza o ocenie postępowania Donalda Tuska i jego rządu.

▶ To już było działanie wyłącznie świadome?

Od momentu wysadzenia samolotu działania pana Tuska i jego najbliższych współpracowników, ale także aparatu służb specjalnych i dużej części aparatu administracyjno-wojskowego, całego aparatu medialnego, były w pełni

eprasa.pl c3ea528a8b

świadome. Istniała pełna świadomość, że chodzi o ochronę tych, którzy doprowadzili do tego dramatu. A po drugie – by zatruć świadomość społeczną, doprowadzić do absolutnego zamieszania i dezinformacji. Zarówno opinii polskiej, jak i międzynarodowej. Te działania prowadzone były z pełną świadomością. Najlepiej świadczą o tym wielokrotne deklaracje pana D. Tuska, że bierze pełną odpowiedzialność za wszelkie działania podejmowane w sprawie Smoleńska przez administrację i aparat państwowy. Zresztą te deklaracje oddawały faktyczny stan rzeczy – już 10 kwietnia D. Tusk zapowiedział powołanie specjalnego Zespołu Ministerialnego, który będzie decydował o wszystkich działaniach dotyczących tej tragedii, włącznie z nadzorem nad Komisją KBWLLP. I tak się stało. Tusk nawet nadał sobie prawo zatwierdzania Raportu Komisji!

▶ Wspomniał Pan o mediach, pytanie o nie próbował zadać także w swoim filmie Antoni Krauze. Na jakim szczeblu była tam wiedza, że działamy świadomie na rzecz tuszowania zbrodni?

Generalnie rzecz biorąc, dziennikarze to są ludzie o dość dużej wiedzy o polityce i sporej inteligencji. W zakresie tego, czym się zajmują, to są ludzie sprawni, świadomi tego, co robią, rozumiejący konsekwencje swoich działań. Myślę, że większość z nich wiedziała, że chroni tych, którzy doprowadzili do zbrodni. Wystarczy przywołać stacje i dziennikarzy powtarzających rosyjskie tezy o winie polskich pilotów czy o odpowiedzialności Prezydenta Kaczyńskiego. Czy możecie sobie państwo wyobrazić, że nie wiedzieli, co robią?

▶ Mieliśmy ten Big Brother pod Krzyżem Pamięci, gdzie wszystkie trzy główne telewizje przychodzą i pokazują wydarzenia, w czasie których zarówno część obrońców krzyża, jak i atakujących to ludzie podstawieni. I tej techniki udaje się użyć do sterowania emocjami i uczuciami dużej części narodu. Wyszydzanie gestów pamięci, wywracanie zniczy, kradzież kwiatów i zdjęć zamordowanych – to pod Krzyżem na Krakowskim Przedmieściu też nie było oryginalnym pomysłem władzy Tuska i Komorowskiego. Identycznie zachowała się rosyjska milicja po zamordowaniu dziennikarki Anastazji Baburowej i adwokata Stanisława Markiełowa. „Tu jest normalna moskiewska ulica, a nie cmentarz!" – czczący ich pamięć słyszeli od rosyjskiej milicji to samo, co upamiętniający Smoleńsk Polacy.

Powiem tak, że trzeba oddać hołd narodowi polskiemu, że mimo poddania go tak niebywałej presji, jest w większości przekonany, że mieliśmy do czynienia z działaniem, które miało doprowadzić do śmierci polskiej elity. Nawet ci, którzy publicznie mówią rzeczy przeciwne, gdy rozmawiają ze mną prywatnie, stwierdzają, że są w pełni tego świadomi. Tylko że to, co oni uznają za konieczności polityczne, sprawia, że oszukują i kłamią.

▶ Polakom mówiono, że lepiej tej prawdy nie znać. Bo jak ją poznamy, to co wtedy? Będzie wojna i jeszcze więcej nas zginie. Jak odtwarzał ten sposób myślenia w piosence Jacek Kowalski: „Lepiej, że zginęło tych 96, niż miałby zginąć cały naród".

To była ta klasyczna formuła, którą nas straszono w latach 50., 60., 70. i 80. Jakże można wydawać nielegalne gazety, pomagać robotnikom, strajkować, domagać się niepodległości i demokracji? Przecież w ten sposób sprawi się, że Rosjanie zaraz wyrżną połowę Polski. Tak było podczas sowieckiej okupacji. Teraz to może działa na tych, którzy kolportują te strachy, ale na zwykłych ludzi to moim zdaniem skutecznie nie oddziałuje.

▶ 10 kwietnia stał się dniem, w którym do końca zdaliśmy sobie sprawę z tego, czym straszy Agnieszka Holland, czyli że konieczna jest wymiana elit. Że z tymi elitami nie może być mowy o niepodległym państwie. Profesor Wojciech Rypniewski, biochemik i biofizyk, który pracował na Uniwersytecie Cambridge, powiedział, że sytuacja, w której wszystkie uczelnie techniczne w Polsce odmawiały współpracy w ustalaniu prawdy o Smoleńsku, jest w cywilizowanym państwie niewyobrażalna.

Ja bym to inaczej sformułował. Smoleńsk miał zablokować odbudowę elit niepodległościowych i patriotycznych. Ale nastąpiła kontrofensywa, która nie tylko sprawiła, że im się to nie udało, lecz także w jakimś wymiarze przyspieszyła proces odrodzenia narodowego. Choć oczywiście jest prawdą, że postkomunistyczne elity dominujące wyższe uczelnie, a jest ich wciąż wiele, podchodziły niechętnie do badania tej tragedii. Niestety dotyczy to nie tylko Polski. Tym bardziej trzeba podziękować tym, którzy potrafią odróżnić naukę od polityki.

▶ Wielu artystów, którzy przed 1989 rokiem było nastawionych opozycyjnie, a w latach 90. przestało interesować się polityką, bo już nie jest najgorzej i można zajmować się czymś innym, a wojenki polityczne to nie ich świat. Tymczasem po 10 kwietnia na nowo się zaangażowało.

Tak jest, wielu z nich do własnej twórczości zaczęło włączać problematykę patriotyczną, starając się kształtować świadomość narodową.

▶ Wielu naszych Czytelników zadaje sobie pytanie, kiedy prawda o niewyobrażalnej zbrodni w Smoleńsku

eprasa.pl c3ea528a8b

zostanie uznana przez świat. Pokolenia Polaków zadawały sobie to samo pytanie w sprawie Katynia.

A później w sprawie agenturalności Lecha Wałęsy! W sprawie zbrodni smoleńskiej na skutek propagandy Donalda Tuska świat zewnętrzny, w tym państwa natowskie i Stany Zjednoczone, przyjęły, że Rosja ma rację, bo rząd Polski się na to zgadza. To przez te 10 lat zakorzeniło się bardzo intensywnie wśród rządów państw zachodnich. Proszę sobie przypomnieć, jakie były ataki na mnie, gdy podczas każdego szczytu NATO, UE czy spotkania z ważnymi przedstawicielami innych państw zawsze podejmowałem sprawę smoleńską. Także podczas audiencji z Papieżem Franciszkiem. Gdy dowiadywał się o tym TVN czy inne podobne media, wszczynały kampanię, jak Macierewicz śmie o tym mówić. To się zaczęło zmieniać dopiero po wygraniu wyborów przez PiS i powołaniu przeze mnie Podkomisji do ponownego zbadania tej tragedii. Dzięki temu w 2018 roku Rada Europy opublikowała Raport i wydała Rezolucję uznającą wyniki naszych badań i potępiającą Rosję.

▶ Co da się z tym zrobić?

Punktem pierwszym musi być złożenie przez nas wniosku do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Przypomnijmy, że jest on emanacją Rady Europy. A Rada Europy stanęła po naszej stronie w 2018 roku. Przygotowała Raport, który cytował stanowisko komisji mówiące o eksplozji jako przyczynie zniszczenia Tu-154. I wezwała wszystkie państwa do poparcia stanowiska Polski w sprawie oddania materiałów dowodowych, w tym wraku przez stronę rosyjską. Wskazują *expressis verbis*, że Rosja w tej sprawie postępuje tak samo, jak Rosja stalinowska w sprawie Katynia.

▶ Jakie wrażenie badanie Smoleńska zrobiło na Amerykanach?

W Stanach Zjednoczonych są bardzo szerokie gremia ludzi na wysokich stanowiskach wojskowych i cywilnych, którzy zaangażowali się w sprawę prawdy o Smoleńsku. Jeden z czołowych byłych funkcjonariuszy CIA po pierwszym przedstawieniu przeze mnie analizy wskazującej na eksplozję napisał serię artykułów, które to przywoływały. Również w „Washington Times" regularnie ukazują się artykuły wskazujące na trafne konkluzje naszych raportów. Ważną rolę odgrywa World School of Politics, jedna z najważniejszych instytucji naukowych zajmująca się m.in. imperialnymi działaniami Rosji i Chin. W tych środowiskach nasze prace są uważnie analizowane, a wnioski aprobowane. No i wreszcie olbrzymią rolę odgrywa Polonia w USA, ale także w Europie, jednoznacznie wspierająca prace Podkomisji.

▶ Czym będzie Smoleńsk w historii Polski?

Był i powinien pozostać wielkim wstrząsem, pokazującym nam, że żyliśmy wówczas w państwie agenturalnym. Z aparatem państwowym, który zdecydował się działać na rzecz zabójców prezydenta i polskiej elity narodowej. A także na rzecz likwidacji polskiej niepodległości. Ci szefowie służb specjalnych, którzy fotografowali się na Aurorze w sowieckich czapkach wojskowych, stali się symbolem już nie agenturalizacji, tylko przejścia na stronę państwowości rosyjskiej. Wydawanie Rosjan, którzy potajemnie mówili polskim służbom prawdę, w ręce służb rosyjskich, ukrywanie faktu fałszowania dowodów przez Rosjan, wspomniane słowa Tuska – to wszystko pokazuje, że ówczesny aparat państwowy wyrzekł się polskiej tożsamości. Ten wstrząs przyniósł wielkie odrodzenie polskiego patriotyzmu, szczególnie wśród młodzieży. Reakcja młodzieży i szerokich grup społeczeństwa na to, co się stało, była taka, jak zawsze w historii były reakcje Polaków na zamach na naszą niepodległość. Smoleńsk to będzie więc podwójny symbol: sowieckości aparatu wywodzącego się z Okrągłego Stołu i odradzania się polskości w umysłach i działaniach polskiej młodzieży. To był moment wielkiego przełomu. Podjęcia decyzji, że naród polski chce być niepodległy i że Polska ma istnieć wbrew tak straszliwym działaniom skierowanym na jej zniszczenie.

▶ Zdaliśmy sobie sprawę, że dzieło Jana Pawła II i dzieło pokolenia Solidarności nie zostało dokończone. To było twarde lądowanie i otworzenie oczu na to, że wcale nie jesteśmy wspaniali, że spoczęliśmy na laurach, że nas uśpili, że zło nadal działa.

Rzecz w tym, że walka o to do dziś nie została rozstrzygnięta. Walka o niepodległość, oparta na uświadomieniu skali zagrożenia, które pokazała zbrodnia smoleńska, wciąż trwa i nie wiemy, czy ostatecznie zdeterminowała polską politykę. Dla mnie jest to najważniejsza sprawa i najważniejszy wywiad z moim życiu. Takiej zbrodni w najnowszych dziejach świata zachodniego nie było. To na zawsze pozostanie w świadomości narodu polskiego. Dlatego wyjaśnienie tej zbrodni i wyciągnięcie z niej konsekwencji stało się niewyobrażalnie ważne. Bo gdybyśmy tego nie zrobili, to do kolejnych pokoleń przeszłoby przekonanie, że jesteśmy narodem, który nie jest w stanie sprostać zbrodni zabójstwa elity i bezprecedensowej dezinformacji. Nie jest w stanie jej odepchnąć, przezwyciężyć. W tym sensie zbrodnia smoleńska może na przyszłość Polski oddziaływać nawet silniej niż zbrodnia katyńska. Bo tamta dokonała się w czasie wojny. I ani legalny rząd polski, ani naród nie pogodzili się z sowieckim ludobójstwem i kłamstwem. Tymczasem po Smoleńsku znaleźliśmy się w sytuacji, w której rząd państwa polskiego wspierał tych, którzy winni byli śmierci polskiej elity. Tego nigdy w historii Polski nie było. I to jest wielkie wyzwanie, któremu musimy sprostać. ■

eprasa.pl c3ea528a8b



Grzegorz Wierzchołowski



REMONT WYBUCH ZDRADA

Co zawiera końcowy raport smoleński

Przyjęcie końcowego raportu podkomisji smoleńskiej to nie tylko nowe dowody i poszlaki w badaniu tragedii z 10 kwietnia 2010 roku, lecz także symboliczne i administracyjne przekreślenie raportów MAK i Millera. O istocie i wadze raportu przesądza zestawienie ustaleń stricte technicznych z drobiazgowym opisem okoliczności, w jakich przygotowano, a potem tuszowano zamach na Prezydenta RP, najwyższych dowódców armii i elitę polskiego państwa.

Ataki na podkomisję smoleńską i jej przewodniczącego, fake newsy o nieistnieniu raportu przekazywane zarówno przez „Gazetę Wyborczą" i Macieja Laska, jak i portal wpolityce.pl, próby storpedowania śledztwa smoleńskiego poprzez promocję prorosyjskich „ekspertów międzynarodowych" lub rzekomych „zdań odrębnych" do raportu, wreszcie medialne wyciszanie ustaleń Antoniego Macierewicza.

Ostatnie lata nie były z pewnością łatwe dla ekspertów podkomisji, o czym na ostatnim Nadzwyczajnym Zjeździe Klubów „Gazety Polskiej" mówił sam Macierewicz – podkreślając, że nawet on w pewnych chwilach czuł rezygnację i zniechęcenie.

Ostatecznie finalny raport smoleński – którego rzekomo miało nie być – przyjęty został 10 sierpnia 2021 roku podczas plenarnego posiedzenia podkomisji. Dokument liczy ponad 300 stron i zawiera wszystkie dane oraz analizy przewidziane przez instrukcje oraz regulaminy MON w zakresie badania katastrof lotniczych. Ze względu na to, że zasady te nie przewidywały generalnie analizowania tragedii spowodowanych atakiem zewnętrznym, w niektórych miejscach podkomisja smoleńska musiała wykroczyć poza ustalone ramy. Poza przyjętym w sierpniu raportem przygotowywane są też załączniki liczące łącznie kilka tysięcy stron.

Ludzie Moskwy mają tupolewa

Raport wiele miejsca poświęca okolicznościom remontu obu rządowych tupolewów – i nie bez przyczyny. Wiele wskazuje, że to właśnie wówczas przeprowadzono w Rosji czynności, które przekształciły oba Tu-154 w latające bomby. Tupolew nr 101 – ten, który rozbił się w Smoleńsku – wrócił z rosyjskiej Samary do Polski 23 grudnia 2009 roku (tego samego dnia znaleziono ciało Grzegorza Michniewicza – dyrektora generalnego kancelarii Donalda Tuska; przez ręce Michniewicza przechodziły niemal wszystkie dokumenty kancelarii premiera, także tajne). Na drugim tupolewie, który miał znaleźć się w Polsce kilka miesięcy później, także wykryto – w tym samym miejscu co w nr 101 (lewe skrzydło) – ślady substancji wybuchowych: trotylu, heksogenu i pentrytu.

W raporcie podkomisji podkreślono – i dokładnie opisano – że decyzja o przekazaniu remontu tupolewów Olegowi Deripasce, przyjacielowi Władimira Putina, została wymuszona przez rosyjskie służby specjalne. Jak dowodzą członkowie podkomisji, proces przetargu na remont i same prace przy maszynach były od początku kontrolowane przez Kreml – przy przyzwoleniu służb specjalnych i urzędników RP oraz współudziale wojskowych powiązanych z komunistycznymi służbami specjalnymi.

Warto tu wspomnieć, że wiceprzewodniczącym rady nadzorczej MAW Telecom Intl S.A – firmy, która wygrała przetarg na remont tupolewów i wysłała je do Rosji – był do 2011 roku Henryk Tacik, generał broni w stanie spoczynku. Jeszcze wcześniej Tacik był szefem Dowództwa Operacyjnego MON, ale w kwietniu 2007 roku, gdy ministrem obrony był śp. Aleksander Szczygło, musiał opuścić to stanowisko. Przyczyną jego dymisji miał być fakt, że był absolwentem (w latach 1986–1988) Akademii Sztabu Generalnego w Moskwie.

Nazwisko Henryka Tacika można znaleźć w raporcie z likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych. Na stronie 146 raportu czytamy: „Aneks ten [chodzi o Aneks do Koncepcji rozwoju systemów ochrony kryptograficznej w resorcie Obrony Narodowej – przyp. aut.] jest zwieńczeniem działań nielegalnego lobby na rzecz firmy SILTEC. W jego skład wchodzili najwyżsi rangą oficerowie Sztabu Głównego WP oraz WSI; poza wymienionymi także gen Henryk Tacik (Polskie Przedstawicielstwo Wojskowe przy Komitecie Wojskowym Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego) [...]". Lobby to miało wymusić niestosowanie obowiązujących przepisów w procedurze akredytacji urządzeń kryptograficznych oferowanych przez SILTEC, co stanowiło ogromne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. „Z dopuszczonych w ten sposób do użytku urządzeń korzystały lub korzystają osoby sprawujące najwyższe urzędy państwowe, w tym: Prezydent RP, Szef BBN, Minister Obrony Narodowej, Szef Sekretariatu MON, Sekretarz Stanu I Zastępca MON, Szef Sztabu Generalnego WP, Szef WSI czy Komendant Główny ŻW" – wyjaśniał Antoni Macierewicz w raporcie z likwidacji WSI.

– Gen. Henryk Tacik na początku lat 90. miał bogate kontakty z oficerami radzieckimi i uczestniczył w kilku imprezach towarzyskich w okolicach Walimia z udziałem wyższej kadry północnej grupy wojsk radzieckich w Polsce i kadry WP. O tych spotkaniach meldował przełożonym Zarząd II WSI, ale pozostało to bez reakcji najwyższego kierownictwa WSI. Generał Tacik to człowiek Bronisława Komorowskiego, dobrze się znają i lubią – mówił w 2011 roku informator „Gazety Polskiej".

Jak zmylono polskich pilotów

Raport MAK i dokument przygotowany przez tzw. komisję Millera winą za katastrofę obarczały polskich pilotów. Pomijały przy tym niemal całkowicie kwestię wprowadzania w błąd załogi Tu-154 przez Rosjan.

Raport podkomisji smoleńskiej stanowi przeciwwagę dla tych kłamstw i choć prawda nie jest tak

fot. SERGEI CHIRIKOV/PAP/EPA

eprasa.pl c3ea528a8b

spektakularna jak wymysły o alkoholu we krwi gen. Błasika czy fake newsy w rodzaju „Jak nie wylądujemy, to nas zabiją", to należy docenić benedyktyńskie wysiłki ekspertów Antoniego Macierewicza w odtworzenie wydarzeń z 10 kwietnia 2010 roku.

Autorzy raportu ustalili m.in., że organizatorzy lotu śp. Lecha Kaczyńskiego ze strony polskiej – czyli związani z rządem Donalda Tuska – wieczorem 9 kwietnia 2010 roku zmienili lotniska zapasowe dla Tu-154M. Nie poinformowali o tym ani polskich pilotów, ani prezydenta RP – takie informacje według naszej wiedzy zawarte są w końcowym raporcie smoleńskim. O tym, jaki wywołało to chaos na linii piloci-kontrolerzy, mówił na Nadzwyczajnym Zjeździe Klubów „GP" Antoni Macierewicz.

Jak ujawnił szef podkomisji – gdy tylko polska załoga dowiedziała się, że warunki pogodowe mogą uniemożliwić lądowanie w Smoleńsku, piloci chcieli odejść na drugi krąg i odlecieć na zapasowe lotnisko: do Witebska lub Mińska. Okazało się jednak, że rosyjskie służby na to się nie zgadzały, wskazując jako lotniska zapasowe podmoskiewskie Szeremietiewo, Domodiedowo lub Wnukowo. Doszło do sporu między smoleńskimi kontrolerami a moskiewskim wojskowym centrum „Logika", które nadzorowało sprowadzanie polskiego samolotu. Zdenerwowani kontrolerzy zachowywali się coraz chaotyczniej, dezorientując tym samym polską załogę. Dopiero na 10 minut (!) przed katastrofą centrala w Moskwie wskazała Mińsk jako możliwe zapasowe lotnisko. Ale informacji tej... nie przekazano pilotom Tu-154.

Podkomisja udowodniła też, że tupolew był od początku sprowadzany fałszywie oraz zmuszany do przyjęcia ostrzejszej ścieżki i szybszego schodzenia. Na przykład o godzinie 10:38:43 (czasu lokalnego) jeden z kontrolerów podał informację, że Tu-154M jest na ścieżce 9 km od progu pasa, a w rzeczywistości samolot znajdował się na odległości 10,5 kilometra od progu drogi startowej.

Podana zaniżona odległość od początku pasa spowodowała, że załoga przyjęła większą prędkość zniżania, co doprowadziło do zmiany kąta ścieżki zniżania, która kończyła się kilometr przed drogą startową. Rosjanie zachęcali też pilotów do lądowania komendą „pas wolny" i próbowali ich zmylić inaczej ustawionymi reflektorami.

W raporcie czarno na białym wyjaśnione jest, że polscy piloci – wbrew temu, co przedstawiano w raportach Anodiny i Millera – nie złamali żadnych przepisów: wykonywali kontrolne podejście do wysokości 100 m, a następnie rozpoczęli odejście na drugi krąg, by skierować samolot na zapasowe lotnisko. Nie udało im się to tylko dlatego, że w samolocie doszło wówczas do eksplozji.

Wybuch i zdrada

W końcowym raporcie smoleńskim opisany jest też dokładnie przebieg dwóch eksplozji, jakie miały miejsce w Tu-154. Antoni Macierewicz ujawnił również, że podkomisji udało się „odszumić" dźwięk pierwszej z tych eksplozji, która miała miejsce na skrzydle. Na poparcie tych tez zebrano bogaty materiał dowodowy: od wiarygodnych zapisów kopii rejestratorów (na podstawie zapisów amerykańskich urządzeń TAWS i FMS) i analizy mechanicznych zniszczeń elementów samolotu (m.in. loki powybuchowe) – poprzez komputerowe badania Amerykanów wykazujące na przykład, że drzwi tupolewa nie mogły zostać wbite na metr w ziemię w wyniku „zwykłego" uderzenia samolotu w ziemię – aż po identyfikację śladów materiałów wybuchowych na Tu-154 (potwierdziły to laboratoria polskie, brytyjskie i amerykańskie) oraz opisywaną niedawno w „Gazecie Polskiej" analizę rozrzutu i zniszczenia ciał ofiar katastrofy. Z opracowania tego wynika, że ponad 1/3 ofiar katastrofy nosiła ślady licznych i poważnych oparzeń, z czego większość znajdowała się poza pożarem naziemnym, nawet w odległości ponad 50 metrów. U bardzo wielu osób stwierdzono występowanie ciał obcych wbitych w ciało – odłamków poszycia, szkła, a nawet fragmentów stalowego łożyska. Ciała pasażerów tzw. trzeciej salonki rozrzucone były na przestrzeni całego wrakowiska, czyli na długości ponad 100 m. Ponadto rozdrobnione fragmenty ciał pasażerów, w tym elementy narządów wewnętrznych (na przykład tchawica z fragmentami oskrzela, kawałek jelita, kość udowa), znajdowały się jeszcze przed śladami pierwszego uderzenia Tu-154 w ziemię.

Raport opisuje też, jak już w pierwszych godzinach po tragedii doszło do bliskiej współpracy rządów oraz służb Polski i Rosji, której wynikiem było oddanie śledztwa Moskwie oraz zgoda na fałszowanie i niszczenie kluczowych dowodów. Podkreśla się tu rolę rozmowy telefonicznej Donalda Tuska z premierem Rosji Władimirem Putinem w godzinach porannych 10 kwietnia 2010 roku zaraz po katastrofie.

Na Nadzwyczajnym Zjeździe Klubów „GP" Antoni Macierewicz ujawnił inne informacje obciążające Tuska, jego rząd i służby, na przykład dotyczące pewnej umowy wojskowej, jaka była w planach w 2010 roku. – To porozumienie wojskowe, które chciał zawrzeć pan Donald Tusk, między Polską i Rosją, porozumienie, w ramach którego miały być podejmowane wspólne działania zbrojne, nazwane pokojowymi, przez Polskę i Rosję. Ten dokument istnieje, wstępne rozmowy zostały przeprowadzone, na szczęście nie doszło do ich dokończenia. Umowa miała być podpisana w maju 2010 roku – mówił Macierewicz. ■

eprasa.pl c3ea528a8b



Ryszard Czarnecki

Chcę sensacyjnego filmu o śledztwie „smoleńskim”

Nie „czy?”, tylko „kiedy?” ktoś nakręci film fabularny już nie tyle o próbach odsłaniania prawdy o tragedii smoleńskiej w pierwszych tygodniach po 10.04.2010 roku – bo taki już powstał („Smoleńsk”) – lecz o wieloletnim żmudnym śledztwie?

Kocham filmy, ale nie mam czasu chodzić do kina. Zostaje więc filmoteka na iPadzie. Raz na jakiś czas nadrabiam zaległości, oglądając ciurkiem trzy, cztery filmy, lecąc LOT-em na trasach transatlantyckich albo do New Delhi, Pekinu, Seulu czy Tokio. I właśnie w czasie jednego z takich rejsów na wysokości 11 czy 12 kilometrów n.p.m. obejrzałem brytyjski „Katyń”. Teraz zobaczyłem go znów w TVP 1. To film o angielskim dziennikarzu, który dość przypadkowo zajął się wyjaśnianiem sprawy ludobójstwa kilkunastu tysięcy polskich oficerów w Rosji w 1940 roku. Dziennikarz ginie, łapy Sowietów są długie, ale jego artykuł, choć już po zabójstwie autora, ukazuje się – zadba o to jego narzeczona.

Nie „czy?”, tylko „kiedy?” ktoś nakręci film fabularny już nie tyle o próbach odsłaniania prawdy o tragedii smoleńskiej w pierwszych tygodniach po 10.04.2010 roku – bo taki już powstał („Smoleńsk”) – lecz o wieloletnim żmudnym śledztwie? Będzie to film o tych, którzy chcieli opisać, co spotkało elity naszego narodu na rosyjskiej ziemi, ale też o tych, którzy zrobili wszystko, by do odkrywania prawdy nie doszło. Choćby po to, aby nie przyznać się przed sobą, jak bardzo sami służyli kłamstwu i obcym interesom.

Będzie to film z międzynarodowym kontekstem o tych sojusznikach, którzy po cichu pomagali, o tych, którzy przeszkadzali, i o tych, którzy umywali ręce niczym Poncjusz Piłat. Może będzie też wątek o wrogach, którzy chcieli poznać wyniki śledztwa, zinfiltrować pracę śledczych, o inwigilacji i „kretach” przenikających struktury mające wyjaśnić, co się stało pod Smoleńskiem, jak się stało i komu to służyło.

Chciałbym obejrzeć taki właśnie film. Obraz, w którym będzie mowa także o ludzkich ambicjach, cnotach i małościach tych, którzy pracowali, aby odkryć prawdę. O „wielkiej polityce”, w której cieniu toczy się śledztwo, a które przecież jest od niej w jakiejś mierze uzależnione. Chciałbym, aby ukazano całą grę wokół śledztwa, próby ingerowania z zewnątrz, a może również wpływania na ustalenia śledczych, oczywiście jeśli takowe były...

Byłby to sensacyjny film, ale w kategorii „kina politycznego”. Bo przedmiot śledztwa pasuje jak najbardziej do tego gatunku kina. A przecież taki film mógłby też być dokumentem albo połączeniem kina akcji (dosłownie) z silną warstwą faktograficzną. Nie wiem, czy taki obraz zdobyłby międzynarodowe laury w Cannes czy Wenecji i czy byłby kandydatem do Oscara. Pewnie nie. Ale na pewno warto go mocno rozpowszechnić – jeśli powstanie – wśród dystrybutorów kinowych z całej Europy Środkowo-Wschodniej, a także w państwach powstałych na gruzach ZSRS. Ci widzowie zrozumieją ten film chyba lepiej niż odbiorca z Europy Zachodniej czy USA. Bo to będzie rzecz o historii, która wydarzyła się w realiach dobrze znanych w całym dawnym bloku komunistycznym.

Oczekuję takiej fabuły. Chciałbym, żeby był to film tak dobrze zrobiony, aby oglądali go nie tylko Gruzini, Litwini, Ukraińcy, Łotysze czy Czesi – lecz także młodzi Polacy, dla których byłaby to i lekcja historii, i swoistego wychowania obywatelskiego, i coś jak polski James Bond.

Czy raport specjalnej komisji, powołanej do wyjaśnienia – na ile się da – źródeł tragedii nie może być podstawą takiego scenopisu i takiego scenariusza? Pewnie powinien. Ciekawe, że nawet w środowiskach na prawo od centrum wywołuje on emocje i nieraz ostrą krytykę. Jeden z najbardziej uznanych prawicowych publicystów nie pozostawił na nim suchej nitki. Dlaczego? Czy rola niewiernego Tomasza nie mogłaby też pojawić się w takim filmie?

Chyba zrobiliśmy krok naprzód na drodze do wyjaśniania „jak było?”. Warto o tym mówić – choć mówi się zdecydowanie zbyt mało. I to mówić językiem fabuły... ■

eprasa.pl c3ea528a8b



Podopieczni sióstr rozpoczynają edukację w przedszkolu, ucząc się niezależności oraz samodzielności

Stefan Czerniecki
czerniecki.net



Syn poczekał na Matkę

„Wszystko ksiądz zepsuł!" – rzekła zdenerwowana rzeźbiarka. Miała już dość kolejnych niespodziewanych wizyt młodego kapłana. Nie po to fatygowała się do oddalonego w trudno dostępnym lesie ośrodka, aby teraz jakiś nieznany jej duchowny popsuł całą jej pracę. Dopiero po wszystkim zapyta o jego nazwisko. I dowie się, że nazywa się Wyszyński.

eprasa.pl c3ea528a8b



FOT. ZBIORY ZGROMADZENIA SIOSTR FRANCISZKANEK SŁUŻEBNIC KRZYŻA (FSK)

Rok 1928. 52-letnia Matka Róża Czacka uwieczniona podczas krótkiego odpoczynku w swoim fotelu w Laskach

Kucyk, którego widzę, jest jeszcze daleko. Idzie bardzo wolno. Uważnie stawiając jedno kopytko za drugim. Mimo to chłopczyk, który go dosiada, najwyraźniej czegoś się boi. Nie chce się wyprostować. Spacerując pomiędzy pachnącymi żywicą sosnami mam wystarczająco dużo czasu, aby przystanąć na chwilę i przyjrzeć się tej sytuacji. Przy koniku idą jeszcze dwie osoby. Kobiety. Rozmawiają półszeptem. Wreszcie ubrany w czarny kask chłopczyk bardzo powoli, miarowo i systematycznie zaczyna przybliżać twarz ku szyi kucyka. Po kilku minutach przełamywania się mocno przytula się do zwierzęcia. Teraz idą już razem. Bez oporów. Gdy ta piękna, trzyosobowa procesja dociera wreszcie do mnie, mogę już wyraźnie zobaczyć twarze wszystkich jej uczestników. Kobiety serdecznie się uśmiechają. Chłopczyk jest nadal wtulony w niosącego go kucyka. Nie mam pewności, czy wie, że się do niego uśmiecham. Jest niewidomy.

Opasłe tomisko baśni

– Rzeczywiście. Hipoterapia jest jedną z tych metod, jakimi próbujemy skłonić te dzieci do otwarcia się. To dość długofalowy proces – uśmiecha się siostra Damiana, bibliotekarka tutejszego ośrodka w podwarszawskich Laskach. – Swoją drogą one naprawdę kochają te zwierzaki.

– Przez krzyż, proszę siostry – do pachnącej starym drewnem i pogrążonej w półcieniu czytelni wchodzi dziesięcioletnia dziewczynka. Biała laska pomaga jej wyczuć próg w drzwiach. Przechodzi go bez problemu. Widać, że nie jest tu pierwszy raz.

– Do Nieba, Helenko. Do Nieba... – odpowiada siostra Damiana zgodnie z pozdrowieniem całego zgromadzenia. – W czym ci mogę pomóc?

– Pani Agnieszka prosiła nas o przeczytanie baśni Hansa Christiana... – zawiesza się na moment dziewczynka.

– ...Hansa Christiana Andersena – pomaga siostra Damiana. – Oczywiście. Mam dla ciebie piękny egzemplarz. Poczekaj sekundkę.

Ubrana w ciemnobrązowy habit siostra znika, wchodząc między ciągnące się regały z książkami. O tym, że nadal gdzieś tam jest, świadczą w tej chwili jedynie ciche szelesty przewracanych okładek. Wreszcie jest. Siostra triumfalnie wraca do swojego biura. W ręku trzyma dwie pokaźne księgi. – To książki w Braille'u – tłumaczy siostra. – Tutaj nawet cienkie opowiadanie kończy się tomiskiem.

Przez chwilkę wspólnie oglądamy kolejne karty przyniesionej przez siostrę książki. Gruby brajlowski papier jest konieczny, aby „wdrukowywane" dziurki



Tak wielu tak wiele jej zawdzięczało. Pogrzeb Matki Elżbiety był wydarzeniem ogólnokrajowym

i uwypuklenia nabrały czytelnego dla odbiorcy kształtu. Dziewczynka jest uśmiechnięta.

– Przyjedzie pan do nas jeszcze? – zbliżając się do drzwi wyjściowych raz jeszcze odwraca się z uśmiechem w moją stronę.

– Na pewno – odpowiadam wzruszony. – Bardzo bym chciał.

Ośrodek Sióstr Franciszkanek w podwarszawskich Laskach to jedyne takie miejsce w kraju. Uczy się tu około trzystu niewidomych i niedowidzących dzieci z całej Polski. Podopieczni sióstr rozpoczynają edukację w przedszkolu, ucząc się niezależności oraz samodzielności w ubieraniu się, jedzeniu i poruszaniu się. Następnie podopieczni idą do tutejszej szkoły podstawowej. Wreszcie do liceum bądź technikum. Na szkołach zawodowych kończąc.

– Ostatnią rzeczą, jakiej chciałaby Matka Założycielka, było to, aby niewidomi pracowali wyłącznie charytatywnie – tłumaczy siostra Gabriela, ekonomka zgromadzenia. – Ona naprawdę chciała, aby stali

eprasa.pl c3ea528a8b



FOT. ZBIORY ZGROMADZENIA SIÓSTR FRANCISZKANEK SŁUŻEBNIC KRZYŻA (FSK)

się żywą tkanką społeczną. Tak bardzo potrzebną społeczeństwu. Wykonującą ważną pracę. I, co istotne, godnie zarabiającą.

▶ „Tu nie ma nic do zrobienia"

Matka Założycielka, czyli Elżbieta Róża Czacka. Nie byłoby tego miejsca bez niej. Wszak to ona samodzielnie założyła całe to przedsięwzięcie, popularnie nazywane dziś w środowisku „dziełem Lasek". Pracujące w cieniu pobliskiej Puszczy Kampinoskiej w cichości i pobożnej pokorze siostry to jej duchowe spadkobierczynie. Funkcjonują w miejscu, do którego zimą zaglądają jedynie głodne łosie. A latem kilkoro pielgrzymów. Którzy akurat usłyszeli gdzieś o bohaterskiej hrabiance, co to chciała być świętą. I pewnie jeszcze długo by tak pozostało, gdyby nie pewne zrządzenie Opatrzności.

– Podwójna beatyfikacja nie była planowana – siostra Gabriela tłumaczy mi kulisy decyzji o wyniesieniu na ołtarze prymasa Stefana Wyszyńskiego oraz siostry Elżbiety Róży Czackiej. – Ani przez archidiecezję, ani nasze zgromadzenie. Zresztą w momencie, w którym była już planowana beatyfikacja Księdza Prymasa, proces o uznanie cudu za wstawiennictwem Matki Czackiej jeszcze trwał. Jak się jednak okazało, pandemia pokrzyżowała plany. Z kolei inne plany, te Boże, sprawiły, że Syn poczekał na Matkę.

O kardynale Stefanie Wyszyńskim słyszał w Polsce każdy. Jednak o drugim bohaterze wrześniowych uroczystości beatyfikacyjnych, o siostrze Róży Czackiej, już raczej nie wszyscy. Dość powiedzieć, że wielu ludzi po raz pierwszy usłyszało o niewidomej założycielce Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża dopiero w dniu ogłoszenia decyzji o wspólnej beatyfikacji. Kim więc była cicha i pokorna służebnica? A zarazem wielki umysł, planujący i realizujący wielki projekt ratunku dla tysięcy niewidomych ociemniałych w całym kraju?

– Mało kto wie, że nasza Matka Założycielka urodziła się na terenie dzisiejszej Ukrainy – rozpoczyna krótki rys biograficzny siostra Gabriela. – Wszystko działo się jeszcze w XIX wieku, a dokładnie w 1876 roku. W bardzo szlacheckim domu. Dość wspomnieć, że stryj małej Róży był osobistym sekretarzem papieża Piusa IX, a następnie doradcą Leona XIII.

Jeśli dołożyć do tego jeszcze babcię, Pelagię z Sapiehów Czacką, która to sześcioletniej dziewczynce podsuwała książkę „O naśladowaniu Chrystusa" – co ważne: po francusku – obraz domu, w którym dorastała Róża, będzie już kompletny. Niestety bogactwo i szlachectwo rodziny nie mogło pomóc w osobistym dramacie, z jakim od dzieciństwa zmagała się mała Róża. Od maleńkości cierpiąc na zanikający wzrok. Z czasem do wysokiej krótkowzroczności i jaskry doszedł wypadek, który zdarzył się, gdy Róża miała osiemnaście lat. Spadła z konia, a upadek spowodował odklejenie się siatkówki. Było jasne, że wzroku nie da się już uratować.

Rodzina jednak, co zrozumiałe, nadal próbowała. Posyłając ukochaną córkę do najlepszych specjalistów. Wszyscy bezradnie rozkładali ręce. Kolejne wizyty kończyły się tylko podsycaniem złudnej nadziei, która i tak w finale okazywała się płonna. Wszystko zmieniła dopiero wizyta u doktora Bolesława Gepnera. To od niego Róża usłyszy gorzkie, lecz niezwykle prorockie słowa: „Niechaj się pani nie pozwoli wozić od jednej sławy zagranicznej do drugiej. Tu nie ma nic do zrobienia, stan wzroku jest beznadziejny. Niech pani zajmie się niewidomymi, którymi w Polsce nikt się nie zajmuje". Róża posłuchała doktora. I zaczęła się zajmować. Na serio.

eprasa.pl c3ea528a8b



To jedno z jej ostatnich zdjęć. Zmorzona chorobą Matka Róża Czacka umiera w maju 1961 roku



Trzy lata przed wybuchem wojny w Laskach już działo się bardzo wiele. Matka Elżbieta (druga od lewej) w otoczeniu ukochanych sióstr i córek

Przebłaganie za ślepotę świata

W słowach doktora Gepnera przejawiła się jednocześnie bardzo realna diagnoza sytuacji społecznej w Polsce. Ówczesny los ludzi niewidomych w kraju był rzeczywiście dramatyczny. Zabory sprawiły, że rozwój wielu instytucji społecznych był na naszych ziemiach bardzo opóźniony w stosunku do tego, co działo się w Europie. Dodatkowo nieustannie brakowało pieniędzy. Ubodzy ludzie objęci byli minimalną tylko opieką, a niewidomi, liczeni w dziesiątkach tysięcy, zmuszeni po prostu do żebrania na ulicy. Musiała pojawić się ona – niewidoma hrabianka – żeby inni niewidomi mogli dzięki niej powoli odzyskiwać swoją utraconą godność.

19 listopada 1908 roku odbywa się w Warszawie zebranie założycielskie Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi. Dwa lata później powstaje pierwsze schronisko dla niewidomych w stolicy. Budynek przy ulicy Dzielnej 37 utrzymywany jest wyłącznie z prywatnych funduszy Czackiej. Niewidome kobiety uczą się tutaj alfabetu Braille'a oraz rzemiosła koszykarstwa. Z czasem podobnych placówek powstaje więcej. Coraz większa liczba chętnych do pomocy niewidomym sprawia, że siedziba Towarzystwa musi znaleźć sobie większy budynek. Wybór pada na ten stojący przy ulicy Złotej 76.

Za kilka lat właśnie ten budynek zostanie zbombardowany przez Niemców. Przebywającą w środku Matkę Elżbietą trafi spadająca cegła. Rani oko. Konieczna będzie operacja jego usunięcia. Zostanie przeprowadzona bez znieczulenia.

– Moment ostatecznej utraty wzroku Matka Czacka będzie w przyszłości nazywać największym błogosławieństwem, jakie mogło się jej przydarzyć – uśmiecha się dobrodusznie siostra Gabriela. Ona także jest członkiem założonego przez Różę Czacką Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża. Powstałego jeszcze w 1918 roku. Ze statutowym założeniem misji o nieustannej służbie ludziom niewidomym i wynagradzaniu za duchową ślepotę świata. Misji, której wierna jest do dziś. Ona i wszystkie pozostałe siostry.

eprasa.pl c3ea528a8b





Jedynie Opatrzność wiedziała, jak wielkie dzieło czeka tę szesnastoletnią dziewczynę

FOT. ZBIORY ZGROMADZENIA SIÓSTR FRANCISZKANEK SŁUŻEBNIC KRZYŻA (FSK)

Urocze nieskomplikowanie

Laski witają mnie pięknym słonecznym porankiem. Póki co na parkingu nie widać jeszcze za wiele aut. Wychodzę z samochodu, aby dyskretnie pospacerować po tutejszych leśnych ścieżkach poprowadzonych między wzniesionymi w puszczy budynkami. Część stanowią budynki gospodarcze. W części mieszkają siostry. Jest pokaźnych rozmiarów stołówka, z której od świtu dochodzi pobudzający wyobraźnię zapach domowego ciasta i kawy. Jest wspomniana biblioteka. Jest stajnia dla koni. Budynek dla świeckich pracowników administracyjnych. Wreszcie zaś urokliwa, w części drewniana kaplica.

– Ciało Matki przenieśliśmy na początku grudnia ubiegłego roku z pobliskiego leśnego cmentarzyka do nowej trumienki – wyjaśnia siostra Gabriela. – Zostało złożone w sarkofagu w osobistym pokoju Matki. Usytuowanym tuż za prawą nawą kaplicy. Dziś mamy tam takie małe sanktuarium.

Za chwilę zacznie się poranna msza. Kilka sióstr po cichutku udaje się w kierunku tutejszej kaplicy. Idą osobno. Każda w skupieniu. Ale jakimś trudnym do opisania stanem radości. Pokoju.

– Przez krzyż! – pozdrawiam mijającą mnie znaną mi wcześniej z widzenia siostrę.

– Do Nieba! Do samiutkiego Nieeeba! – śmieje się głośno kobieta. Jest nienaturalnie wręcz pogodna. Z fascynującym urokiem duchowej czystości. Nieskomplikowania. Obcując z takimi ludźmi aż chce się zostać tutaj na dłużej.

Stojąc na niewielkim trawiastym placyku pod Kaplicą Matki Bożej Anielskiej mam chwilkę, aby się rozejrzeć. Tu nic nie jest niezadbane. Wszystko zdaje się tu współgrać z naturą. I kobiecym podejściem do porządku i czystości. Jak to zwykle bywa w kobiecych klasztorach.

– Będzie pan robił mi zdjęcia? – uśmiecha się podejrzliwie starsza, nieco już zgarbiona siostra. Przed chwilą wyszła z jednego z bardziej wiekowych budynków ośrodka. Z miotłą w dłoni. Będzie sprzątać.

Zaraz za nią dostrzegam inną franciszkankę. Ta jest już znacznie młodsza od poprzedniej. Dziarskim i sprężystym krokiem rusza z dwoma wiadrami

eprasa.pl c3ea528a8b

w kierunku pobliskiego kranu. Każdy wie, co ma tutaj robić. A zajęć w Laskach jest bez liku.

Komórka, by lepiej słyszeć

Od klasztornych zabudowań do pobliskiego zespołu internatu dla niewidomych dzieci prowadzi urokliwa asfaltowa ścieżka. Wyłączona z ruchu. I ozdobiona równo rosnącymi po obu stronach drzewkami. Dla większości posługujących w szkole sióstr to codzienna droga. Pomagają żyjącym tu dzieciom stać się w pełni sprawnymi ludźmi. Póki co tutaj też nikogo nie widać. Ruszam więc w stronę placówek edukacyjnych ośrodka.

Naraz spowitą niewysłowioną ciszą pustkę poranka zakłóca delikatny dźwięk. Miarowe pukanie. Odwracam się, by sprawdzić, co to takiego. To spacerujący pogodnie kilkunastoletni chłopczyk z tornistrem na plecach. Wystukujący sobie białą laską trasę.

– Cześć, Szymciu! – wita się z chłopcem pan, który specjalnie dla niego opuścił na moment nieopodal stojącą stróżówkę. – Co u ciebie?

– A wszystko dobrze, panie Mirku – odpowiada chłopczyk, nie odwracając jednak głowy w kierunku pana ochroniarza. – Wszystko dobrze!

Z czasem podobnych Szymków będę na tutejszej alei mijał więcej. Nieraz uczniowie idą sami, czasem w parach. Jedną dwójkę słychać już z daleka. W kieszeni jednego z nich gra telefon z jakimś przebojem. Chłopcy idą pod rękę. Obaj w ciemnych okularach. Wzajemnie się prowadząc. Wyczulone zmysły słuchu z łatwością wyłapują każdy, nawet ledwo słyszalny, szmer.

– Uwaga, rower jedzie... – szepcze wyższy, sprowadzając idącego z nim pod rękę chłopca nieco na bok chodnika.

– Dzień dobry, chłopaki! – wykrzykuje wąsaty pan jadący na dwóch kółkach.

– Dzień dobry, panie Andrzeju! – odpowiadają chórem chłopcy. – Piękny mamy dzisiaj dzień, nieprawdaż? Słońce opala twarze aż miło!

Jak ksiądz Wyszyński wszystko zepsuł

– W tym pokoiku zwykł pomieszkiwać – oprowadzająca mnie po terenie zakładu siostra Gabriela wprowadza mnie na pięterko niewielkiego domku położonego najbliżej lasu. Jak się okazuje, to mieszkanie księdza Władysława Korniłowicza, duchowego przewodnika młodego księdza Wyszyńskiego i duchowego opiekuna całego dzieła Lasek. – Ksiądz Korniłowicz był także spowiednikiem Matki Założycielki. A przy tym wielkim przyjacielem



Marzeniem Matki Elżbiety było, by niewidomi stali się żywą tkanką społeczną

Prymasa. Pierwsza dwójka jest już w Niebie. Teraz czekamy na tego trzeciego.

Ksiądz kardynał Stefan Wyszyński, Matka Elżbieta Róża Czacka oraz ksiądz Władysław Korniłowicz. Trójka niezwykłych ludzi. Przyjaciół w całości oddanych Bogu. Tak się składa, że wspólną rzeczywistością dla całej trójki stały się z czasem Laski. Tutaj się spotkali. Tutaj pracowali. Ksiądz Wyszyński jako kapelanem okolicznej grupy AK „Kampinos". Matka Czacka zaś jako założycielka dzieła Lasek. Ksiądz Władysław z kolei jako opiekun duchowy posługujących tu sióstr. Sposoby ich poznawania się i spotkań były jednak nader różne. Do dziś zresztą chodzi po Laskach wśród tutejszych sióstr legenda o pewnym konkretnym wspólnym wydarzeniu dwójki dopiero co błogosławionych. I warunkach, w jakich miało miejsce to spotkanie.

Pewnego dnia przyjechała do Lasek słynna w całym kraju rzeźbiarka, pani Zofia Trzcińska-Kamińska. Miała misję do spełnienia. Bardzo pragnęła namówić Matkę Generalną na rzeźbiarską sesję. Oczywiście nie było to proste. Siostra Elżbieta od Krzyża – z racji głębokiej pokory i braku symptomów próżności – daleka było od jakiejkolwiek perspektywy uwieczniania swojego wizerunku. Jednak po usilnych namowach zarówno samej artystki, jak i pozostałych sióstr, Matka uległa.

eprasa.pl c3ea528a8b

– Po zgodzie Matki Generalnej prędko zaaranżowano studio i zaproszono doń przełożoną – opowiada z tajemniczym uśmiechem siostra Gabriela. Już po samych jej oczach widać, że lubi opowiadać ludziom tę dykteryjkę. – Aby zachować powagę chwili i utrwalić na odlewie możliwie dostojny i nabożny wyraz naszej Matki, wpadnięto na pomysł, aby w trakcie sesji jedna z sióstr czytała na głos filozoficzne dzieła Ruysbroecka. Poskutkowało. Matka, jak to miała w zwyczaju, gdy wszystko, za co się zabierała, robiła z największą starannością, tak i w tym przypadku zagłębiła się w słuchaniu. Przybierając z czasem tak oczekiwany przez panią Trzcińską-Kamińską wyraz twarzy.

– Rozumiem, że długo takiego stanu nie dało się utrzymać? – zgaduję zakończenie historii.

– Dokładnie. Duży w tym udział miał jednak pewien młody ksiądz – wybucha śmiechem siostra Gabriela. – Otóż, wpadł naraz do pokoiku i zaczął z zapałem opowiadać o tym wszystkim, co wydarzyło się właśnie na terenie ośrodka. Wymachiwał przy tym rękami i śmiał się. Cała atmosfera powagi prysła niczym bańka mydlana. Po wyjściu tego dwudziestokilkuletniego kapłana pani Zofia ponownie zaczęła więc ustawiać profil siostry pod sesję. Gdy skończyła i zabrała się do pracy, do pokoju znów wbiegł ów kapłan. Z kolejną dawką historii. Siostra Elżbieta znów zaczęła się głośno śmiać. Pani Zofia załamała ręce i zwróciła księdzu uwagę, że w takich warunkach nie da się pracować. Że właśnie wszystko zepsuł. Domyślasz się, jak miał na imię ów ksiądz?...

– Stefan? – zgaduję.

– Tak, Stefan – przytakuje z uśmiechem siostra Gabriela. – Stefan Wyszyński.

Cuda na długo przed beatyfikacją

Po raz pierwszy Stefan Wyszyński i Róża Czacka spotkali się jeszcze latem 1926 roku. Właśnie tutaj, w Laskach. Wyszyński przybył tu za sprawą swojego ojca duchowego, wspomnianego już księdza Korniłowicza. Przyszły kardynał był ledwo dwa lata po święceniach. Siostra Elżbieta, licząca wtedy już pięćdziesiąt wiosen, bardzo szybko zaczęła traktować dopiero co poznanego kapłana jak własnego syna. On zaś nie pozostał dłużny: do ostatnich dni traktował Siostrę Elżbietę jak matkę, trzymając jej obrazek na swym biurku tuż obok zdjęcia Julianny Wyszyńskiej.

Świadkowie tamtych wydarzeń zapamiętali tę dwójkę, jak wspólnie spacerowali po tutejszych alejkach zapalczywie o czymś rozmawiając. – Jestem przekonana, że rozmawiali o Bogu. To byli tacy właśnie ludzie. Bez reszty oddani woli Wszechmocnego – konstatuje siostra Gabriela.

W czasie Powstania Warszawskiego nadal współpracowali. Gdy w Laskach powstawał szpital powstańczy, Matka Czacka wraz z księdzem Wyszyńskim ramię w ramię pracowali przy jego budowie. Zaangażowani w pomoc rannym byli zresztą praktycznie wszyscy mieszkańcy zakładu. Także niewidomi.

– Święci się rozpoznają – mówi z pewnością w głosie siostra Gabriela. – Z każdym rokiem więź między Matką Założycielką a młodym księdzem Stefanem zacieśniała się coraz bardziej. Dziś oboje są już w Niebie. Bo plany Boże nie są naszymi planami...

Od wigilijnej soboty 11 września tego roku, gdy to w Laskach zorganizowano nocne czuwanie przy sarkofagu z ciałem ekshumowanej Elżbiety Róży Czackiej tuż przed świętem jej beatyfikacji, do niewielkiej miejscowości w Puszczy Kampinoskiej cały czas przyjeżdżają wierni. W maleńkiej kapliczce, w której zostało złożone ciało błogosławionej, nieustannie ktoś jest. Klęczą zarówno mieszkające tu siostry franciszkanki, jak i przyjezdni. Każdy chce pobyć tutaj choćby przez chwilę. Czy w związku z licznymi peregrynacjami w to miejsce siostry otrzymały już kolejne świadectwa potężnego orędownictwa swojej Matki Założycielki? – Ostatnie dni to było dla nas prawdziwe szaleństwo. Z jednej strony wielka radość, z drugiej tyle zajęć i obowiązków. Cały czas w nas to pracuje – wyjaśnia siostra Gabriela. – Myślę więc, że wszelkie świadectwa dopiero zaczną do nas spływać. Gdy to wszystko nieco się uspokoi. A dziać się na pewno będzie wiele. Jestem o tym przekonana.

Te cuda zresztą dzieją się w Laskach już od lat. Nie trzeba było na nie czekać aż do samej beatyfikacji. Codzienna tytaniczna praca z niewidomymi dziećmi cichych i radosnych w swoim wysiłku sióstr franciszkanek jest tego najlepszym świadectwem. Owoce tych cudów widać tu choćby każdego poranka. Gdy kolejne dzieci z uśmiechem wędrują za zajęcia. Gdy przekraczają kolejne bariery. Osiągają poziomy do tej pory dla nich nieosiągalne. Wielkie dzieło Matki Róży wyprzedziło moment ogłoszenia jej przez Kościół błogosławioną. I to na dziesiątki lat.

A co jeśli ktoś potrzebuje więcej? Jeśli ktoś nie wierzy i woli się sam przekonać? Odpowiedź jest bardzo prosta. Wszak brama zakładu praktycznie cały czas jest otwarta. Podobnie jak drzwi do tutejszej kaplicy. – Zapraszamy każdego. Tak do naszego wolontariatu i służby niewidomym dzieciom, jak i do wspólnej modlitwy – dodaje na koniec siostra Gabriela. – Matka Założycielka nadal tutaj czeka. Aby pomagać. Wszystkim niewidomym. Tak na duszy, jak i na ciele. ■

FOT. ZBIORY ZGROMADZENIA SIÓSTR FRANCISZKANEK SŁUŻEBNIC KRZYŻA (FSK)

eprasa.pl c3ea528a8b

Jesteśmy członkiem UE, a nie jej kolonią



Bez Polski i Trójmorza Unia Europejska się rozpadnie – to my jesteśmy potrzebni wspólnocie, a UE jako wspólnota musi mieć postawę służebną wobec jej członków i nie może wychodzić z pozycji kolonialnej wobec nas – z prof. ZBIGNIEWEM KRYSIAKIEM z Instytutu Myśli Schumana rozmawia GRZEGORZ WSZOŁEK.



FOT. Wojciech Olkuśnik/PAP

▶ Panie Profesorze, wraz z socjologiem Tomaszem Grossem jesteście autorami bilansu strat i zysków ekonomicznych wynikających z przynależności Polski do Unii Europejskiej. Co skłoniło panów do napisania raportu, zaprezentowanego później przez europosła Patryka Jakiego?

Chcę na początku podkreślić, że poglądy wyrażone w raporcie są moje prywatne, a nie uczelni SGH, w której pracuję.

Sporządziliśmy raport, pokazujący asymetrię korzyści gospodarczych uczestnictwa we wspólnocie europejskiej, przede wszystkich tych, które są z perspektywy rodziny czy gospodarstwa domowego bardzo ważne. Nie ulega przy tym wątpliwości, że Polska zrobiła dobry krok, wchodząc do Unii Europejskiej – pozytywnie odbiło się to m.in. na wzroście gospodarczym kraju. Jednakże mamy do czynienia z silną asymetrią podziału korzyści wypracowanych w UE, gdzie państwa zachodnie zyskują dużo więcej niż kraje środkowej Europy. Idea wspólnoty europejskiej wprowadzana przez Schumana za jego życia zmierzała do uzyskania efektu konwergencji, czyli zbliżania się potencjałów ekonomicznych wszystkich członków wspólnoty. Od lat 80. zwolennicy Spinellego [Altiero Spinelli – włoski polityk, zwolennik federalnej koncepcji zjednoczenia Europy – przyp. red.] sterują wspólnotę Europy na kierunek superpaństwa, co jest niejako przeciwne idei Schumana i powoli prowadzi do destrukcji wspólnoty na rzecz uniformu, w którym dominują Niemcy. W sytuacji, gdy Zachód korzysta dużo więcej, a Wschód mniej, to nie będzie możliwe dogonienie przez Polskę na przykład Niemiec czy Holandii. Ilustrowanie przedmiotowej asymetrii oraz co oznacza doganianie Niemców przez Polskę, powinno być komunikowane obywatelom w sposób przejrzysty, a nie przez stosowanie przez ekonomistów wyłącznie hermetycznego języka. Wiemy, że PKB jest bardzo ubogim miernikiem bogactwa ekonomicznego obywateli, a przy tym bardzo dla nich niezrozumiałym w sensie takim, jak to się przekłada na ich zamożność. W związku z tym operowanie wartością PKB/capita jako miernika odległości do bogatych krajów na zachodzie jest mylne, dlatego w raporcie wskazujemy na konieczność stosowania jednocześnie pięciu wskaźników, które są generalnie zrozumiałe dla wszystkich, bez względu na wykształcenie. Do tych wskaźników należy zaliczyć: wartość kapitału (czyli wartość nieruchomości, oszczędności, depozytów, akcji, obligacji) na gospodarstwo domowe, średnia pensja, minimalna pensja, liczba metrów kwadra-

eprasa.pl/c2ea528a8b

towych, jaką można kupić za średnią pensję, PKB/capita (czyli wartość PKB na mieszkańca Polski). Zapoznaliśmy się też z innymi opracowaniami wykonanymi w UE, które wskazywały także na asymetrię w przedmiotowej sprawie, ale były one dalece niepełne, szczególnie jeśli chodzi o zyski, jakie odnoszą w Polsce firmy z Niemiec czy Holandii na tle zysków, jakie odnoszą polskie firmy na Zachodzie. Polska wypada zdecydowanie gorzej w kwestii zarobków na głowę mieszkańca, co nie jest nowym odkryciem, lecz wskazuje na poważną asymetrię. Inny dokument, opracowany przez jeden z niemieckich think tanków na zlecenie Komisji Europejskiej, wykazał, że wdrożenie waluty euro pod naciskiem Berlina doprowadziło do strat we Francji, Włoszech i w Portugalii w kwocie dochodzącej aż do trzech rocznych produktów krajowych brutto. Mówimy o potężnych kwotach, idących w biliony euro. Zatem zastanawialiśmy się przed napisaniem raportu, z czym mamy tak naprawdę do czynienia – czy ze wspólnotą, czy też z jej zaprzeczeniem? W relacjach wspólnotowych powinno być tak, że jeśli razem pracujemy nad wspólnym projektem i mamy podobny wkład, to podział korzyści powinien być także w miarę wyrównany, a więc nie może dochodzić do sytuacji, że na przykład z wypracowanych 100 zł Niemcy zabierają 80 zł. Tym raportem inicjujemy debatę i zachęcamy różne środowiska naukowe i eksperckie do oceny tej asymetrii. Podkreślam: nie są to nominalne straty, bo nasza gospodarka bez Unii Europejskiej nie rozwijałaby się w takim tempie. Chodzi o to, żeby gra była fair, a będąc we wspólnocie nie możemy korzystać dużo mniej niż to wynika z wkładu Polski, jaki między innymi wynika z dostępu krajów zachodnich UE do naszego rynku. Za kilka lat będziemy płatnikami netto do budżetu UE i należy zastanowić się nad tym, jakie kwoty powinniśmy wpłacać, czyli jakie kwoty będą uzasadnione z perspektywy odnoszonych korzyści. W raporcie sformułowaliśmy potrzebę stworzenia mierników jako podstawę do obliczenia takich wpłat. A co istotne, rozważaliśmy, jak rośnie kapitał gospodarstw domowych z faktu przynależności do Unii Europejskiej.

▶ I co panom wyszło z tych kalkulacji?

Niestety sytuacja wygląda bardzo źle, jeśli weźmie się pod uwagę wartość nieruchomości, depozytów, oszczędności, obligacji i akcji – to miara, która jest jak najbardziej odczuwalna przez gospodarstwa domowe. Potencjał kapitałowy polskich gospodarstw domowych raczej nie poprawia się w stosunku do Niemiec czy Holandii. Według Komisji Europejskiej, z roku na rok przyrost kapitału na gospodarstwach domowych jest dużo szybszy w zachodniej Europie niż w Polsce. Oznacza to w praktyce, iż bez zmiany modelu gospodarki UE nigdy nie dogonimy Niemiec! Stawiamy w raporcie taki oto wniosek z prof. Grossem: PKB jako ogólny miernik nie może być podstawą do określenia dobrobytu i sytuacji ekonomicznej. Proponujemy w zamian wprowadzenie pięciu obiektywnych wskaźników: kapitał na gospodarstwo domowe, średnia pensja, minimalna pensja, PKB *per capita* i liczba metrów kwadratowych mieszkania ze średniej pensji. Potrzebujemy więcej takich opracowań i analiz, które będą pogłębiały problematykę kwantyfikowania asymetrii i analizę czynników ją determinujących – po to, by obywatele posiadali wiedzę, jak naprawdę rozwija się ich państwo i ich własny majątek.

▶ Jak wyglądała współpraca z Patrykiem Jakim? Polityk Solidarnej Polski sam się do panów zgłosił z propozycją tematu?

Jako naukowcy interesowaliśmy się problematyką uczestnictwa i asymetrii w Unii Europejskiej od dawna. Dodatkowo różne analizy i raporty unijne w ostatnich latach stanowiły inspirację dla polityków – nie tylko w polskich gremiach, lecz także w innych krajach. W ten sposób dojrzewająca waga tego problemu osiągnęła masę krytyczną i sprawiła, że grupa Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim poprosiła nas o przedstawienie naszej opinii na ten temat. Taką naszą opinię przedstawiliśmy w przedmiotowym raporcie, a zatem nie jest to opinia Europejskich Konserwatystów i Reformatorów lub jakiejkolwiek innej partii, lecz jest przygotowana z perspektywy naukowej analizy problemu w ramach posiadanej przez nas samodzielności naukowej, którą jako profesorowie nabyliśmy w procesie uzyskiwania stopni naukowych. Sprawa także dojrzała do tego, by przedstawić pierwsze poglądy z polskiej perspektywy.

▶ Na podstawie jakich źródeł i danych opieraliście się panowie w swoich wyliczeniach?

To przede wszystkim źródła Eurostatu, Komisji Europejskiej, Narodowego Banku Polskiego, Banku Światowego, dostępne dane z Ministerstwa Finansów, dane budżetowe z Polski i Unii oraz inne, m.in. z Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu. Całość pracy zajmuje około 120 stron.

eprasa.pl c3ea528a8b

▶ Z grubsza rzecz ujmując, raport wskazuje na ogromne straty – aż 535 mld zł z tytułu zysków unijnych firm w transakcjach z Polską i bilansu handlowego. Podtrzymuje Pan główną tezę?

Ważna uwaga: liczby uwypuklają asymetrię w korzyściach, co nie oznacza nominalnych strat dla Polski po wejściu do UE. To nie znaczy, że nie należało wchodzić do Unii Europejskiej. Członkostwo w tej strukturze przyczyniło się do ogromnego impulsu dla rozwoju gospodarczego, ale jednocześnie powinniśmy byli więcej uzyskiwać choćby z wpłat budżetowych UE. Obecnie otrzymywaliśmy średnio netto około 30 mld zł, a powinniśmy dostawać dwa razy więcej, żeby zredukować asymetrię!

▶ „Puls Biznesu" odniósł się obszernie do głównych tez zawartych w raporcie. Czytał Pan okładkowy tekst magazynu ekonomicznego?

Zapoznałem się z nim. W zasadzie doszukałem się tylko jednego elementu merytorycznego, który i tak wymagałby pewnych komentarzy. Pozostała część tekstu jest pozamerytoryczna. „Puls Biznesu" opierał się na danych fundacji CASE, kiedyś założonej przez prof. Leszka Balcerowicza. Autorzy analizy skupiają się na wzroście PKB – czego dotyczą w głównej mierze wyliczenia CASE – a nie na zyskach firm z zachodnich krajów UE, co jest głównym punktem uwagi w naszym raporcie. Należy przy tym podkreślić, że ja i pan prof. Grosse stosujemy inną metodą oceny niż „Puls Biznesu", bo używamy odmienne mierniki oceny sytuacji ekonomicznej Polski na tle UE. Istotną różnicą, i niezwykle ważną z merytorycznego punktu widzenia, jest także fakt, że w naszym raporcie skupiamy się na ocenie asymetrii korzyści Polski w relacjach z UE, zaś „Puls Biznesu" tego nie podejmuje, gdyż przedstawia liczby dotyczące tylko nominalnej wartości polskiego PKB bez porównywania do PKB innych krajów, na przykład Niemiec. „Puls Biznesu" cytując za CASE przyjmuje, w tzw. analizie ekonometrycznej: co by było, gdyby Polska nie weszła do UE?, że nominalny wzrost PKB/capita będzie miał trend liniowy, jakby przedłużenie zmian PKB/capita z okresu od 1990–2004, czyli sprzed wejścia Polski do UE. Jest to w mojej opinii błędne założenie, chociażby z tego powodu, że trend zmian PKB/capita, jak wynika z wykresu opracowanego przez CASE, w okresie 1990–2004 nie ma trendu liniowego, lecz „lekko wykładniczy". Zatem można oczywiście stwierdzić, że wejście Polski do UE, owszem, przyczyniło się do przyspieszenia wzrostu PKB/capita, lecz nie w takim tempie, jak podaje „Puls Biznesu" na podstawie opinii CASE. W toku takiego rozumowania „Puls Biznes" podaje, że nominalny przyrost PKB wskutek akcesji do UE wyniósł od 2 000 mld zł do 4 000 mld zł. Sądzę, że tak istotny rozrzut w ocenie inkrementalnego przyrostu PKB wskazuje na dużą niedokładność modelu w przyjętej ocenie, co w dużym stopniu potwierdza naszą tezę, że założenie o liniowości trendu PKB/capita bez akcesji do UE nie posiada silnych podstaw i raczej nie jest uzasadnione. Model ekonometryczny zawsze powinien wynikać z analizy fundamentalnej, której zadaniem jest znalezienie związku przyczynowo-skutkowego. W takim kontekście budowany model ekonometryczny powinien już tylko prowadzić do skwantyfikowania skali weryfikowanej hipotezy, tzn. wykazać istotność statystyczną i siłę związku wielkości ekonomicznych modelu. Podchodząc fundamentalnie należy stwierdzić, że nasz kraj przed wejściem do UE funkcjonował już 14 lat w formie gospodarki otwartej, która handlowała coraz bardziej intensywnie ze światem, w tym strefą UE oraz strefą Euro, a obserwowany wzrost PKB/capita wykazywał tendencję „lekko wykładniczą", a nie liniową. Otwarcie polskiej gospodarki na świat po 1989 roku spowodowało, że wartość dodana, którą zyskiwała polska gospodarka, wynikała coraz bardziej w dalszej kolejności nie tylko z akcesji do UE, lecz w ogóle z tytułu otwarcia się na świat. CASE stosuje, w przedstawianym modelu ekonometrycznym, myślenie na zasadzie: „co by było, gdyby". My bazujemy na liczbach rzeczywistych, pokazujących zyski firm z UE, a oni na założeniach. To ogromna różnica.

▶ „Bilans przepływów gotówki z tytułu dochodów naprawdę nic nam nie mówi o bilansie relacji między jednym krajem a innymi krajami" – czytamy w „Pulsie Biznesu". Dziennikarze wskazują, że choć kraj taki jak Polska może mieć ujemny bilans, to rekompensuje go inwestycjami. I tak naprawdę ten wątek trudno jednoznacznie przedstawić na liczbach.

Odpowiem bardzo konkretnie: spółki w UE, głównie z Niemiec i Holandii, dzięki inwestycjom zarobiły 981 mld zł netto. To jest konkretny pieniądz dla tych firm, o czym szeroko piszemy. Raport ma przemawiać do obywateli i poszerzać ich wiedzę. Nie kwestionujemy tego, że kapitał był wnoszony (przedstawiono to w raporcie) do

eprasa.pl c3ea528a8b

Polski i odnosił zyski, ale te zyski były asymetryczne, na co wskazują także duże różnice, nawet 3-, 4-krotne, między uzyskiwanymi stopami zwrotu na zachodzie Europy i w krajach Trójmorza. Dużo większe stopy zwrotu po prostu muszą z czegoś wynikać! Z czego? Ano z asymetrii, błędów związanych z kształtowaniem modelu gospodarczego wspólnoty na rzecz najbogatszych stolic. Bardzo konkretne i merytoryczne analizy w zakresie błędnego modelu ekonomicznego kształtowanego w okresie transformacji polskiej gospodarki, a później utrwalanego po wejściu do UE, przedstawił w wielu wystąpieniach i książkach pan prof. Kieżun. Ten błędny model, jak podkreśla również prof. Grosse, polegał na budowaniu rozwoju Polski w oparciu o dominację kapitału zagranicznego z pomijaniem roli kapitału narodowego. W długim okresie polska gospodarka rozwijana tylko o kapitał zagraniczny dojdzie do bariery rozwojowej i będzie niestabilna, co szczególnie będzie miało miejsce podczas kryzysów wywołanych za granicą. Od pięciu lat rząd Mateusza Morawieckiego poprawia sytuację na tym polu, momentami nawet udaje się istotnie zasypać rozdźwięk.

▶ Krytycy panów analizy przytaczają też, że nie uwzględniliście handlu usługami, skupiając uwagę tylko na wymianie towarów na rynku unijnym. I gdyby skorygować bilans przepływów środków, to uzyskalibyśmy nie deficyt w wysokości 680 mld zł, a nadwyżkę – do nawet 150 mld zł.

Jeszcze raz podkreślę, że nasz raport dotyczy asymetrii korzyści, czego adwersarze nie robią. Raport zawiera wykresy i informacje dotyczące eksportu i importu usług. Są także eksperci, którzy słusznie podnoszą, że pogłębianie analizy asymetrii powinno uwzględniać również takie sprawy, jak utraty wartości dla Polski z tytułu przejęcia polskiego cukru, cementowni i innych sektorów, często za tzw. przysłowiową złotówkę. Dodajmy również, że niemiecki rynek przez 5 lat był zamknięty dla polskich pracowników. Tych elementów w raporcie nie uwzględniliśmy i zgadzamy się ze zdaniem tych ekonomistów, którzy to podnoszą. Dochodzą do nas głosy od wielu ekonomistów z różnych stron dotyczące potrzeby uwzględnienia także innych czynników, które prowadziły lub prowadzą do asymetrii korzyści Polski w UE, co potwierdza, że raport odgrywa ważną rolę w zakresie zachęcenia do przygotowania innych analiz przez różne ośrodki, by dogłębnie zbadać zjawisko asymetrii korzyści. Co do usług – eksport polski ma zupełnie inną strukturę od importu. Import obejmuje marketing, konsulting i usługi prawnicze, które w istotny sposób obciążały koszty polskich firm i banków, redukując wpływy podatkowe. Ten proceder funkcjonował w Polsce przez wiele lat. Dopiero w ostatnich latach resort finansów zajął się zagadnieniem tzw. cen transferowych. Firma matka w Niemczech sprzedawała usługi firmie córce w Polsce i w ten sposób spółka za granicą dostarczała przychód, zasilając kasę tamtejszego fiskusa. A u nas? Firmy często funkcjonowały na stratach lub niższych zyskach, redukując wpływy podatkowe. Gdyby uwzględnić ten czynnik, to asymetria korzyści analizowana w raporcie byłaby jeszcze większa. Przypomnę, że istotnym składnikiem wartości PKB są dochody budżetowe. Jeśli chodzi o eksport usług, to dominującą jej częścią są usługi transportowe świadczone na ogół przez bardzo małe polskie przedsiębiorstwa z flotą po kilka ciężarówek, w najlepszym wypadku po kilkanaście, które jakoś wiążą koniec z końcem. Czyli nie są podmiotami generującymi ogromne zyski. Zarabiają na to, by się utrzymać, pokryć wszystkie koszty i coś odłożyć. Biznes transportowy nie jest lukratywny, ale jest usługą eksportową. Poza tym w ostatnich latach UE wywiera silną presję na polskie usługi transportowe, co skutkuje ich mniejszymi korzyściami. Zatem: interpretując konkretne liczby, trzeba wskazać na ich sens fundamentalny i ekonomiczny. Proste dodawanie nie uwidoczniłoby asymetrii zysków i strat. I nie jest prawdą, jeszcze raz zaznaczę, iż w raporcie nie ujęliśmy kwestii usług. Należy zauważyć, że nasz polski kapitał rodzimy niewiele się powiększył i w tym zakresie występuje duża i rosnąca asymetria w stosunku do zachodnich krajów UE. Kapitał rodzimy ma niezwykle duże znaczenie dla rozwoju i stabilizacji gospodarczej, a w szczególności w trakcie kryzysów.

▶ Dlaczego? Dla laika brzmi to pozytywnie.

Przytoczę 2008 rok, czyli erę kryzysu finansowego. Wszystkie banki zagraniczne – w tym niemieckie – wycofały się z akcji kredytowej. Gdyby nie PKO BP, to firmy, którym przestano z dnia na dzień udzielać kredytów, zwyczajnie by zbankrutowały! Wystąpiłby skrajnie niekorzystny efekt domina. Banki zagraniczne wyszły z założenia ratowania własnych interesów, dla których w takiej sytuacji nieważna była kondycja polskiej gospodarki. PKO BP przejął całą akcję kredytową, ponosząc przy tym duże koszty, ale za to uratował Polskę przez poważnym kryzysem.

eprasa.pl c3ea528a8b

Wartość dodana tego kapitału narodowego była jednak ogromna. Po kryzysie PKO BP także świetnie się rozwijał, bo klienci pamiętali o tym, jak PKO BP im pomógł przetrwać, i w dalszej kolejności zostali mu wierni. Bez polskich dużych korporacji kwestia zakupu maseczek, respiratorów i innych kluczowych działań w trakcie pandemii, w tym wsparcie Polskiego Funduszu Rozwoju, BGK, stałaby się praktycznie niemożliwe do załatwienia. W związku z tym pandemia i wiele innych kryzysów lub tego typu problemy nie mogą być rozwiązywane bez dużego polskiego kapitału. Dlatego nie możemy tworzyć struktury instytucjonalnej i kapitałowej w Polsce, opartej wyłącznie na Zachodzie.

▶ Pan Profesor prywatnie optowałby za polexitem? Raport o bilansie członkostwa w UE jest interpretowany przez liberałów również jako podstawa pod tłumaczenia ewentualnego wyjścia ze wspólnoty.

Absolutnie nie! Są to całkowicie pozbawione sensu spekulacje. Od lat występuję w mediach, mówię zawsze o potrzebie budowy Wspólnoty Narodów Europy na wzór czcigodnego sługi bożego Roberta Schumanna i chrześcijańskich korzeni. To jest ważna rola Polski, oraz moja osobiście, aby się włączać w kształtowanie modelu Wspólnoty Europejskiej z perspektywy dobrej jakości modelu społecznego i wysokiej efektywności ekonomicznej, tak żeby solidaryzm społeczno-ekonomiczny był swego rodzaju nowym ustrojem ogarniającym nie tylko UE, lecz także całą Europę. Jednym z jego warunków jest uczciwa równowaga gospodarcza między narodami. Bez Polski i Trójmorza Unia Europejska się rozpadnie – to my jesteśmy potrzebni wspólnocie, a UE jako wspólnota musi mieć postawę służebną wobec jej członków i nie może wychodzić z pozycji kolonialnej wobec nas. To wszystko.

▶ Tyle że panów raport został zinterpretowany jako podstawa do dyskusji o opuszczeniu Unii Europejskiej. Od kilku lat to główne paliwo w narracji opozycji w przepychankach słownych z rządem. Nie macie panowie takiego poczucia, że mimo wszystko bardziej zaszkodziliście rządzącym, których popieracie? A może w ogóle nie należy w ten sposób traktować bilansów ekonomicznych na zasadzie szkody wyrządzonej konkretnej formacji politycznej?

Mała uwaga – nie mówimy o stratach, a asymetrii korzyści. My się tylko włączamy do debaty, by głębiej analizować problem. Są osoby tworzące narrację, która nie ma związku z raportem, a sam raport jest dla nich kolejną okazją do tego typu narracji, że w naszym kraju wszystko jest źle, zaś za granicą znakomicie. Niedawno Donald Tusk próbował wmawiać ludziom, że Jarosław Kaczyński opowiada się za polexitem. Była to oczywista nieprawda, kierownictwo PiS przyjęło nawet uchwałę, która dobitnie dementuje takie pomówienia. Jeśli ktoś nie chce rozmawiać o ekonomii, to tworzy bezpodstawne teorie. Wspólnota europejska została utworzona przez sługę bożego Schumana po to, by w procesie konwergencji dochodziło do zbliżania kapitału społecznego i wyrównywania się kapitału ekonomicznego narodów Europy. Jeśli jest pan bogaczem, dysponującym miliardami, a obok stoi biedak i opowiada pan, że należycie do tej samej wspólnoty, to głosi pan nieprawdę. Europejska Wspólnota Węgla i Stali prowadziła także do wyrównywania nierówności. Teraz obserwujemy kryzys, który cechuje się poważnymi starciami – myślę przede wszystkim o Turowie i jednoosobowej presji w tej sprawie sędzi TSUE, by zamknąć kopalnię i elektrownię oraz płacić ogromne kary – pół miliona euro dziennie. Dla tych ludzi z TSUE nieistotne jest, czy ludzie będą mieli z czego żyć i jak zrekompensujemy straty energetyczne. Unia dąży do statusu supermocarstwa kosztem słabszych państw, niszcząc ducha wspólnoty.

▶ W reakcji na raport o bilansie członkostwa w Unii rzeczniczka Szkoły Głównej Handlowej powiedziała, że nie występuje Pan w imieniu uczelni i w zasadzie to Pana prywatne zajęcie. Poczuł się Pan urażony?

A wręcz przeciwnie! Jestem dumny z mojej uczelni SGH, ponieważ czujemy tam wolność w zakresie uprawiania nauki, a całe środowisko SGH w mojej opinii dba o wysoką jakość debaty naukowej i wysoką jakość edukacji, dzięki czemu jest to bardzo dobra i znana uczelnia nie tylko w Polsce, lecz także w Europie i na świecie. Wyrażone przeze mnie opinie w raporcie są prywatne i nie są one stanowiskiem uczelni SGH. Moja wspaniała uczelnia może poszczycić się znakomitymi władzami rektorskimi, które m.in. doprowadziły do tego, że SGH jest kluczowym partnerem merytorycznym Forum Ekonomicznego w Karpaczu, przygotowując także niezwykle ważne analizy dotyczące gospodarki – również w kontekście rozwoju gospodarczego Polski w ramach UE. W świecie uniwersyteckim należy prowadzić debatę z poszanowaniem wolności wypowiedzi i godności innych osób. ■

eprasa.pl c3ea528a8b



Jakub Augustyn Maciejewski

W załamywaniu rąk nad kondycją polskiej inteligencji, która tak często poniża własny naród, jest pewne przewrotne pocieszenie – intelektualiści całego świata zachodniego są tak samo zdegenerowani. Skąd to się bierze?

Dlaczego elity intelektualne tak bardzo nienawidzą własnej wspólnoty



RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

W czerwcu 2018 roku doszło do osobliwej debaty na temat konserwatyzmu. W bibliotece muzułmańskiej szkoły Zaytuna College w Berkeley w Kalifornii profesor Hamza Yusuf przeprowadził rozmowę z brytyjskim filozofem Rogerem Scrutonem. Muzułmanin i chrześcijanin podzielali swoje poglądy na współczesność jako konserwatyści i wymieniali się opiniami na temat obrony tradycji, zwłaszcza świata zachodniego. Obaj panowie zauważyli, że intelektualiści w zeświecczonym społeczeństwie mają silne skłonności do lewicowości. Zresztą Brytyjczyk wyznał, że to właśnie widok lewackiej rewolty z lata 1968 roku popchnął go w stronę prawicy. „Nie do końca wiedziałem, czego chcę od życia, ale stwierdziłem, że na pewno czegoś przeciwnego niż ci studenci" – stwierdził filozof na wspomnienie studenckich protestów przeciw chrześcijaństwu, kapitalizmowi i hierarchii społecznej.

Pomiędzy miłością i nienawiścią

Scruton zauważył, że intelektualistów wyróżnia pewna specyficzna cecha. „Nieczęsto można znaleźć po lewej stronie kogoś, kto rozgląda się i znajduje w świecie rzeczy, które kocha; zawsze jest coś, co poszło nie tak – coś, co jest mu nienawistne i przeciwko czemu chce on mobilizować innych. Jeśli taki intelektualista stracił poczucie, że świat jest wart pokochania – i że są w związku z tym rzeczy, które można w nim uratować – tak naprawdę stracił poczucie, dlaczego istnieje coś takiego jak społeczność" – mówił konserwatysta. Panowie odpowiadali sobie na pytanie, dlaczego inteligencja jest tak często lewicowa, „postępowa", dlaczego tak często z jej grona wychodzą totalitarne idee, takie jak nazizm czy komunizm. Obaj rozmówcy zgadzali się z tym, że człowiek obdarzony nieprzeciętną wiedzą i inteligencją czuje się lepszy od reszty społeczeństwa i wtedy zaczyna tworzyć teorie, które mają wszystko naprawić – zwłaszcza że ich zdaniem „wszystko" nadaje się do wymiany.

Konserwatywni myśliciele coraz częściej podkreślają, że społeczna warstwa intelektualistów w przytłaczającej większości wykazuje się pogardą dla świata. Chantal Delsol porównała „postępowców" do człowieka, który zastał dom i ogród w stanie, który mu się nie podoba, więc postanowił przeorać całą posiadłość – choć na urządzenie od nowa całej przestrzeni brakuje potem sił i pomysłu. W świecie można przejawiać także postawę ogrodnika, który zastany dom z otoczeniem postanawia stopniowo upiększać i ulepszać mozolną, skrupulatną pracą. Bronisław Wildstein w swojej ostatniej książce „Bunt i afirmacja" dzieli się podobnymi spostrzeżeniami – zwraca on uwagę na łatwość, z jaką myśliciele Zachodu odrzucają szeroki i wielonurtowy dorobek swoich poprzedników.

Pomiędzy pokorą a pychą

Intelektualiści – słowo, które oznacza przecież elitę, prowadzącą społeczność w stronę lepszego jutra, elitę, która potrafi myśleć krytycznie i odkrywać nowe zjawiska – coraz częściej można opisywać z nutą ironii w głosie. Brytyjski historyk Paul Johnson wręcz określił najważniejszych dla Zachodu intelektualistów jako hochsztaplerów i nieudaczników, oszustów i ignorantów.

Jego praca „Intelektualiści" to lista dziesięciu takich postaci ważnych dla Europy, jak Jan Jakub Rousseau, Karol Marks, Henryk Ibsen czy Jean-Paul Sartre.

Historyk sugeruje, że w ciągu ostatnich 200 lat coś z klasą najlepiej wykształconych ludzi poszło nie tak, cywilizacja skręciła w jakiś ślepy zaułek. „Przez ponad dwa ostatnie stulecia wpływ intelektualistów stale wzrastał. »Awans« świeckiego intelektualisty był rzeczywiście kluczowym czynnikiem w kształtowaniu świata nowożytnego" – opisuje losy Zachodu Johnson. Oświecenie wypaczyło jednak umysły najmądrzejszych: „W wieku osiemnastym, wraz z upadkiem władzy duchownej, pojawił się nowy typ mentora, chętny wypełnić pustkę i zdobyć posłuch społeczeństw. Świecki intelektualista mógł być deistą, sceptykiem lub ateistą. Niczym biskup lub proboszcz gotów był pouczać ludzkość, jak ma kierować własnym losem". Historyk stawia tezę, że intelektualiści są spadkobiercami kapłanów, następcami duchowieństwa, ale od swoich poprzedników wzięli tylko poczucie przewodzenia społeczeństwem i narzędzia poznawcze, natomiast odrzucili konieczność posiadania kodeksu moralnego – religii. W miejsce księży i pastorów rozwijających wiedzę, która miała prowadzić społeczeństwa do zbawienia po śmierci, wymyślili, że zbawią ludzi za życia – i zaczęli wymyślać lepsze światy.

Opisując dziesięciu ważnych filozofów nowożytności Johnson wskazuje, jak często użalali się nad sobą, jak często ich życie osobiste było domeną rozpusty i patologii, jak w swoich pismach oszukiwali i fałszowali źródła i dane.

eprasa.pl c3ea528a8b

Nade wszystko intelektualistów cechowała pycha, megalomania, jakieś paranoiczne wyobrażenie o sobie samym jako genialnych prorokach czy wieszczach. Rousseau w różnych miejscach pisał o sobie: „Co mogłyby mieć wspólnego wasze nieszczęścia z moim? Moja sytuacja jest jedyna, o takiej nikt nie słyszał od początku świata...”; „Ten, kto mógłby mnie kochać tak, jak ja kocham, jeszcze się nie narodził”; „Nikt nie potrafi kochać bardziej niż ja”; „Urodziłem się po to, by być najlepszym przyjacielem, jaki kiedykolwiek istniał”.

Charles Fourier, protoplasta myśli socjalistycznej, pisał o sobie: „ja sam wstrząsnę dwudziestoma wiekami głupoty politycznej. Mnie jednemu obecne i przyszłe pokolenia będą zawdzięczały początek [...]. Przede mną ludzkość straciła wiele tysięcy lat na szaleńczą walkę z Naturą. Ja pierwszy ugiąłem się przed Nią, badając przyciąganie, instrument Jej zarządzeń. Ona to raczyła się uśmiechnąć do jedynego śmiertelnika, który przed Nią zapalił kadzidło, i wydała mi wszystkie swoje skarby. Posiadając Księgę Przeznaczeń, przychodzę, aby rozproszyć ciemności polityczne i moralne, a na gruzach niepewnych nauk wznieść teorię harmonii powszechnej”.

Pycha Marksa pchnęła go do stworzenia wizji zbawienia ludzkości poprzez krwawą rewolucję – jego śladem poszło pięć pokoleń intelektualistów. Nie jest też przypadkiem, że azjatyccy i afrykańscy despoci mordujący swoich rodaków milionami, kończyli zachodnie uniwersytety. Kambodżański tyran Pol-Pot studiował trzy lata w Paryżu, a Liberyjczyk Charles Taylor – zanim stał się krwawym dyktatorem studiował ekonomię w Bostonie. Można powiedzieć, że ludzie ze skłonnościami do okrucieństwa nie wyzbywali się ich wraz z edukacją, a jedynie nabywali dzięki niej skuteczniejszych narzędzi i pomysłów do organizowania terroru.

Pomiędzy duchowością a pustką

Oderwanie intelektualistów od realizowania faktycznych potrzeb ludzkości zbiega się z dwoma zjawiskami dziejowymi – ateizacją społeczeństw i rewolucją przemysłową.

W średniowieczu ustrój stanowy uzasadniała idea, w której ludzie dzielą się na trzy grupy – pracujących fizycznie (chłopstwo), broniących wspólnoty (rycerstwo) i modlących się (duchowieństwo). Pod hasłem „modlitwa” rozumiano jednak nie tylko śpiewanie psalmów i lekturę Pisma Świętego, lecz po prostu poznawanie świata – największego daru od Boga. To właśnie wiara była motywacją do rozwoju nauki, bo skoro Ojciec Przedwieczny podarował nam Ziemię i wszechświat, to powinniśmy go odkrywać, lepiej rozumieć i rozwijać. Gdy jednak intelektualiści późniejszych wieków uwierzyli, że Boga nie ma, to po co poznawać świat? Karol Marks odpowiedział na to pytanie w 1845 roku: „filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat; idzie jednak o to, aby go zmienić”.

INTELEKTUALIŚCI POZBAWIENI PYCHY ZAKŁADALI, ŻE UZUPEŁNIAJĄ SWOICH POPRZEDNIKÓW ORAZ ŻE NASTĘPCY ICH BĘDĄ POPRAWIAĆ I ULEPSZAĆ. LEWICOWI I LIBERALNI INTELEKTUALIŚCI TWIERDZĄ CO INNEGO – ONI TWORZĄ KONCEPCJE OSTATECZNE, KTÓRE SĄ WŁAŚCIWIE DOSKONAŁE, TOTALNE.

Garstka szalonych myślicieli nie miałaby wpływu na poukładaną i rozwijającą się cywilizację, lecz rewolucja przemysłowa rozpoczęta w XVIII wieku przeobraziła strukturę społeczną.

Arnold Toynbee w swoim „Studium historii” zauważa, że „triumfy tzw. rewolucji przemysłowej w sferze techniki zrodziły mnóstwo problemów w sferze ekonomicznej i społecznej”. W największym skrócie komplikacje wyniknęły z tego, że do wykonania coraz większej pracy przemysłowej wystarczało coraz mniej ludzi – dzięki maszynom jeden człowiek mógł wytwarzać setki i tysiące razy więcej niż przed technologicznym skokiem. Ludzie zyskali mnóstwo wolnego czasu. Jak na ironię, to właśnie czas wolny stał się problemem, darem przemysłu, z którym ludzkość sobie nie poradziła. „Najdonioślejsza z tych zmian miała charakter psychologiczny. Mechanizacja wywołała w umyśle robotnika przemysłowego napięcie między jego

eprasa.pl c3ea528a8b

nastawieniem do pracy a nastawieniem do czasu wolnego, któremu ani chłopska większość ani też uprzywilejowana mniejszość nie podlegały w epoce przedindustrialnej". W XIX wieku pojawia się cały łańcuch następstw tego zjawiska – ludzie niepotrzebni w pracy fizycznej zaczęli poszerzać swoją edukację, uniwersytety i szkoły zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu (w 1815 roku założono uniwersytet nawet w Berlinie), rozwinęła się prasa, a za tym mogła powstać nowoczesna demokracja. Ale teoretycy cywilizacji zgodnie podkreślają, że rozwój powinien następować we wszystkich dziedzinach – także religijnej – bo inaczej przepaść między na przykład poziomem technologicznym a moralnym doprowadzi do społecznej katastrofy.

polihistor. Rzecz w tym, że gdy jedno imperium zajmuje mniejsze twory polityczne, to arystokracja pokonanej strony staje się taką klasą domorosłych myślicieli. Jako przykłady wskazuje tutaj Niemców bałtyckich w carskiej Rosji, którzy posłużyli Moskwie do pacyfikowania poddanych, albo hinduskie elity, które Brytyjczycy wychowali sobie dla zarządzania podbitą kolonią. Inteligencja dla brytyjskiego historiozofa jest więc obcą naleciałością, często wręcz grupą imigrantów. Toynbee jest w tym przekonaniu bardzo radykalny czy wręcz kontrowersyjny, twierdzi on, że inteligencka mniejszość jest skazana na wyobcowanie, na totalną alienację, skoro od czasów rewolucji przemysłowej „wykorzenieniu uległy świeże zastępy wygnańców: francuscy

PRZEGLĄDAJĄC POCZET IDEOLOGÓW REWOLUCJI MOŻNA ZAUWAŻYĆ LICZNE PRZYKŁADY NA TO, ŻE TEORETYKAMI NIENAWIŚCI BYLI ALBO PRZYBYSZE Z INNYCH KRAJÓW, ALBO LUDZIE MIEJSCOWI, ALE ZAUROCZENI OBCYMI WPŁYWAMI.

Amerykański historyk Carroll Quigley wskazał konkretne dowody – w II połowie XIX wieku Japonia przeżywa gwałtowną industrializację, ale porzucając dawne obyczaje i wartości wkraczała na drogę zbrodniczego imperializmu – stąd wzięła się II wojna światowa na Dalekim Wschodzie. Rewolucja przemysłowa w Rosji zrodziła bolszewizm, a na Zachodzie Europy – kolonialny wyzysk, z ludobójstwami w Afryce włącznie.

Pomiędzy swoimi a obcymi

Intelektualiści są więc szeroką grupą społeczną, która – gdyby określać ich kolokwialnie – mają za dużo wolnego czasu, a za mało moralnej dyscypliny. Duchowni szlifowali swoje wartości w modlitwach i lekturze Biblii, intelektualiści tę energię przekierowali na totalne ideologie. Toynbee stawia tutaj jeszcze bardziej kontrowersyjną tezę, bo z grupy intelektualistów wyodrębnia jeszcze inny termin – „inteligencję". „Gdziekolwiek znajdujemy inteligencję, możemy wnosić nie tylko o tym, iż dwie cywilizacje pozostawały w styczności, ale i o tym, że jedna z nich jest wchłaniana w szeregi wewnętrznego proletariatu drugiej" – stwierdza arystokratyczni emigranci z 1789 r., europejscy liberalni emigranci z 1848 r., rosyjscy »biali« emigres z 1917 r., włoscy i niemieccy demokratyczni emigranci z 1922 i 1933 r., austriaccy katoliccy i żydowscy emigranci z 1938 r. oraz miliony ofiar II wojny światowej i jej pokłosia".

Teza Brytyjczyka wymagałaby głębszych analiz i debat, bo czy to możliwe, że emigranci-intelektualiści stają się wywrotowcami, którzy są tak niechętni swojej nowej wspólnocie?

Przeglądając poczet ideologów rewolucji można faktycznie zauważyć liczne przykłady na to, że teoretykami nienawiści byli albo przybysze z innych krajów, albo ludzie miejscowi, ale zauroczeni obcymi wpływami.

Socjaliści i komuniści XIX-wiecznej Europy byli przeważnie wygnańcami: Marks, Owen, Hercen, Lenin i Bakunin tworzyli swoje utopie z dala od domu. Historyk Michael Kellogg zauważył, że wielu ideologów niemieckiego nazizmu, jak na przykład Alfred Rosenberg, pochodziło z obrzeży imperium rosyjskiego.

Jakkolwiek byśmy spojrzeli na charakterystykę inteligencji, to trudno uniknąć wrażenia, że jej nieodzowną cechą jest poczucie inności. Scruton mówił o wyobcowaniu w związku z po-

eprasa.pl c3ea528a8b

strzeganiem siebie jako ludzi lepszych, Johnson twierdzi, że intelektualiści są na tle społeczeństwa moralnie zdegenerowani, zaś Toynbee – że często wywodzą się z kręgów obcych cywilizacyjnie, są przybyszami z zewnątrz lub ich potomkami.

Pomiędzy rozumem a sercem

Autorzy powyższych rozważań ani przez chwilę nie sugerowali, że należy powstrzymać rozwój myśli intelektualnej – wprost przeciwnie. Każdy z nich zakłada, że wiedza, poznanie i inteligencja są konieczną częścią charakterystyki elit, ale że nie są ich jedynymi obowiązkowymi cechami. Quigley twierdzi na przykład, że potrzeby intelektualne zawierają się w potrzebach psychicznych i wiążą się z potrzebami duchowymi. Jeśli więc potrzeba intelektualna zmieniania świata bierze się z potrzeby psychologicznej zwanej megalomanią (jak u Marksa, Fouriera, Lenina, Rosenberga), to i jej owoce będą zatrute. Jeśli myślicielom brak potrzeb duchowych, to nie będą poczuwać się, by ich idee służyły i pomagały innym, by przynosiło dobro wspólnocie.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że istnieją intelektualiści pożyteczni, właściwi – i niepotrzebni czy wręcz szkodliwi. Jak ich odróżnić? Poza duchowością Quigley wskazuje, że te prawdziwe elity wykazują się pokorą i przyznają się do niewiedzy. „Nie znamy jeszcze wszystkiego" – przyznawał Piotr Abelard w XII wieku.

Intelektualiści pozbawieni pychy zakładali, że uzupełniają swoich poprzedników oraz że następcy ich będą poprawiać i ulepszać. Sama istota chrześcijaństwa na tym polega, nawet Stary Testament – dzieło będące wynikiem Objawienia samego Boga – jest uzupełniony przez Nowy Testament, a Kościół, który powstał na mądrości tegoż, jest uzupełniany przez Tradycję i teologiczne odkrycia (dogmaty).

Lewicowi i liberalni intelektualiści twierdzą co innego – oni tworzą koncepcje ostateczne, które są właściwie doskonałe, totalne. Darwin, Freud i Marks opisywali zło świata, który musi ulec zniszczeniu, żeby powstało coś lepszego. To tak jakby Jezus anulował Stary Testament, a św. Tomasz z Akwinu przekreślił świętego Augustyna z Hippony. Można więc powiedzieć, że szkodliwi intelektualiści są wyobcowani nie tylko od wspólnoty, w której żyją, nie tylko wyobcowani w hierarchii społecznej, lecz nawet wyobcowani w czasie – nieuznający poprzednich pokoleń i wierzący, że lepszych od nich już nie będzie.

Między dobrem a złem

Pożyteczny intelektualista będzie więc zbliżał się do roli skromnego i pokornego ascety, rozwijającego w sobie duchowość i wrażliwość, zaś szkodliwy mędrzec będzie pogardzał otoczeniem i koncentrował się na swojej domniemanej wielkości. Najjaskrawszy kontrast będzie więc między świętym Bedą Czcigodnym (benedyktyn z przełomu VII i VIII wieku) lub św. Tomaszem z Akwinu (dominikanin z XIII wieku) a XVIII-wiecznym Wolterem i XIX-wiecznym Karolem Marksem. Ci pierwsi przez dekady pracowitego, wręcz pracoholicznego życia, poświęcili na podsumowanie istniejącego dorobku Zachodu, stworzyli używaną do dziś chronologię (Beda zaproponował „naszą erę" – liczenie lat od Narodzenia Chrystusa) albo narzędzia do poznawania świata (rozum i filozofia św. Tomasza z Akwinu). Ci drudzy w swoich wygodnych, pełnych rozpusty i nieróbstwa życiorysach, szlifowali koncepcje racjonalizmu, deizmu (Wolter) czy socjalizmu (Marks), które przyniosły ludzkości rewolucje, totalitarne ideologie i nieszczęścia.

Przypadek Polski

Przy próbach scharakteryzowania tego stosunkowo młodego w dziejach ludzkości zjawiska, jakim są intelektualiści, trudno pominąć rozważania o Polsce. Elity inteligenckie w III RP są na prawicy głęboko krytykowane i postrzegane właśnie jako obce. Gdyby jednak scharakteryzować je bardziej szczegółowo, to okazuje się, że wyczerpują wszystkie cechy tego negatywnego rozumienia „inteligencji". Nic im się w Polsce nie podoba, tak jak Scrutonowskim intelektualistom nie podoba się zastany świat, chcą przeorać nasz kraj, jak dewastator z książki Chantal Delsol, a nawet ich korzenie są bardzo często obce kulturowo – jak ostrzegał Arnold Toynbee. Już nie tylko komunistyczne i postkomunistyczne kręgi narzuciły Polsce swoje wartości, lecz nawet przedwojenna inteligencja bardzo często wyszła spod matryc zaborców – rosyjskich i niemieckich uniwersytetów.

Z pism powyższych autorów nie wynika żadna droga na skróty – nie ma formuły wykształcenia intelektualistów natychmiast. Jedynym wzorcem jest ta żmudna praca duchownych Kościoła, pokora i wieloletnia praca, modlitwa i przywiązanie do własnej wspólnoty. Droga jest jasna i prosta, choć żmudna i prowadząca stromo pod górę. ■

eprasa.pl c3ea528a8b



Małgorzata Matuszak



No gender – no problems?

Druga połowa XX wieku przyniosła wiele zmian w dotychczasowym pojmowaniu płci, ról płciowych, męskości i kobiecości. Dychotomiczny podział na świat mężczyzn i kobiet się zaciera. Rewizji uległo postrzeganie czynników mających wpływ na kształtowanie tożsamości płciowej oraz ról i stereotypów płciowych. Czy jednak „inżynieria społeczna", której obecnie doświadczamy, naprawdę przyczynia się do poprawy jakości życia dzieci dorastających w naszych czasach?

eprasa.pl c3ea528a8b

Wychowywanie dzieci to indywidualna sprawa rodziców, przynajmniej w początkowym okresie życia potomka. Później na dziecko oddziałują też rozmaite instytucje wychowawcze, w których podlega ono wpływom różnych środowisk i grup społecznych. Zmiany, które zachodzą we współczesnych zachodnich społeczeństwach, kreują również „nowe" modele rodziny, wychowania, szkoły.

Wychowanie bez etykiet

Jednym z nurtów, który wywiera wpływ na kształtowanie się modeli rodziny, jest gender. Najogólniej mówiąc, gender to ideologia czerpiąca z różnych nauk, m.in. filozofii, antropologii, socjologii, odróżniająca płeć seksualną, biologiczną od społecznych wzorców kobiecości i męskości. Jeśli chcemy być obiektywni, przyznać musimy, iż rozróżnienie na „sex" i „gender" jest rozróżnieniem logicznym, wszak płeć człowieka postrzegać można nie tylko jako cechę biologiczną, lecz także jako zespół cech, atrybutów, postaw, ról społecznych przypisany mężczyźnie i kobiecie przez szeroko rozumianą kulturę. Problem zaczyna się wtedy, gdy z tego rozróżnienia wyciąga się zbyt daleko idące i nielogiczne już wnioski. Ideologia gender nie jest całkowicie fałszywa. Gdyby tak było, nie byłaby tak nęcąca. To, że walczy o równouprawnienie płci czy z krzywdzącymi stereotypami, jest słuszne, z drugiej jednak strony niesie z sobą wiele postulatów, z którymi nie sposób się zgodzić. Jednym z nich jest całkowite kwestionowanie obowiązujących ról płciowych, będących jednym z fundamentów życia.

Według ideologii gender role przypisywane tradycyjnie obu płciom są źródłem wszelkiego zła. Trzeba je zatem przedefiniować. Albo się ich pozbyć. I to najlepiej jak najwcześniej. Bo gdyby tak zacząć wychowywać dziecko bez definiowania jego płci? Bez narzucania mu, kim ma być? Owszem, biologia daje tu pewne ograniczenia, ale przecież nie ona decyduje o płci... Dziecko może być po prostu dzieckiem, nie synem, czy córką, bo to etykietowałoby je i ograniczało... Kiedy dziecko dorośnie, niech samo zdecyduje, czy bardziej czuje się chłopcem czy dziewczynką... Nie można go przecież ograniczać... Brzmi śmiesznie? Może i byłoby śmieszne, gdyby nie dotyczyło tak ważnych dla dziecka spraw. Niestety, to się dzieje na naszych oczach. I nazywa się wychowywaniem „gender neutral", „no gender" czy też „non-binary".

Chodzi w nim o to, by wychowywać dziecko bez różnicowania jego płci. To taka „bezpłciowa pedagogika". Ten model wychowania nie jest czymś nowym. Po raz pierwszy pojawił się w Stanach Zjednoczonych w latach 70. XX wieku, jako jedna z manifestacji rewolucji kontrkulturowej. Na rynku wydawniczym ukazała się wtedy książeczka dla dzieci autorstwa Marlo Thomas – „Free To Be... You and Me". Potem idea ta się wyciszyła. By w ostatnich latach odżyć na nowo. Tym razem już w całym zachodnim, czyli nowoczesnym świecie. Wielu celebrytów w ten sposób wychowuje swoje dzieci, a i w naszym kraju idea „gender neutral" zyskała grono zwolenników.

Jak to się robi?

Wychowanie neutralne stawia sobie za cel to, by dziecko wyrosło na osobę wolną od stereotypów płciowych. Można to realizować w różny sposób. Niektórzy rodzice wychowują dzieci w duchu łagodniejszej formy „gender neutral". „Zależy nam na szczęściu naszych dzieci, ale to naprawdę prosta rzecz. Chodzi o to, by nie sugerować synowi, że bawienie się lalką czy zakładanie różowych ubrań jest dziewczęce. Albo nie mówić córce, że granie w piłkę to zajęcie tylko dla chłopców" – wyjaśnia jedna z matek. Chodzi im o to, żeby – w ich mniemaniu – ich dzieci miały szanse na swobodne odkrywanie, kim są, i wzmacniają ich postawy zgodnie z ich osobowością, nie zaś genderowymi stereotypami. Nie mówią więc płaczącemu synowi, że nie ma się mazgaić, bo „chłopaki nie płaczą", że nie może ubrać różowych kaloszy, że nie może urządzić przyjęcia dla lalek. Ich córka nie usłyszy natomiast, że „złość piękności szkodzi", że nie może bawić się czołgiem czy też chodzić po drzewach. Niekiedy jednak w swych poglądach się zapędzają. Kolory różowy i niebieski stają się wtedy zakazane, dziecko ma do czynienia jedynie z odcieniami szarości i innymi barwami „neutralnymi płciowo", sięganie zaś po zabawki uznawane za „zgodne z płcią" spotyka się ze sprzeciwem rodzica.

Radykaliści „no gender" idą znacznie dalej. W niektórych przypadkach zdarza się, że płeć narodzonego dziecka znają tylko rodzice, ewentualne rodzeństwo i personel medyczny, dla pozostałych członków rodziny, nawet dla babć i dziadków, a także dla znajomych, biologiczna płeć dziecka pozostaje tajemnicą. Niekiedy na długo. Dziecku nadaje się neutralne imię, by nie można było poprzez nie rozpoznać płci dziecka, i zwraca się do niego per „ono", również neutralnie. Ubiera się je także unisex, można nawet równocześnie w spodnie i spódniczkę. I czeka się, aż dziecko samo wybierze, kim chce być – chłopcem, dziewczynką, a może ani jednym, ani drugim. Wszystko

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c3ea528a8b

to po to, by zerwać ze stereotypami. Płeć postrzegana jest bowiem jako soczewka zniekształcająca obraz człowieka. Lisa, matka 2-letniego Maksa wychowywanego w duchu radykalnego „no gender", twierdzi: „Gender stereotypes can be so damaging" [stereotypy dotyczące płci mogą być destrukcyjne]. Szkoda, że nie zauważyła, jak bardzo niszcząco wpływa na jej syna sposób jego wychowywania...

Wychowywanie dzieci zgodnie z ideami „gender neutral" staje się na Zachodzie coraz bardziej modne. Zdecydowały się na nie choćby takie gwiazdy jak Adele, Angelina Jolie, Emily Ratajkowski, Kate Hudson, Will Smith czy Pink. Emily Ratajkowski powiedziała, że płeć jej dziecka poznamy po skończeniu przez nie 18. roku życia. Pink, kiedy jej córka miała 6 lat, a syn niespełna rok, wyznała w wywiadzie, że wraz z mężem nie uznają płci swoich dzieci i przyczepiania komukolwiek etykietek, bo „nic na świecie nie jest czarne albo białe". Wszyscy oni na pewno chcą, by ich dzieci były szczęśliwe, teraz i w przyszłości. Czy jednak wychowywane w ten sposób dzieci mają szansę na to, by być szczęśliwymi dorosłymi?

Jakimi dorosłymi będą?

Dla dziecka rodzina jest pierwszym i najważniejszym środowiskiem wychowawczym. To w niej nabywa pierwsze doświadczenia, także te z zakresu identyfikacji płciowej. Dziewczynka uczy się, jak być kobietą, chłopiec zaś mężczyzną. Rodzina staje się dla dziecka wzorcem i normą, to za jej sprawą przyswaja wzorce i zasady współżycia. Odbywa się to od najmłodszych lat. Relacje w rodzinie wpływają na rozwój osobowy dziecka i są jednocześnie probierzem klimatu emocjonalnego i więzi rodzinnych. To, w jaki sposób rodzice odnoszą do siebie nawzajem, jest decydujące dla życia rodzinnego dzieci. Matka reprezentuje świat uczuć, więzi i czułości, ojciec – świat obowiązku, odpowiedzialności i prawa, i właśnie taki wzajemnie uzupełniający się układ zapewnia dziecku poczucie bezpieczeństwa. Od obojga uczy się zaś odpowiedzialności za siebie i bliskich, w harmonii z innymi poglądami i potrzebami człowieka.

Jak dziecko ma budować swoją tożsamość, kiedy tak naprawdę nie wie, kim jest? Psycholodzy podkreślają, że ważnym etapem w prawidłowym rozwoju psychoseksualnym dziecka jest zaakceptowanie siebie jako istoty płciowej – jako chłopca lub dziewczynki. Ale przecież do wymiaru seksualnego fakt bycia chłopcem czy dziewczynką się nie ogranicza. O poczuciu bycia osobą określonej płci decydują także zachowanie, postawa, a nawet cała osobowość, kształtująca się w procesie wychowywania. Jak ma się zaś kształtować, kiedy proces wychowania jest zaburzony?

Nawet prof. Lew Starowicz, daleki od bezkrytycznego stosunku do Kościoła, w wywiadzie do tygodnika „Do Rzeczy", stwierdził: Dla mnie gender jest interesujące z poznawczego punktu widzenia, bo jest to inny punkt widzenia kwestii płci. Natomiast pewne pomysły mi się kategorycznie nie podobają. Nie uważam, że dziecko trzeba wychowywać bezpłciowo i czekać, aż samo sobie wybierze płeć. To bzdura! [...] Mam czworo dzieci i sześcioro wnucząt. I nigdy żadnemu z nich nie narzucałem, jakimi zabawkami mają się bawić. Zawsze wybierały je bezbłędnie, zgodnie ze swoją płcią biologiczną. Dziewczynki w zabawach pełniły role kobiece, chłopcy męskie. Uważam więc, że bezpłciowe wychowanie jest bezsensowne. Żyjemy w czasach, w których mężczyzna może pełnić wiele ról, nie tylko być wojownikiem. Może być zniewieściały, może zajmować się domem, może pójść na urlop tacierzyński. Ma szeroki wachlarz aktywności w ramach swojej biologicznej płci. Nie widzę więc potrzeby traktowania dzieci bezpłciowo".

(Nie)konsekwencja gender

Gender związany jest silnie z postmodernizmem, w którym, jak w nowoczesności, „wszystko, co stałe, rozpływa się w powietrzu", jak pisze Marshall Berman. Obecny czas naznaczony jest kryzysem wartości i ideowym pluralizmem. Trudno też oprzeć się wrażeniu, że żyjemy w epoce poglądowej schizofrenii. Genderyści z jednej strony postulują wychowanie „gender neutral", z drugiej dokładają wielu starań, by dzieci seksualizować. Młodzi ludzie bombardowani są seksem ze wszystkich stron. Seks-edukatorki, zdaniem genderystów, powinny odwiedzać dzieci już w przedszkolach. A może to nie objaw genderowej schizofrenii, a właśnie spójności? Dzieci wychowywane bezpłciowo byłyby dla nich wszak najlepszym materiałem na seks-edukację....

Rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami moralnymi i religijnymi, uwzględniając tradycje kulturowe rodziny, które sprzyjają dobru i godności dziecka. Tak głosi Karta Rodziny. Rodzice wychowujący dzieci w duchu „gender neutral" muszą sobie jednak odpowiedzieć na pytanie, czy ich sposób wychowania naprawdę dobru i godności dziecka sprzyja? ■

eprasa.pl c3ea528a8b



Małgorzata Matuszak

Kim jest... osoba

Według „Słownika języka polskiego" osoba to tyle co jednostka ludzka. „Osoba" i „człowiek", często stosowane zamiennie, nie są jednak terminami tożsamymi. Powiedzieć można, że o ile każdy człowiek jest osobą, to jednak nie każda osoba jest człowiekiem. Jeśli bowiem osoba to istota rozumna i wolna, to z grona osób nie można wykluczyć „bezcielesnych" bytów osobowych, takich jak aniołowie. Niektórzy do grona osób zaliczają (w pewnym stopniu przynajmniej) także zwierzęta dysponujące rozumem, czyli obdarzone świadomością określaną – jak choćby według Petera Singera – poprzez zdolność do cierpienia czy też bycie istotą odczuwającą. W odniesieniu do niektórych zwierząt poczyniono w tym kierunku nawet kroki prawne – w Indiach delfiny uznawane są za „osoby niebędące ludźmi", a Great Ape Project dąży do przyznania osobowości prawnej wszystkim małpom człekokształtnym, co uczyniono już na Balearach.

Dla nas, chrześcijan, Osobą jest Bóg; nie można wręcz być chrześcijaninem, nie wierząc w Boga osobowego. W teologii chrześcijańskiej koncepcja Osoby służy również do wyjaśnienia tajemnicy Boga w Trójcy jedynego – każda z Osób Trójcy Świętej jest Osobą, trzy Osoby Boskie różnią się zaś między sobą jedynie relacją, jaka zachodzi między Nimi – i tajemnicy wcielenia, czyli jedności Chrystusa jako Boga-Człowieka.

Zanim termin „osoba" zyskał w języku polskim współczesne znaczenie, przeszedł dość długą drogę. Aleksander Brückner pisał, że „Słowianin urobił od zwrotu »o sobie« (samym) przysłówek »osob« – »osobnie«" i z tego przysłówka w polszczyźnie powstało właśnie słowo „osoba", oznaczające „kogoś osobnego, odrębnego, indywidualną jednostkę". Na dalszy rozwój terminu największy wpływ wywarła łacińska „persona". „Persona", podobnie jak grecki termin „prosopon", oznaczała najpierw „maskę, rolę teatralną", później też „tego, kto gra". We wczesnym średniowieczu znaczenie słowa „persona" – a potem odpowiednio „osoba" – zaczęło ewoluować pod wpływem chrześcijańskiej myśli filozoficzno-teologicznej. Boecjusz terminem „persona" oddał greckie słowo „hypostasis" – „byt indywidualny, niepowtarzalny, samoświadomy", co miało wpływ na myśl teologiczną i personalistyczną koncepcję człowieka, uznającą jego indywidualność, niepowtarzalność i bezwzględną wartość.

W dyskursie filozoficznym wyróżnić można dwa główne stanowiska odnośnie do koncepcji osoby: w pierwszym, mającym charakter psychologiczny, jego przedstawiciele budują deskryptywne definicje osoby, która rozumiana jest jako podmiot posiadający określone cechy, takie jak świadomość, racjonalność, zdolność czucia i rozumienia (jak na przykład w koncepcji Locke'a czy w utylitaryzmie); w drugim, mającym charakter aksjologiczny, osoba rozumiana jest jako podmiot moralny, jest więc nośnikiem wartości, podmiotem praw i obowiązków, kimś działającym moralnie (jak na przykład w deontologii Kanta czy personalizmie).

Na filozoficzną debatę na temat osoby można również, w dużym uproszczeniu, spojrzeć jako na starcie dwóch przeciwstawnych obozów – jeden ujmuje osobę jako substancję o racjonalnej naturze, drugi zaś substancję jako wyznacznik osobowego istnienia odrzuca, skupiając się na różnych przejawach samoświadomości osoby. W obu obozach przyjmuje się, że osobom należy się szacunek, jednak samo pojęcie osoby definiują w odmienny sposób. Ma to niezwykle ważkie konsekwencje etyczne. Wtedy bowiem, gdy w dyskursie bioetycznym zaczyna się przyznawać pewne prawa osobom, a jednocześnie tych praw nie-osobom się odmawia, pojawiają się trudności w rozstrzygnięciu wielu ważnych kwestii praktycznych, takich jak na przykład przyznawanie prawa do aborcji czy eutanazja. Rodzą się wówczas pytania o słuszność wybranej definicji osoby, o to, czy została ona określona właściwie, czy kryteria, podług których rozstrzygamy, kto jest osobą, a kto nią nie jest, decydują o tym w adekwatny sposób. Skoro więc różne koncepcje osoby mogą skutkować tak odmiennymi rozstrzygnięciami etycznymi, mamy moralny wręcz obowiązek rzetelnego namysłu nad tym pojęciem. ■

eprasa.pl c3ea528a8b

Ewa Polak-Pałkiewicz

Pierwsze Damy



Ważny polityk, mąż stanu, przywódca państwa prezentujący się publicznie z żoną stanowi silnie oddziałujący przekaz. Jak niegdyś król i królowa jest naturalnym wzorcem postaw, którego wielu ludzi pilnie potrzebuje. Przykład własny przemawia o wiele mocniej niż najlepsze traktaty o małżeństwie, filmy o miłości, poradniki o relacjach męża i żony.



FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA

Choć prezentacja takiej pary małżeńskiej to spektakl, choć wiele rzeczy jest wyreżyserowanych, choć naiwnością byłoby szukać w tych obrazach pełnej prawdy o ludziach, to jednak nasza wyobraźnia się rozpędza. Jest zachłanna, chciwa, skłonna zatrzymywać się przy każdym szczególe garderoby i gestu, by odczytać jego ukryte znaczenie. „Można wręcz powiedzieć, że społeczeństwo przemawia poprzez stroje, w jakie się odziewa" – zaznaczał w przemówieniu do Kongresu Łacińskiej Ligi Mody w 1957 roku papież Pius XII. „Poprzez nie manifestuje ono swe ukryte aspiracje i posługuje się nimi, przynajmniej częściowo, do budowania lub niszczenia swej własnej przyszłości". Zadziwiająco trafne słowa.

Coś ważniejszego od samych bohaterek

Czujemy zarazem z nieokreślonym niepokojem, że ten oficjalny, elegancki obraz „pierwszych par" w państwie stanowi dziś pewien relikt. Wypierany jest przez wszechobecne obrazy osób z pierwszych stron gazet żyjących podwójnym życiem, sezonowych par czy żon premierów, które zostają luterańskimi pastorami. Generalnie – ludzi żyjących „niezobowiązująco". I na takich wyglądających. Ubranych niedbale, by nie powiedzieć niechlujnie, z rozbawieniem lub irytacją spoglądających na mężczyzn, którzy zakładają krawaty, i na kobiety, które sięgają po sukienkę. Nie, słowo „dama" zdecydowanie do nich nie pasuje.

Nie tak dawno przesunęły się przed oczami Polaków trzy Pierwsze Damy (jedna z nich obecna jest nadal w publicznych wystąpieniach i w mediach), każda na swój sposób fascynująca. Nie tylko z powodu urody, ponadczasowej elegancji, lecz przede wszystkim w związku ze sposobem bycia, manier, gestów. Co mówią nam, Polakom, Pierwsze Damy, Agata Duda, Kate – żona księcia Williama – i Melania Trump, swoim wyglądem i zachowaniem?

Ktoś z komentatorów wizyty brytyjskiej pary książęcej przed kilkoma laty zauważył z przekąsem, że są symbole, które drogo kosztują, zatem nie można traktować ich inaczej niż elementy biznesu („monarchia brytyjska to pewna marka") czy przemysłu odzieżowego. Trywialność tej uwagi kłóci się z powszechnym odbiorem publicznej prezentacji młodych małżonków z rodziny królewskiej. W odbiorze tym, wręcz entuzjastycznym w Polsce, odżywała niewygasła nadzieja, że ci, którzy są tak „piękni i bogaci", okażą się także wierni sobie. I nie unieszczęśliwią rozwodem swojego potomstwa. Dlaczego? Bo tak nakazuje odwieczne prawo, tego żąda sprawiedliwość, tak uczy Bóg. I oni, jako ludzie wyniesieni na szczyty drabiny społecznej, nie są

ea528a8b

przeznaczeni do tego, by stać się „ikonami popkultury", lecz mają być dla innych wzorem małżeńskich cnót. Tak naprawdę żywe i pobudzające wyobraźnię są tu odwieczne symbole związane z rolą małżeństwa w planie Bożym. Symbole są w tym wypadku bardziej znaczące niż sami bohaterowie tych wydarzeń i one posiadają nieprzemijającą siłę.

Jaka jest więc wymowa symboli, które odnajdywaliśmy podczas spektakli należących do towarzysko-dyplomatycznego rytuału, gdy trwała wizyta gości zza Kanału La Manche i zza oceanu?

Jak król i królowa

Małżeństwo jest instytucją, dzięki której trwają państwa. Obecny kryzys polityczny w krajach naszego kontynentu ma wiele wspólnego z brakiem szacunku dla małżeństwa. Dwadzieścia kilka lat temu (w 1996 roku) zepsute, żyjące skandalami w rodzinie królewskiej społeczeństwo angielskie zaakceptowało bez szemrania rozbicie małżeństwa księżnej Diany i księcia Karola; ponieważ dostarczało im ono swoistego alibi dla własnego stylu życia (niektórzy nazywają życie w niewierności małżeńskiej wolnością). Nie zabierał głosu Kościół, wszak w anglikanizmie rozwody są na porządku dziennym. Nikogo więc nie gorszyło ani niepokoiło, że późniejszy bohater widowiskowego ślubu stracił na zawsze dom i został trwale okaleczony psychicznie. Można powiedzieć, że niejeden Anglik – ale pewnie i niejeden Polak – przeżywał wówczas rodzaj mało chwalebnej satysfakcji z powodu upadku klasy wyższej do stanu takich samych nizin, na jakich sam się znajdował. Ale kiedy oczy Brytyjczyków znów zwróciły się z nadzieją ku ludziom wywyższonym z powodu pozycji społecznej, oglądając „na żywo" ślub Williama i Kate, powróciła niegasnąca tęsknota za ładem moralnym w państwie i w rodzinach. Powróciła nadzieja, że nie wszystko stracone. Także Polacy mogli wyciągnąć wnioski, zwłaszcza ci, którzy rozumieją związek, jaki zachodzi między „prawem rozwodowym", które jest niczym innym jak brutalnym bezprawiem czy wprowadzonymi w wielu krajach zmianami legislacyjnymi, sankcjonującymi „małżeństwa" homoseksualne, a podkopywaniem fundamentów państwa i perspektywą jego przetrwania.

Nie boję się niczego przy tobie

Przy okazji wizyty w Polsce prezydenta Trumpa z małżonką oraz pary książęcej z Anglii widzieliśmy także coraz rzadziej spotykaną na co dzień sytuację: młode, pełne uroku kobiety zapatrzone w swoich mężów. Słuchające ich z uwagą. Stojące zawsze nieco z boku lub z tyłu, ustępujące im z całą prostotą miejsca w ich roli publicznej – co jest symboliczne także dla ich roli w małżeństwie. Kobiety te mówią w ten sposób: „Tak, mój drogi, przyznaję, jesteś głową rodziny, respektuję twoją władzę w naszym małżeństwie. Uznaję hierarchię w naszej rodzinie, której nie my, ludzie, jesteśmy autorami, ona została nam przekazana. Twoja władza jest ci dana z góry".

Pomijając fakt, że w gronie przywódców państw normalne pary małżeńskie posiadające dzieci są dziś czymś coraz rzadszym, obraz kobiecości, jaki zaprezentowały Pierwsze Damy: Catherine, Melania (i który prezentuje pani Agata Korhauser-Duda) – był nie tylko miły dla oka, przywoływał uniwersalny wzorzec rodziny, lecz także stanowił niebywały kontrast wobec obrazu kobiety, który ukazują uczestniczki ulicznych burd wymierzonych we władzę państwową – a przy okazji, w każdego członka społeczeństwa z osobna. Warto zastanowić się przez chwilę nad istotą tego kontrastu. Żeby ją uchwycić, trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie, jakie jest źródło władzy mężowskiej w rodzinie, kto jest autorem hierarchii, którą w swoisty sposób manifestują publicznie, każda z osobna, trzy piękne kobiety w sukniach i kostiumikach? (Warto to podkreślić, gdy na polskich ulicach pojawiły się w tak dużej liczbie osoby w okryciach, których nie sposób nazwać strojem, a tym bardziej kobiecym).

Pierwsze Damy przez swoją zależność od męża, Andrzeja, Williama, Donalda – wyrażoną w pełen wdzięku, choć może i czasem aktorski sposób – mówią, że władza pochodzi od Boga. Przypomnienie to jest ważniejsze dziś, niż mogłoby się wydawać. Ważniejsze niż kiedykolwiek w historii.

Gdy ważne osoby w państwie, które są zarazem głowami rodziny, pamiętają o swojej zależności od Tego, który dał im władzę, możemy czuć się spokojni o przyszłość tego państwa. Bo oni pamiętają zarazem o swoim posłuszeństwie wyższemu prawu. O tym, że prawo państwa, którym rządzą, nie może być sprzeczne z Dekalogiem: z prawem moralnym i z zasadą sprawiedliwości. Polityka nie jest dziedziną wyjętą z ich zakresu. Papież Pius XI mówiąc o powinnościach państwa i rządzących, przypominał: „Wszelkie inne przedsięwzięcia, jakkolwiek by były atrakcyjne i pomocne, muszą ustąpić przed żywotną potrzebą ochrony samych fundamentów wiary i cywilizacji chrześcijańskiej". Cywilizacja chrześcijańska jako jeden z kamieni węgielnych ma prawo rzymskie. Sędzia nie jest i nigdy nie był w nim przedstawicielem nietykalnej kasty.

Te eleganckie kobiety, Pierwsze Damy, mówią swoim zachowaniem o swoich mężach oraz do nich: „Nie boję się przy tobie niczego. Cokolwiek byś zrobił,

eprasa.pl c3ea528a8b

zaufam ci, bo sprawujesz w naszym małżeństwie, tak jak w naszym państwie, praworządną władzę. Chronisz ład naszej rodzinnej społeczności i naszego kraju". Warto dopowiedzieć, że każda z nich jest także matką; dom, jaki stworzyły dla swoich mężów i dzieci, jest miejscem ich najważniejszej aktywności.

Fundament z Edenu

Rodzina i małżeństwo nie są wytworem systemu społecznego. Nie jest nim również państwo. Są to instytucje naturalne. Ich celem jest dobro doczesne ludzi, ale ze wskazaniem celu wiecznego. Nie mogą działać przeciw temu ostatniemu, inaczej sprzeniewierzyłyby się swoim fundamentom. Rodzina i państwo są prawdziwymi „instytucjami partnerskimi".

Naturalne fundamenty rodziny zostały położone w Edenie, w domu Adama i Ewy. „Przez wieki nie wymyślono żadnego lepszego systemu politycznego, ponieważ Bóg nakreślił kształt nadprzyrodzony chrześcijańskiego społeczeństwa, odwołując się raz jeszcze do modelu prywatnego domu. Tym razem był to dom w Nazarecie, należący do cieśli Józefa i jego żony Maryi", przypominała Solange Hertz, amerykańska pisarka, w latach 40. ubiegłego wieku. „Polityka – tak, ale najpierw dom", jak mawiano we Francji.

Tak w rodzinie, jak i w państwie, a także w każdym żywym organizmie poszczególne części – również osoby sprawujące władzę, obdarzone szczególnymi godnościami – są wyposażone we wszystko, co jest im potrzebne do spełnienia ich zadania, do wypełnienia celu, dla jakiego instytucja ta czy organizm zostały powołane. Przypominał o tym osiemdziesiąt lat temu Pius XI, jako ostatni z papieży. Choć prezydent nie pełni u nas funkcji monarchy, może symbolicznie reprezentować jego władzę. Czyni to także przez publiczne pokazywanie się z żoną, podkreślając w ten sposób rolę małżeństwa i rodziny w państwie.

Wzór wizualny, estetyczny i moralny, jaki stanowią „pierwsze pary" w państwie, odnosi się jednak nie do społeczeństwa jako masy, lecz do takiego, które nosi cechy społeczności tradycyjnej, którą niegdyś określano mianem ludu. Pius XII precyzyjnie określał różnicę. „Lud i bezkształtny tłum, lub – jak się mawia – »masy ludowe« – to dwa różne pojęcia. Lud żyje i porusza się własnym życiem. Masy zaś są same z siebie bezwładne i mogą być wprowadzone w ruch tylko z zewnątrz. Lud żyje pełnią życia ludzi, którzy go tworzą, z których każdy – na swoim właściwym miejscu i we właściwy mu sposób – jest osobą świadomą swych przekonań i ciążącej na nim odpowiedzialności. Tymczasem masy czekają na impuls z zewnątrz, stanowią łatwą zabawkę w rękach tych, którzy potrafią wykorzystać jej instynkty i wrażenia. Masy dziś podążają za jednym sztandarem, ale jutro gotowe będą podążać za innym" (Pius XII, orędzie bożonarodzeniowe wygłoszone przez radio 24 grudnia 1944 roku).

Cechą szczególną położenia naszego państwa jest dzisiejsze poczucie całkowitej zależności milionów ludzi, w tym naszych rodaków – nie od Boga bynajmniej – od instrumentów manipulacji zbiorowymi zachowaniami i emocjami, jakimi jest większość dzisiejszych platform mediów elektronicznych z ich wyrafinowanymi technikami, które zastąpiły dawne toporne „tuby propagandowe". Ludzie ci bez protestu pozwalają uczynić z siebie tłum.

W demokracji godnej swego imienia rządy w ustanowionych organach powinny być sprawowane przez głowy rodzin. To oni powinni być reprezentantami ludu. Wtedy naród rzeczywiście zdolny jest do wyrażania swojej woli przed swoich przedstawicieli, a nie do prezentacji nieustannego festiwalu zachcianek poszczególnych jednostek, grup, kamaryli czy lobbies.

„Podziwiam je!"

Z panią reżyser, znaną z feministycznych przekonań i filmów, w których rozprawia się z „mitami o kobiecie", rozmawia miły redaktor z kulturalnego programu radiowego. Mimo tak wielkiej i wyczerpującej sławy (nagrody sypią się bez końca!) i natłoku artystycznych zajęć (robi właśnie kolejny film o kobietach), autorka popularnych dzieł filmowych znalazła dla słuchaczy chwilę czasu. Co należy w takiej krótkiej rozmowie zaakcentować? Przede wszystkim odwagę. Pani reżyser jest młoda, a taka odważna! Odważne są też jej bohaterki. Co sama myśli o nich? „Podziwiam je – oświadcza skromnie – za ich siłę i odwagę". No tak, ale to brzmi dość ogólnikowo. A tak konkretnie? „Za to, że walczą z rzeczywistością".

W ten sposób autorka filmów ukazujących kobiety w typie „męskim", bezwzględnie egzekwujące swoje „prawa" w nieprzyjaznym, prymitywnym, zaplutym, szowinistycznym świecie macho, dotknęła sedna sprawy. „Walka z rzeczywistością" jest przecież motywem wszystkich dzieł awangardy artystycznej, literackiej, filmowej, plastycznej. Jest nicią przewodnią wszelkich rewolucji. Jest też wielkim programem ideologów, którzy próbują porwać masy (wrogiem mas, podstępnym i zdradliwym, są zawsze ci, którzy aktualnie sprawują władzę i nie przepadają za awangardą). „Obalić rzeczywistość" to hasło przyświecające wszystkim wielkim radosnym utopiom, wszystkim zrazu nieśmiałym marze-

eprasa.pl c3ea528a8b

niom, które stopniowo przekształcają się w potężne góry lodowe, jakie zmiażdżyć mają nasze beznadziejne równiny „średniowiecznych przesądów". (Zasilane z hojnych kieszeni operacje propagandowe na skalę globalną zwykle odnoszą dziś sukcesy). A przede wszystkim jest to program wiecznego, niezmordowanego aktywizmu, stale gotowego do nowych poświęceń, wręcz do własnoręcznego – jeśli trzeba – przenoszenia tych gór. Tych złogów zatwardziałych, starych, niedzisiejszych przekonań. Kobieta – żona i matka to staroć, który powinien przejść do katalogu *curiosa horrenda*. Nasza wspólna walka z nim na niwie kultury – filmu, radia, teatru i telewizji – to naprawdę ambitne zajęcie. I zarobić można przy okazji, i pośmiać się, i pogimnastykować swój umysł. Istne *perpetuum mobile* radości i zadowolenia z życia. Tak głosi młoda, energiczna i pełna zapału pani reżyser (prywatnie żona jednego męża i matka).

Przecież jesteśmy liberalni! Jak wszyscy...

„Liberał jest fanatykiem niezależności, promuje ją aż do granic absurdu we wszystkich dziedzinach" (A. Roussel). Ale nie ma się co gorszyć. Liberalizm to optymizm, nowoczesność, jasność i oświecenie. Tradycja – stęchlizna, ciemność, głupota i zgnilizna. Wszyscy jesteśmy liberałami! Po komunizmie, po PRL-u, po totalitaryzmie nie można nie być liberałem, nie można nie chcieć liberalnych rodzin („związków"), liberalnego wychowania i liberalnego państwa. Cokolwiek by to znaczyło. To niemożliwe. Nie ma powrotu do przeszłości, która kojarzy się z peerelowską nędzą, zamordyzmem i zakłamaniem.

Tak jak wszyscy jesteśmy liberałami, jeśli idzie o „prawa człowieka" („zagrożone"!), tak wszyscy brzydzimy się liberalizmem, gdy inni na naszych oczach „nie szanują zasad", depczą nasze „wartości". W istocie to właśnie liberalizm jako ideologia prowadzi do państwa, które przypomina obóz koncentracyjny – indywidualistycznego, egalitarnego. Zdrowy rozsądek nie ma tu racji bytu. Instytucje naturalne traktowane są jak przeżytek, relikt. Może dlatego dostrzegamy dziś wokół siebie i w całym świecie tak wiele elementów, o których nie można powiedzieć inaczej, jak że „to absurd". Tam, gdzie zdrowy rozsądek oświecony światłem wiary dostrzega „harmonię i podporządkowanie, ubóstwiony umysł drąży przepaść i wznosi mur – natura bez łaski, materialne powodzenie bez szukania dóbr wiecznych..., polityka bez Boga i bez Jezusa Chrystusa, prawa człowieka przeciw prawom Bożym, wreszcie wolność bez prawdy", jak zauważa jeden z francuskich duchownych. W takim duchu dokonała się rewolucja francuska.

Święty Pius X, jeden z najbardziej zapomnianych dziś – a także chyba nierozumianych już – papieży przestrzegał, że fałszywa wolność, którą głosi liberalizm, ma nieuchronnie fatalne praktyczne skutki. Jednym z nich jest głoszenie niezależności teraźniejszości od przeszłości i wynikająca stąd pogarda dla tradycji oraz „chorobliwa miłość do tego, co nowe, pod pretekstem postępu". Liberalizm ogłasza też „niezależność jednostki od wszelkiej społeczności i od wszelkiej władzy i hierarchii naturalnej – niezależność dziecka od rodziców, kobiety od jej męża (wyzwolenie kobiety), pracownika od pracodawcy (i całej klasy robotniczej od burżuazji – walka klas)". Takie są założenia i taka jest praktyka liberalizmu. W życiu politycznym i społecznym liberalizm jest prawdziwym królestwem indywidualizmu. (Czy nie znamy w Polsce przynajmniej kilku tzw. prawicowych felietonistów, którzy z wyraźną przyjemnością przypisują rządzącym w co drugim swoim cotygodniowym tekście miano „głupków", „miernot", „imbecyli" i są uwielbiani przez czytelników za odwagę, dowcip, świeżość, poczucie humoru?).

Liberalizm prowadzi do wyeliminowania wszystkich naturalnych hierarchii społecznych. Tworzy w ten sposób iluzję wolności, pozostawiając ostatecznie jednostkę samą i bezbronną wobec masy, w której jest tylko częścią zamienną i która ją całkowicie wchłania. Jednostka jest podstawowym komponentem liberalizmu. Uznaje się ją za absolutny podmiot praw („praw człowieka") bez odniesienia do obowiązków, jakie każdy człowiek ma względem Stwórcy, względem przełożonych i innych ludzi. Nie ma ona żadnego odniesienia do praw Bożych.

Ten tłum jednostek nie jest jednak zbiorem ludzi szczęśliwych. Mogą co prawda bez przeszkód konsumować, nie muszą się z nikim niczym dzielić, mogą robić to, na co im przyjdzie ochota, ale czują wewnętrzną pustkę. Aktywistki feminizmu nie są w istocie kobietami radosnymi. Dzieci pozbawione rodziców (liberalni rodzice nie mają dla nich czasu) lub wychowywane tylko przez jednego z nich nie mogą się swobodnie „realizować", bo towarzyszy im nieustanne poczucie zagrożenia.

Trudno też zaprzeczyć, zgodnie z prawdą historyczną i filozoficzną, że to właśnie liberalizm, z powodu swojej wewnętrznej tendencji, zawsze prowadzi do rewolucji komunistycznej i totalitaryzmu. Może to oburzać neofitów liberalizmu, lecz jest on bez wątpienia „duszą rewolucji jako takiej".

Rodzina i polityka

A zatem, byśmy nie stali się jako społeczeństwo ofiarą liberalizmu – najpierw dom. O tym powin-

eprasa.pl c3ea528a8b

ny przypominać swoim mężom Pierwsze Damy. Polska – tak samo jak Stany Zjednoczone czy Anglia – ma być domem, domem dla jego mieszkańców. Domem prawdziwym – jeśli chcemy, by ustrój polityczny zapewniał ład społeczny, był sprawiedliwy i mądry, by nikt w nim, a nade wszystko sędziowie, nie nadużywał swojej władzy. Cała filozofia chrześcijańska razem ze św. Tomaszem stwierdza tożsamość wiecznego prawa Bożego i ludzkiego prawa naturalnego, z którego wywodzi się prawo państwowe. Nie ma między nimi sprzeczności, nie można ich sobie przeciwstawiać. Jeżeli w normalnej konserwatywnej rodzinie nie ma równych praw ani nawet równości w dziedzinie opinii, to dlatego, że musi ona pozostać sprawnie działającą instytucją, wypełniającą zadania, dla których została powołana, zapewniać ciągłość ludzkich pokoleń – ktoś musi kierować, ktoś być kierowanym. Tak jak w państwie. Istotą klasycznego bytu politycznego jest bowiem hierarchia. Każdemu stanowi życia właściwa jest pewna ranga, prawa oraz obowiązki – to właśnie istota hierarchii.

Kobiety – Pierwsze Damy, małżonki, matki – o ile odwzorowują w swym życiu rodzinnym ideał oblubienicy, a nie są tylko pięknie prezentującymi się manekinami, utalentowanymi aktorkami w politycznym teatrze, mogą znaleźć łatwiej niż ktokolwiek inny drogę do serc i umysłów swoich mężów, którym udzielono z wysoka władzy doczesnej. Cechy ich natury, wrażliwość, spostrzegawczość, delikatność, często więcej mogą dokonać niż dobre rady, krytyka czy połajanki ludzi z zewnątrz. Mogą zachęcić do wytrwałości i męstwa także wtedy, gdy od ich mężów wymagany jest heroizm najtrudniejszej decyzji, gdy szantażyści i kusiciele wszystkich barw jednoczą się i przystępują do decydującego ataku. One przede wszystkim powinny pamiętać, że Bóg nigdy nie odmawia pomocy temu, komu udzielił władzy, gdy trzeba wypełnić do końca zlecone przez Niego zadanie.

Polska, kraj między Rosją a Niemcami, otrzymała zadanie ocalenia wiary i cywilizacji łacińskiej na kontynencie najbardziej dotkniętym przez błędy Rosji, potwierdza ten fakt cała nasza historia. Od postawy jej przywódców zależy więcej, niż można by sądzić, gdy nie zapomni się o nadprzyrodzonym planie, dla którego wypełnienia zostały powołane rodziny, a wraz z nimi państwa.

Jeśli niektóre kobiety potrafią być „mężem stanu" bez uszczerbku dla swej kobiecości, to dlatego, że najpierw same posiadały, a potem umiały stworzyć własny dom. Dom, w którym się rodzimy, to miejsce nieprzypadkowe, wybrane, jedyne, niepowtarzalne. Nie człowiek je wybiera. Dostaje je w prezencie. Miejsce także, „w którym po raz pierwszy zdajemy sobie sprawę, że religia wymaga od nas wzniesienia się ku rzeczom przekraczającym naszą siłę i zdolność pojmowania" (G.K. Chesterton). Gdy przypomnimy sobie jej istotę – świadomość naszej całkowitej zależności od Boga i konieczność uznania autorytetu Boga – wizja Pierwszych Dam i pierwszych par w naszym państwie nie będzie dla nas wizją ludzi nie z tego świata, dziwnych, jak z teatru, niepasujących do obrazu wszechobecnego zepsucia – i konieczności tego zepsucia jako warunku „wyzwolenia" – jaki nam nieustannie towarzyszy, narzucanego przez media i całą sferę liberalnej kultury.

Jest jeszcze jedna odmiana liberalizmu, z którą przychodzi nam obcować, liberalny katolicyzm. Na czym polega liberalny katolicyzm? Niektórzy uznają go za akceptację dla pomieszania pojęć, ale jest to rodzaj schorzenia umysłu. Objawia się ono niezdolnością uznania, że istnieje coś takiego jak prawda. Umysł przestaje być zdolny do prostego przylgnięcia do niej. W rezultacie człowiek nie jest w stanie wypowiadać się jednoznacznie, bo zaraz zastrzega się twierdzeniem przeciwstawnym. Wiecznie miota się między sprzecznościami. Humbert Clérissac OP opisywał tę chorobę jako „brak spójności umysłu", który „nie ma wystarczającego zaufania do prawdy". Liberalni katolicy „pozostają w stanie nieustannego apologetycznego niepokoju. Wydają się sami ulegać tym wątpliwościom, które zwalczają; nie mają dostatecznego zaufania do prawdy, chcą zbyt wiele usprawiedliwić, zbyt wiele udowodnić, zbyt wiele dostosować, a nawet za zbyt wiele przepraszać". (Za krucjaty, inkwizycję, kontrreformację, Sobór Trydencki etc.). Uważają, że Kościół może skutecznie pełnić swoją misję jedynie wtedy, gdy dostosuje się do świata, w którym ją pełni.

Jednak w rzeczywistości droga kompromisu ze światem nie jest drogą Kościoła. Kościół zawsze rzucał wyzwanie światu. Wiedział, z czym ma do czynienia.

Jeśli dziś obserwujemy z niepokojem upadek społeczeństw, rozpanoszenie się chaosu, anarchii i coraz powszechniejszego poczucia zagrożenia, to także dlatego, że uznano za „archiwalne" precyzyjne rozróżnienia. Odpowiadało im niegdyś adekwatne zachowanie ludzi wszystkich stanów. Ich postawa, sposób bycia, mówienia, nawet strój.

Pierwsze Damy, wyprostowane, spoglądające nieco w górę, kontrolujące swoje gesty, najczęściej milczące, traktujące poważnie swoją rolę przy mężu i misję społeczną, są jednym z cieplejszych i piękniejszych wspomnień tamtego obliczalnego, bezpiecznego świata. ■

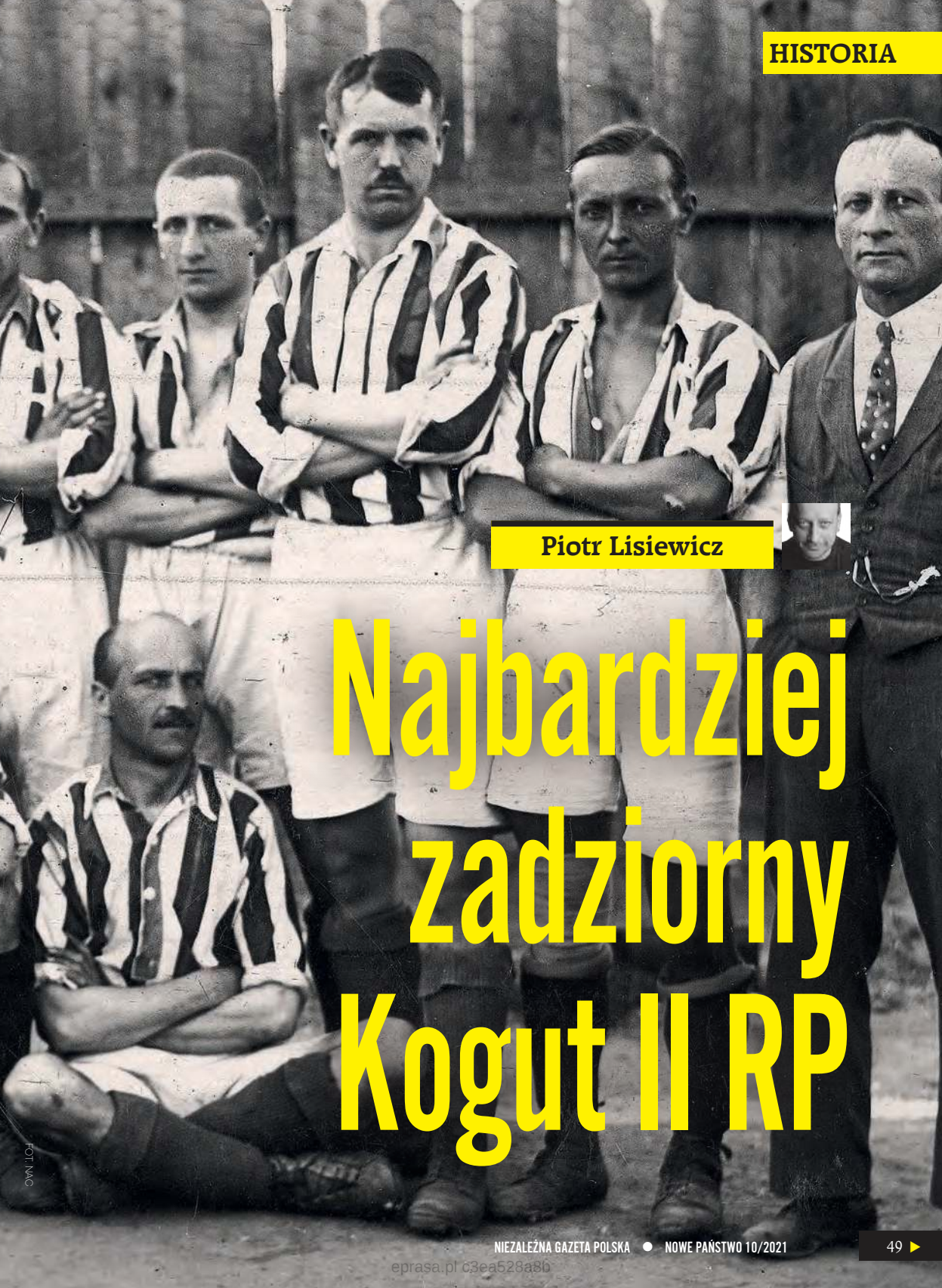
eprasa.pl c3ea528a8b

Za nazwanie piłkarskiego sędziego na boisku „ślepym”, zdyskwalifikowany został na pół roku. Za następną awanturę wyleciał z Wisły Kraków. Za kolejną – międzypaństwowy mecz kończył na trybunach. Wcześniej jako legionista wierny Józefowi Piłsudskiemu, odmówił złożenia przysięgi na wierność cesarzowi Niemiec. Mówiono, że nie ma człowieka o bardziej pasującym do charakteru nazwisku, bo faktycznie kojarzył się wszystkim z zadziornością koguta. Adam Kogut, reprezentant Polski w piłce nożnej, kapitan Wojska Polskiego, rozstrzelany został w Katyniu. W 2007 roku prezydent Lech Kaczyński pośmiertnie awansował go do stopnia majora.



Drużyna Cracovii, mistrz Polski z 1921 r., Adam Kogut stoi drugi od prawej

eprasa.pl c3ea523a8b



Piotr Lisiewicz

Najbardziej zadziorny Kogut II RP

FOT. NAC

eprasa.pl c3ea528a8b

Nieobliczalny narwaniec i bezlitośnie precyzyjny strzelec; świetny piłkarz i wzorowy żołnierz; wieczny tułacz, który w efekcie męczeńskiej śmierci spoczywa bez własnego grobu na obcej ziemi" – czytamy o nim w encyklopedii Wisły Kraków, choć dłużej grał w rywalizującej z nią w „świętej wojnie" Cracovii.

„Pan jesteś ślepy, pan się zupełnie nie nadaje na sędziego"

„Gra poczyna nabierać ostrego tempa. Gracze Cracovii zachowują się wobec sędziego prowokująco; za słowa »pan jesteś ślepy« wypowiedziane pod adresem sędziego, usuwa tenże Koguta z boiska, a następnie wobec niesportowego zachowania się i innych graczy Cracovii przerywa zawody w 80 minucie. [...] Dla nas zachowanie się graczy Cracovii jest zupełnie zrozumiałem. Drużyna Cracovii, przyzwyczajona, że dotychczas faktycznymi kierownikami zawodów byli Synowiec, Fryc lub inny z graczy, że sędziowie byli rozkazom tych graczy zawsze posłuszni – nie mogła się obecnie zgodzić, by zawody odbywały się nieco odmiennie. Wyprowadzeni z równowagi nieuchronną klęską, zwrócili całą swą złość przeciw sędziemu, nie szczędząc mu wyznań w rodzaju: pan jesteś ślepy, pan się zupełnie nie nadaje na sędziego" – pisał „Przegląd Sportowy" w listopadzie 1922 roku.

Cracovia przegrała z Wawelem 0:2, a za nazwanie sędziego ślepym Kogut został zdyskwalifikowany na pół roku. Nie było to pierwsze kontrowersyjne zachowanie krakowskiego pomocnika, gdyż już trzy lata wcześniej „Przegląd Sportowy" informował: „Odbyte w połowie listopada I Walne Zebranie TS Wisła posłużyło włodarzom klubu do podsumowań minionego sezonu. Kogo należy pochwalono: w tym piłkarzy, którzy doprowadzili do reaktywowania Towarzystwa; kogo należy zganiono: np. wykluczono z członków TS Wisła Adama Koguta za »niesportowe zachowanie się«". Dyscyplina w klubie panowała wówczas iście żołnierska: działaczami byli często oficerowie, a piłkarzami ich podopieczni.

Z boiska do Legionów

Adam Władysław Kogut urodził się 4 grudnia 1895 roku w Krakowie, który niebawem stać się miał – obok Lwowa – kolebką polskiej piłki. Kluby piłkarskie wyrastały tam jak grzyby po deszczu, a Adam, który w piłkę zaczął grać w wieku 10 lat, treningi zaczął w Robotniczym Klubie Sportowym. Później trenował w dwóch kolejnych krakowskich klubach: Polonii i Krakusie. W 1914 roku trafił do Cracovii. „Miał 19 lat i wielkie serce do walki" – czytamy o tych początkach w wiślackiej encyklopedii.

„Dziś piłkarze zarabiają miliony. Obce są im trudności dnia codziennego. Dawniej sportowcy martwili się, jak pogodzić ciężką pracę w fabryce z graniem w piłkę. Teraz niemałym problemem jest wybór nowego (zazwyczaj kolejnego) samochodu. W poprzednim stuleciu nierzadko piłkarze nie tylko pracowali, trenowali, ale sięgali po broń. Wielu z nich walkę o wolność kraju przypłaciło życiem" – pisze Kamil Kijanka z portalu RetroFutbol.pl w szkicu poświęconym Kogutowi i jego koledze Adamowi Obrubańskiemu.

Jak pisał „Ilustrowany Kurier Codzienny", czyli „Ikac", wierność ojczyźnie zjednoczyła w 1914 roku krakowskie kluby ponad podziałami: „Czołowe kluby krakowskie oddały tworzącym się oddziałom Wojska Polskiego to, co miały najdroższego, a mianowicie swe pierwsze niemal w całości drużyny. Stąd też w oddziałach Legionów widzimy czołowych piłkarzy obu towarzystw, jak np. śp. Poznański, Kogut, Klakurka, Mielech, Dąbrowski z Cracovii lub Markiewicz, Krupa, Bujak, Kowalski Stanisław i Władysław, Konkiewicz, Rutkowski Witold i Tadeusz z Wisły".

Wiadomo, że przed wojną Kogut zdążył zagrać w Cracovii zaledwie kilka meczów. „Przez okres wojny był formalnie zawodnikiem rezerw Cracovii, wiadomo jednak, że żołnierska dola oddaliła większość piłkarzy od klubowej piłki. Najprawdopodobniej Kogut wziął wówczas udział w dwóch meczach Pasów, natomiast częściej i z powodzeniem udzielał się jako kierownik i zawodnik 5 p. Legionów" – pisze Kijanka.

Waleczny Kogut z pułku „zuchowatych"

W nocy z 5 na 6 sierpnia 1914 roku na teren rosyjskiego Królestwa Polskiego wkroczyła Pierwsza Kompania Kadrowa. Wymieniony 5. Pułk Piechoty Legionów powołany został w Nowym Sączu w grudniu 1918 roku, a za datę jego powstania uznaje się 18 grudnia 1914 roku.

„Ta pierwsza krew, te pierwsze cierpienia rannego, pierwsza pomoc, ta chwila, gdy się widzi człowieka okrwawionego i słyszy wokół strzały – ma w sobie coś niezwykłego. Pamiętam, gdy świeżo przybyły batalion przeprawiał się przez Wisłę, spotkałem wracających pierwszych rannych. Panowie, ja w twarzach rannych nie widziałem smutku, nie słyszałem jęku! Widziałem tryumf i dumę, że są żołnierzami polskimi, że krew przelewają i tym swej służby żołnierskiej dowodzą. Pamiętam młodego chłopca, którego drasnęły w głowę trzy kule karabi-

eprasa.pl c3ea528a8b

nu maszynowego. Szedł swobodnie, krwią zlany. Gdym go spytał: – Cóż to wam, chłopcze? – Odpowiedział wesoło i dumnie: – A w głowę mnie trafiło, głowa mocna, wytrzyma" – mówił o tych pierwszych walkach Józef Piłsudski.

Co wiadomo o szlaku bojowym jednego z tych młodych, 19-letniego Adama Koguta? 20 grudnia 1914 roku pułk z Nowego Sącza pomaszerował pod Tarnów, a w święta Bożego Narodzenia walczył z oddziałami rosyjskimi pod Łowczówkiem. Potem 2 marca 1915 roku pułk obsadził odcinek nad Nidą w rejonie Sobowice–Pawłowice–Kwasków. Tam do maja toczył walki pozycyjne. 11 maja przeprawił się przez Nidę i ścigał oddziały rosyjskie w kierunku wschodnim.

Od 16 do 25 maja walczył w bitwie pod Konarami. W czerwcu, w ramach letniej ofensywy państw centralnych, 5 pp wziął udział w bitwie pod Ożarowem i Tarłowem. Tadeusz Pannenko pisał o tych walkach: „Pozycje pod Karsami zagradzały potężnymi redutami drogę – wziąć je szturmem wydawało się niepodobieństwem. Z dala widać było na wysokich pagórkach silne zręby okopów, szalowania, potężne blindaże, całe szeregi drutu kolczastego, a przed samymi redutami ułożyły się wiankiem zasieki z grubych pni splątanych ze sobą zaostrzonymi konarami, powiązanych drutem kolczastym. By rozwalić te przeszkody trzeba ciężkiej artyleryi, której dotychczas nie było na naszym odcinku".

Za zasługi w bojach Józef Piłsudski nadał pułkowi przydomek „Zuchowatych". Przyszły generał Gustaw Łowczowski tak pisał o tym na emigracji w 1968 roku: „5 p.p. Leg został wprowadzony w linię na płdn. – wschód od miasteczka Ożarów. Walka ta zapisała się na zawsze w historii pułku. Tu otrzymał on swą nazwę »Zuchowatych«. II batalion zajmował pod miastem stanowiska bliżej rosyjskich drutów kolczastych niż Rosjanie sami".

„Zuchowaci" przekroczyli Wisłę i walczyli pod Józefowem i Urzędowem, a w sierpniu pod Raśną i Wysokiem Litewskiem. W we wrześniu pułk przegrupował się na Wołyń na linię Stochodu i Styru i do grudnia prowadził ciężkie walki w rejonie Kołki–Koszyszcze–Stowygoroże. Jedną z bitew pułku tak upamiętnił poeta, podporucznik Stanisław Długosz:

Zachód słońca. Słychać strzał po strzale,

Atakować masz Swojków – dwór,
Marsz pod górę – tyralierski sznur –
A przed nami we dworze Moskale.
Ktoś się zwalił na ziemię. To trudno,
Na roztkliwiań godzinę nie czas.
W zbożu młodym jeden bagnet zgasł.

Wreszcie, w końcu kwietnia 1916 roku, wspólnie z innymi oddziałami 1. Brygady Legionów, pułk obsadził rejon na północ od „Polskiej Góry" pod wsią Kostiuchnówka. Gdy trwała Ofensywa Brusiłowa, rankiem 4 lipca nastąpił ostrzał artyleryjski i natarcie piechoty rosyjskiej na polskie pozycje i rozpoczęła się słynna bitwa pod Kostiuchnówką.

NIEMCY CHCIELI, BY 5. PUŁK PIECHOTY STAŁ SIĘ PODSTAWĄ DO TWORZENIA POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH U ICH BOKU. GDY PIŁSUDSKI ODMÓWIŁ, ADAM KOGUT, ODZNACZONY KRZYŻEM WALECZNYCH, ZNALAZŁ SIĘ WŚRÓD ŻOŁNIERZY, KTÓRZY NIEZALEŻNIE OD KONSEKWENCJI OPOWIEDZIELI SIĘ PO STRONIE BRYGADIERA.

„Zaliczonymi być muszą do najsławniejszych"

Dowódcą pułku był wówczas kapitan Berbecki, o którym Marek Lis z Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku pisze: „W maju 1915 r. 5. Pułk Piechoty znajdował się pod dowództwem kapitana Leona Berbeckiego, byłego oficera armii rosyjskiej, który doświadczenie bojowe zdobywał w wojnie rosyjsko-japońskiej, a za męstwo awansowany został na stopień sztabskapitana".

A rolę pułku pod Kostuchnówką tak opisał później Piłsudski: „Najcięższe działanie bojowe spadło tym razem na [...] pułk »zuchowatych« Berbeckiego. Pułk stracił swego dowódcę ciężko rannego, obu komendantów batalionów zabitych, więcej niż połowa oficerów i prawie połowa żołnierzy spłaciła krwią serdeczną dług Ojczyźnie i sławie wojska – i pomimo to, pułk zmniejszony w składzie wyszedł wyczerpany fizycznie, nie moralnie. Boje pułku Berbeckiego [...] zaliczonymi

eprasa.pl c3ea528a8b

być muszą do najsławniejszych, jakie Brygada przeżyła".

Przetrzebiony pułk spod Kostiuchnówki został wycofany nad Stochód. Tu do października prowadził jeszcze kolejne walki – pod Dubniakami, Rudką Mizyńską i Sitowiczami. W połowie października został przewieziony do Baranowicz. Zaś pod koniec listopada został przetransportowany do Pułtuska.

Drewniana bramka Cracovii, a w niej Józef Piłsudski wśród zawodników. Obok brygadiera stoją Edward Rydz-Śmigły i Józef Kałuża. To zdjęcie fotograf zrobił w 1917 roku, na krótko przed aresztowaniem Piłsudskiego przez Niemców i umieszczeniem w twierdzy w Magdeburgu.

Niemcy chcieli, by 5. Pułk Piechoty stał się podstawą do tworzenia polskich sił zbrojnych u ich boku. Gdy Piłsudski odmówił, Adam Kogut, odznaczony Krzyżem Walecznych, znalazł się wśród żołnierzy, którzy niezależnie od konsekwencji opowiedzieli się po stronie Brygadiera. „Jako posłuszny Piłsudskiemu żołnierz Legionów, po tzw. kryzysie przysięgowym w 1917 roku (legioniści z I i III Brygady odmówili złożenia przysięgi wierności Wilhelmowi II) został wcielony do armii austriackiej i odesłany na front włoski. Gdy wrócił, trafił do więzienia w Stanisławowie, gdzie – internowany przez władze ukraińskie – wytrwał do czerwca 1919 roku" – czytamy w wiślackiej encyklopedii.

Gdy 1 września 1939 roku wybuchła wojna, kapitan Kogut został zmobilizowany i wziął udział w kampanii wrześniowej jako dowódca pociągu naprawczego broni pancernej. W jakich okolicznościach wpadł w ręce Sowietów, nie wiadomo.

Legendarny gol z wolnego i... kolejna awantura

Po wyjściu na wolność Kogut został żołnierzem Wojska Polskiego i trafił do drużyny Wisły. Informacje na temat meczów, w których wystąpił w tym czasie, są szczątkowe, ale nie brak w nich pochwał. Wiadomo, że brał udział już w pierwszym meczu Wisły po wojnie. 22 czerwca 1919 roku wystąpił w słynnym meczu Pogoń Lwów – Wisła. Prowadzeni przez Henryka Reymana wiślacy pokonali lwowian aż 5:1.

Miesiąc później, 20 lipca 1919 roku, Kogut zagrał w barwach Wisły przeciwko Cracovii. O strzelonej przez niego przepięknej bramce z rzutu wolnego mówiono potem przez całe lata. Z kolei 10 września strzelił „przynajmniej jedną bramkę" – jak odnotowują wiślaccy kronikarze – w kolejnym, tym razem zremisowanym 5:5 rewanżowym meczu z Pogonią Lwów.

Popularność dał Kogutowi kolejny mecz z 20 września, gdy na wyjeździe Wisła zmierzyła się w ulewnym deszczu z Makkabi Kraków. Wygrała 3:0, a pierwszą bramkę zdobył właśnie Kogut. Kolejne dołożyli Henryk Reyman i Artur Olejak. Jak wyjaśniał „Nowy Dziennik", gol Koguta padł tuż przed przerwą „wskutek nagłego widocznego defektu w garderobie obrońcy Makkabi".

O Kogucie było coraz głośniej i zyskiwał on dzięki swej zadziorności sympatię kibiców, jednak wkrótce potem miał pożegnać się na jakiś czas z Krakowem, a to z powodu decyzji zarządu, który zarzucił mu wspomniane „niesportowe zachowanie się". Historia milczy o szczegółach owej awantury.

Bilans pomocnika: 75 bramek w 73 meczach!

Z uwagi na fakt, że podobne decyzje wydawane były przez wojskowych, sierżanta Koguta w trybie pilnym wysłano do Warszawy, by tam ukończył „kurs o charakterze sportowym". W wojsku musiano docenić jego umiejętności, gdyż na początku 1920 roku, już jako podporucznik, został odesłany do dyspozycji Dowództwa Okręgu Generalnego Kraków. Służył tam w Baonie Zapasowym Wojsk Wartowniczych.

To umożliwiło mu powrót do krakowskiej piłkarskiej kariery i do... Cracovii. Statystyki tych występów mówią wszystko o jego sportowej klasie. Reprezentując barwy Cracovii do 1923 roku w 73 meczach zdobył aż 75 bramek! Dodajmy, że Kogut występował przede wszystkim jako... pomocnik, a rzadziej jako napastnik.

Mezalians polegający na występowaniu zarówno w Cracovii, jak i w Wiśle spowodował, że Kogut był jednym z niewielu piłkarzy, który, jak ujmuje to wiślacka encyklopedia, „miał szczęście i zaszczyt part-

eprasa.pl c3ea528a8b

nerować legendarnym graczom Wisły i Cracovii, Henrykowi Reymanowi i Józefowi Kałuży".

Nie obyło się w tym czasie bez kolejnej awantury. Kogut zagrał bowiem 7 lipca 1921 roku w reprezentacji Krakowa przeciwko węgierskiej drużynie Ujpesti. Polacy mecz przegrali 1:3, a przeszedł on do historii jako wyjątkowo brutalny. „Niesportowe zagrania gości wywołały awanturę na boisku i trybunach, zaś protestujący przeciw polowaniu na kości Reyman i Kogut zostali wyrzuceni przez sędziego z boiska" – czytamy.

▶ Maturzysta... Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego

28 maja 1922 roku Adam Kogut zadebiutował w reprezentacji Polski w meczu przeciwko Szwecji. Mecz ten przeszedł do historii, gdyż był pierwszym, w którym reprezentacja Polski odniosła zwycięstwo. Być może kariera ta rozwinęłaby się imponująco, gdyby nie owa sławna awantura o „ślepego sędziego" i półroczna dyskwalifikacja z tego powodu. Na domiar złego, gdy tylko w lipcu 1923 roku kara się skończyła, Kogut złamał obojczyk, co uniemożliwiło mu powrót na boisku. No i tak skończyła się jego reprezentacyjna kariera... Zawodnik postanowił więc zdobyć formalne wykształcenie i zdał maturę, jak zostało odnotowane – eksternistycznie w... Żeńskim Seminarium Nauczycielskim w Krakowie.

Kogut łączył grę w piłkę nożną ze służbą w wojsku i szkoleniami, w szczególności w dziedzinie broni pancernej. W 1926 roku awansował do stopnia kapitana. To z powodu wojskowych przydziałów rozstał się z Krakowem, a jego występy w kolejnych zespołach wiązały się ze służbą w kolejnych jednostkach. Grał w Polonii Przemyśl, Czarnych Radom, by powrócić do... Wisły. W „Przeglądzie Sportowym" z 1925 roku relacjonowano: „Turniej na boisku Legji. Wisła II Garbarnia 3:2 (0:0). Decydująca bramka padła dopiero po przedłużeniu. Legia – Wolność 8:1 (6:0). Wisła II Legja 7:0 (4:0). W szeregach Wisły grał po długiej nieobecności w rodzinnym grodzie por. Kogut".

Następne przydziały oznaczały występy w kolejnych klubach. Jak pisze Bogdan Tuszyński w książce „Przerwany bieg. Sportowcy z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska": „W 1927 r. zameldował się w warszawskiej Polonii, gdzie przez dwa sezony grał w I-ligowym zespole. Latem 1928 r. zapowiadano jego przejście do Warszawianki, ale nie ma go tam w składzie meczów pierwszoligowych. Informowano także o zamiarze gry Koguta w Gwieździe Warszawa". Gra w klubach warszawskich wynikała z jego służby w garnizonie w Modlinie.

„Raz, Dwa, Trzy: Ilustrowany Tygodnik Sportowy" z 1932 roku pisał on nim: „Kogut Adam, lewy łącznik obok Kałuży i Sperlinga z lat 1921, w tym czasie osiągnął swój najwyższy poziom. Bardzo dobry gracz, miał dziwny dar przestrzeliwania – w górę oczywiście – bramki z najdogodniejszej sytuacji. Grubo lepiej strzelał... boso, ale także tylko lewą nogą".

▶ Prezydent Lech Kaczyński awansuje majora Koguta

Gdy 1 września 1939 roku wybuchła wojna, kapitan Kogut został zmobilizowany i wziął udział w kampanii wrześniowej jako dowódca pociągu naprawczego broni pancernej. W jakich okolicznościach wpadł w ręce Sowietów, nie wiadomo. Bogdan Tuszyński w książce „Przerwany bieg" napisał, że Adam Kogut „figuruje na liście jeńców wojennych Kozielska, na podstawie której (nr 036/4 z 16.04.1940, poz. 8, nr teczki personalnej 2546) przewieziony został do Lasku katyńskiego i tam zamordowany. Zidentyfikowany i zewidencjonowany pod numerem 809, ekshumowany najprawdopodobniej do bratniej mogiły drugiej". Oprócz Krzyża Walecznych major Kogut odznaczony został Krzyżem Niepodległości oraz Medalem Pamiątkowym za wojnę 1918–1921 i Medalem Dziesięciolecia Niepodległości.

A 9 listopada 2007 roku prezydent Lech Kaczyński pośmiertnie awansował zadziornego piłkarza i wiernego żołnierza do stopnia majora, wraz z jego towarzyszami broni. Warto przypomnieć, jak Prezydent zamordowany w Smoleńsku, gdy leciał na obchody 70. rocznicy Katynia, uzasadnił tę decyzję: „Mocą mojej decyzji [...] wszyscy oficerowie i funkcjonariusze zamordowani w Katyniu zostaną awansowani o jeden stopień. Można powiedzieć, że dzisiaj, po przeszło 67 latach ten akt nie ma już znaczenia, ale myślę, że to pomyłka. Ten akt to akt pamięci, akt pamięci w stosunku do naszych bohaterów, w stosunku do ich rodzin i przede wszystkich w stosunku do całego naszego narodu. Polska potrzebuje pamięci [...] Polsce potrzebna jest pamięć o tych, którzy o nią walczyli, bo Polska odrodziła się z walki w roku 1918, obroniła swoją niepodległość w roku 1920, walczyła w latach 1939–45 w II wojnie światowej, a naród polski stawiał opór komunizmowi przez prawie 45 lat jego rządów. I to z walki, prowadzonej w różnych formach, zbrojnej i pokojowej, zrodziła się wolna Polska. Ci wszyscy, którzy sądzą inaczej, mylą się. Odwaga, determinacja, przywiązanie do ojczyzny pozostają w naszym kraju najwyższymi wartościami". ■

eprasa.pl c3ea528a8b

Tomasz Panfil IPN/KUL

U Polski bram
straż trzymać mam,
czuwać nad całą ojców mych ziemicą.

Dziś patrol tu,
zasadzka tam,
upał czy mróz, czy wicher siecze lico.

Czy dzień, czy mrok,
wytężam wzrok,
na pograniczne patrząc w krąg zagony.

Chwyta ma dłoń
na wroga broń,
gdy zamajaczy wróg gdzieś przyczajony.

Przysiągłem bronić polskich granic,
więc precz zamiary wraże złe.
Ojczyzny mej nie zdradzę za nic,
wszak jestem żołnierz Ka-O-Pe.

Nie da się zgnieść,
honor mój, cześć,
i żadna siła czci tej nie zgruchoce.

Dzisiaj wiem więc,
że żywych serc
nikt nam nie wydrze, nikt nam nie zabierze.

Nie wtargnie wróg
przez Polski próg,
bo go żołnierskich piersi łańcuch strzeże.

Przysiągłem bronić polskich granic,
więc precz zamiary wraże, złe.
Ojczyzny mej nie zdradzę za nic,
wszak jestem żołnierz Ka-O-Pe.

NA STRAŻY POLSKICH GRANIC















eprasa.pl

„Oto zbrojne najemne bandy wkraczają w granice Państwa Polskiego, aby palić dobytek spokojnym mieszkańcom, grabić ich mienie, mordować opornych, a następnie ratować się ucieczką, zostawiając za sobą zgliszcza i ruiny. [...] Żołnierze [...], musicie wierną, wytrwałą służbą zapewnić ludności ład i pokój, zagwarantować bezpieczeństwo. Imię Wasze, imię żołnierza Korpusu powołanego dla ochrony granic, musi być z ufnością i szacunkiem wymawiane przez całą miejscową ludność, a jednocześnie musi być postrachem dla zbrojnych bandytów. Nigdy przed zbrojną bandą żołnierz korpusu nie ustąpi, nigdy się nie cofnie”.

Polska była jak mityczny feniks – powstawała do życia po 123 latach niebytu, odradzała się w ogniu wielkiej wojny światowej. Powstawała wysiłkiem swych najlepszych synów i córek, odradzała się w walce o każdą ze swych granic. Na zachodzie i północy bronią i dyplomacją odbierano Niemcom zagarnięte przez nich wielkopolskie ziemie Piastów. Tu decydujący głos przyznawały sobie zwycięskie mocarstwa wprowadzające w Wersalu nowy porządek na świecie. Również w zabiegach o odzyskanie Śląska sprawdziła się stara maksyma, mówiąca, że wojna to w gruncie rzeczy też dyplomacja, tyle że prowadzona odmiennymi środkami. Gdy zawodziły rzeczowe argumenty kładzione na negocjacyjnych stołach, trzeba było sięgać po karabin i granat. I inny odcinek granicy śląskiej – na ziemi cieszyńskiej. Tu polską krew przelali ulubieńcy Amerykanów i Brytyjczyków: Czesi wykorzystując trudne położenie Polski, złamali umowy, atakując i zagarniając Śląsk Cieszyński zamieszkany w większości przez ludność polską. Idźmy dalej: na południowym wschodzie wojna o Polskę zaczęła się najwcześniej. Lwowską wierność Ojczyźnie udowadniały Orlęta: chłopcy i dziewczęta, którym często lufa karabinu sięgała ponad głowę. Jeszcze najmniej znany i najmniej zacięty bój z Litwą: najpierw o Suwalszczyznę, potem o Wileńszczyznę. Te wszystkie wojny stanowiły preludium tej decydującej – nie tylko o kształcie terytorium i przebiegu linii granicznej, lecz w ogóle o bycie państwowym Polski Odrodzonej: wojny z bolszewicką Rosją. Wojnę tę kończył traktat zawarty w Rydze. Ustalona w stolicy Łotwy granica pokrywała się mniej więcej z granicą drugiego rozbioru. Poza nią, w czerwonej Rosji pozostawały tysiące polskich kresowych dworów skazywanych w ten sposób na zagładę. Obywatelami Rzeczypospolitej zaś stawały się milionowe rzesze Białorusinów i Ukraińców, często zdemoralizowanych ideologią komunistyczną, byłych żołnierzy Armii Czerwonej, wrogich wobec Polaków i państwa polskiego. Mimo formalnego pokoju, na wschodniej granicy wciąż trwała wojna.

Eksport rewolucji

Lew Trocki od marca 1918 roku był ludowym komisarzem do spraw wojskowych i marynarki wojennej bolszewickiej Rosji. Był również autorem koncepcji permanentnej rewolucji. Uznał, że rewolucja nie powiedzie się, jeśli będzie ograniczona do jednego państwa, że warunkiem ostatecznego zwycięstwa komunizmu jest szerzenie go na całym świecie, a w pierwszej kolejności w państwach graniczących z Rosją. To właśnie Trocki odpowiadał za agresję na Polskę w 1920 roku, jego koncepcję wyrażał dowodzący ofensywą Michaił Tuchaczewski, pisząc w swym słynnym rozkazie: „Przez trupa Białej Polski prowadzi droga ku ogólnoświatowej pożodze”.

Po przegranej wojnie z Rzecząpospolitą, Rosja sowiecka nie zrezygnowała z „eksportu” rewolucji. Polskie ziemie wschodnie stały się głównym terenem działania sowieckiej agentury, której celem była destabilizacja struktur społecznych i dekonstrukcja instytucji państwowych. „Eksporterem” rewolucji stał się podlegający Trockiemu oraz Michaiłowi Frunzemu wywiad wojskowy, określany na sowiecką modłę skrótowcem „Razwiedupr”. To jego agenci odpowiadali za akcje wywrotowe i sabotażowe w państwach, w których – zdaniem Trockiego – istniały napięcia społeczne sprzyjające postawom rewolucyjnym: w Niemczech, Bułgarii, Gruzji, państwach nadbałtyckich, na Węgrzech oraz w Polsce. Działania przeciwko Polsce koordynował Józef Unszlicht, stary (jeszcze XIX-wieczny) komunista z Mławy, potem uczestnik bolszewickiego zamachu stanu, czekista, który w sierpniu 1920 roku na parafii w Wyszkowie, razem z pozostałymi członkami Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski, czekał na zdobycie Warszawy przez Armię Czerwoną.

A nam się marzył chleb i miód...

Polska natomiast, zupełnie nieprzygotowana na takie metody działania sąsiada – komunizm przecież dopiero miał objawić światu swe prawdziwe oblicze – wierząca, że słowo „pokój” naprawdę go oznacza, roz-

FOTOGRAFIE ZE ZBIORÓW PIOTRA WASEŃCZUKA

eprasa.pl c3ea528a8b

poczęła budowę aparatu państwowego oraz normalnych, na czasy pokojowe przeznaczonych struktur ochrony granic. Od 1 kwietnia 1921 roku służbę na wschodniej granicy rozpoczęły 24 Bataliony Celne podlegające Ministerstwu Skarbu. Miały one w dwukilometrowym pasie przygranicznym przeciwdziałać nielegalnemu przekraczaniu granicy i przemytowi. Już po roku, ze względu na mocno krytyczne oceny wyników działania Batalionów, zostały one rozformowane i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przystąpiło do tworzenia Straży Granicznej, „cywilno-państwowej formacji przeznaczonej do ochrony granicy wschodniej". I ta formacja nie radziła sobie z sowiecką dywersją.

„Było ich trzydziestu sześciu. Mieli ze sobą, prócz rewolwerów, karabinów i granatów, jeszcze dwa lekkie karabiny maszynowe [...] Leżeli na łące, za krzakami wikliny, w pobliżu rzeczułki stanowiącej granicę [...] Nikt nie rozmawiał. Ciszę wieczoru przerywała nadlatująca z daleka piosenka żołnierzy polskiej straży granicznej:

A nasz oddział wywiadowczy na placówce stoi,
Na placówce stoi, na placówce stoi [...]
I tak pisze do Trockiego, że się go nie boi,
że się go nie boi [...] Siupaj-da" (Sergiusz Piasecki, Piąty etap).

Straż Graniczna funkcjonowała zaledwie rok i już w czerwcu 1923 roku została zlikwidowana. Pilnowaniem granicy ze Związkiem Sowieckim miała się zająć Policja Państwowa. Ta koncepcja była prawdziwym fiaskiem: policjanci byli kompletnie do takich zadań nieprzygotowani, ich uzbrojenie było dalece niewystarczające do powstrzymywania zorganizowanych grup przemytniczych, o doskonale wyszkolonych wojskowo oddziałach dywersantów sowieckich nie mówiąc. Nie pomogło skierowanie do pracy na granicy oddziałów żandarmerii wojskowej, a nawet oddziałów liniowych wojska. Coraz więcej oddziałów dywersyjnych przenikało na teren Polski, dopuszczając się zabójstw, napadów rabunkowych, aktów terroru wymierzonych w instytucje państwowe, Kościół rzymskokatolicki, ziemian i przedsiębiorców. „Było ich czternastu. Mieli krótką i długą broń palną, granaty i jeden karabin maszynowy. Zadaniem ich było; terroryzować burżuazję polską na kresach wschodnich Polski, robić napady na majątki, posterunki policji, pociągi, obiekty wojskowe oraz prowadzić akcję sabotażową. W ogóle chodziło o dyskredytowanie w opinii ogółu polskich władz...".

Napad na Stołpce i pociąg pod Łunińcem

Latem 1924 roku na pograniczu polsko-sowieckim działania zbrojnych band dywersyjnych przybrały charakter otwartej wojny. W nocy z 18 na 19 lipca Sowieci opanowali miasteczko Wiszniew, zaś 4 sierpnia Stołpce.

Stołpce – ciche miasteczko powiatowe leżące nad Niemnem w pobliżu granicy, przez które przebiegała ważna linia kolejowa łącząca Warszawę, Brześć i Baranowicze z Mińskiem. Około godziny pierwszej liczący około 60 ludzi oddział sowiecki dowodzony przez agenta wywiadu Waupszasowa zaatakował jednocześnie kilka punktów. Obroniło się starostwo i komenda powiatowa policji. Ze swych własnych koszar policjanci w popłochu uciekli pod ogniem, Sowieci opanowali stację kolejową, pocztę, więzienie. Po ponad godzinie rabunków i mordów, napastników z miasteczka wyparła przybywająca z odsieczą kawaleria oraz oddział... stołpeckich urzędników. Napastnicy wycofali się do Puszczy Nalibockiej, zabierając ze sobą uwolnionych z więzienia działaczy komunistycznych i agitatorów. W Stołpcach zginęło 10 osób, w tym aż siedmiu policjantów. „Fakt ten jest czemś tak niesłychanem, czemś tak wyjątkowym w stosunkach pomiędzy narodami, że przed wojną byłby wiadomością, w której prawdziwość nie możnaby uwierzyć. Oddziały wojskowe republiki sowieckiej, pozostającej oficjalnie z Polską w stosunku pokojowym, dokonywują napadów na terytorjum sąsiedniego państwa! I czynią to nie raz i nie dwa, ale raz po raz, tydzień za tygodniem!" – pisał z niedowierzaniem krakowski „Czas".

Władze polskie wreszcie zrozumiały, że nieszczelna granica, źle pilnowana przez niesprawną służbę, to znacznie poważniejsze straty niż tylko wynikający z przemytu uszczerbek dochodów państwa. Źle pilnowana granica to zagrożenie dla umowy społecznej, wedle której struktury państwa – w zamian za podatki – zobowiązują się dbać o bezpieczeństwo obywateli. „Dziurawa" granica, przez którą przedostają się przemytnicy, agitatorzy, agenci i sabotażyści, podważa zaufanie do państwa. Uświadomiwszy sobie powagę sytuacji, władze zaczęły działać szybko. Prezydent Stanisław Mościcki zaprosił do swej rezydencji w Spale rząd – w czasie dwudniowego posiedzenia (21 i 22 sierpnia) postanowiono utworzyć Korpus Ochrony Pogranicza, nadać mu strukturę wojskową i podporządkować – w czasie pokoju – ministrowi spraw wewnętrznych. Już 12 września minister Władysław Sikorski wydał rozkaz o powołaniu KOP, pięć dni później ustalił strukturę, etaty i powołał gen. Henryka Odrowąża-Minkiewicza na pierwszego dowódcę. To słowa gen. Minkiewicza, zawarte w jego pierwszym rozkazie, rozpoczynają naszą opowieść.

25 września sowieccy terroryści, przebrani w mundury polskich kolejarzy, zatrzymali przed Łunińcem (na wschód od Pińska) pociąg z Brześcia. Podróżował nim wojewoda poleski Stanisław Downarowicz wraz biskupem mińskim Zygmuntem Łozińskim (którego władza sowiecka prześladowała już wcześniej) i komendantem okręgowym policji Józefem Mięsowiczem. Żaden z wysokich urzędników, obecnych w pociągu oficerów wojska i policji nie próbował zorganizować oporu – 20 funkcjonariuszy państwowych poddało się potulnie. Walczyli tylko jeden z policjantów i kupiec – jedna wersja mówi, że bronił się przed obrabowa-

eprasa.pl c3ea528a8b

niem, inna że rozpoznał kogoś z napastników. Obaj zginęli. Wojewoda i komendant policji rozebrani do bielizny zostali wychłostani, majestat Rzeczypospolitej został po raz kolejny boleśnie upokorzony.

Korpus na granicy

Przy tworzeniu KOP wyciągnięto lekcję z poprzednich prób. Do służby w Korpusie powołano wojskowych oficerów, zachęcano do wstępowania doń żołnierzy służby zasadniczej, prowadząc akcję werbunkową w pułkach liniowych. W ten sposób do KOP-u trafiali doświadczeni, dobrze wyszkoleni i przygotowani do walki żołnierze. Pospiesznie formowane jednostki KOP już w październiku 1924 roku przechodziły na granicę, gdzie praktycznie z marszu wchodziły do służby.

Docelowo przewidziano powołanie 36 batalionów piechoty oraz 30 szwadronów kawalerii. Tworzyły one początkowo trzy – w latach następnych powołano kolejne trzy oraz samodzielne pułki – brygady KOP, których dowództwa ulokowano w Zdołbunowie (odcinek wołyński), Baranowiczach (województwo nowogródzkie) oraz w Wilejce (odcinek granicy z Litwą i związkiem Sowieckim aż po Łotwę). Bataliony KOP były jednostkami samodzielnymi pod względem taktycznym i operacyjnym. Etat batalionu wynosił 25 oficerów, 200 podoficerów i 603 żołnierzy dobrze uzbrojonych – również w broń maszynową. Po gen. Minkiewiczu KOP-em dowodził gen. Stanisław Zosik-Tessaro, a potem gen. Jan Kruszyński, który stał na czele Korpusu 9 lat, aż 31 sierpnia 1939 roku. Ostatnim dowódcą został 1 września 1939 roku gen. brygady Wilhelm Orlik-Rückemann.

Głównym terenem działania żołnierzy Korpusu była strefa nadgraniczna o szerokości do 6 kilometrów. Pas graniczny natomiast obejmował terytorium wszystkich powiatów przygranicznych, a także powiatów sąsiednich, tak by pas sięgał 30 kilometrów w głąb Rzeczypospolitej. Oddziały KOP strzegły niemal wszystkich granic: ze Związkiem Sowieckim, Litwą, Łotwą, Niemcami, a pod koniec istnienia II RP również z Rumunią i Węgrami.

Na efekty powierzenia ochrony granic – zwłaszcza tej z Sowietami – Korpusowi nie trzeba było długo czekać. Zorganizowane i wyszkolone na wzór wojskowy, dobrze uzbrojone jednostki KOP radziły sobie doskonale zarówno ze zbrojnymi grupami dywersyjnymi, jak i z bandami przemytniczymi. Głęboko zakonspirowany program działań wojskowego wywiadu sowieckiego przeciwko Polsce wyszedł na jaw, gdy sowieccy dywersanci, przebrani swoim zwyczajem w polskie mundury, natknęli się na oddział KOP-u. Uciekając przed pościgiem sowieccy agenci wpadli na swoje oddziały pograniczne, dostali się w krzyżowy ogień i musieli się ujawnić. Z czasem objęcia służby ochrony polskiej granicy przez Korpus zbiegły się zawirowania na szczytach władzy w ZSRS. Po śmierci Lenina (21 stycznia 1924 roku) rozpoczęła się walka o przywództwo między Stalinem a Trockim, z której zwycięsko wyszedł ten pierwszy. Stalin zaczął realizować swój program budowania komunizmu najpierw w Związku Sowieckim, więc „eksport" rewolucji został wygaszony – oczywiście tylko do czasu, aż Stalin uzna, że jest gotów ponownie ruszyć na podbój Europy.

Korpus w czasie pokoju i wojny

Korpus zwalczał dywersantów, kontrabandzistów i przemytników, zapobiegał antypolskim i antypaństwowym akcjom propagandowym, prowadził ochronę sanitarną. Budował strażnice i posterunki, konstruował bunkry i umocnione punkty oporu. Budował zaufanie do państwa polskiego: wspierał ludność ziem wschodnich – z racji etnicznych, wyznaniowych i ideologicznej temuż państwu niechętną – prowadząc akcje oświatowe, głównie w zakresie opieki sanitarnej, weterynaryjnej i rolnej. Budując umocnienia przygraniczne dawał pracę, otwierał sklepy, w których pojawiały się niewidziane na tych ziemiach towary, organizował uroczystości od święta i wspierał na co dzień, choćby w opiece nad dziećmi. Korpus przełamywał nieufność, zyskiwał wdzięczność. Jej wyrazem były rozmaite upamiętnienia wznoszone przez ludność miejscową. Działalność Korpusu doceniali komuniści, nienawidząc go najbardziej ze wszystkich formacji polskich.

17 września, po przekroczeniu przez siły zbrojne Związku Sowieckiego polskiej granicy, marszałek Śmigły-Rydz wydał rozkaz zawierający nieszczęsne sowa: „z Sowietami nie walczymy". Lecz Korpus ślubował w obliczu Boga w Trójce Świętej Jedynego „ [...] Rzeczypospolitej Polskiej i sprawie Narodu całego na każdym miejscu służyć, Kraju ojczystego i dobra narodowego do ostatniej kropli krwi bronić [...]". Więc bronił i ginął. Na dwóch przeciwnych krańcach Rzeczypospolitej dwie reduty KOP-u, obie nazywane Termopilami Września. Jedna na zachodzie, w Wiźnie, broniona przez kapitana KOP Władysława Raginisa, który wstrzymał marsz całej dywizji pancernej Guderiana, a nie chcąc poddać się najeźdźcy, wysadził się granatem. Druga na wschodzie, w Tynnem, broniona przez trzy dni przez prawnika, porucznika rezerwy Jana Bołbotta. Sowieci oblali bunkier smołą i papą i podpalili. Żołnierze KOP, w czarnym dymie, walczyli w maskach, prowadząc ogień z płonącego stosu. Wreszcie Sowieci bunkier wysadzili. Porucznik Bołbott, przywalony setkami ton betonu, wciąż trzymał straż.

Żołnierze KOP walczyli do końca, ostatnie ich zgrupowanie dowodzone przez gen. Orlik-Rückemanna bijąc się z Armią Czerwoną dotarło na Lubelszczyznę, celem było dołączenie do SGO Polesie gen. Kleeberga. 1 października pod Wytycznem Korpus stoczył swą ostatnią, zwycięską bitwę. Wziętych do niewoli około 300 żołnierzy KOP-u Sowieci zamordowali. ■

eprasa.pl c3ea528a8b





HISTORIA

Z PAMIĘTNIKA IDALII ŻYŁOWSKIEJ

Dariusz Jarosiński



„Ci, którzy dziś pamiętają Idalkę, nie mogą zapomnieć jej subtelności, skromności, jej głębokiego spojrzenia na życie, choć była zamknięta w sobie" – pisała wileńska dziennikarka o Idalii Żyłowskiej – córce Józefa Mackiewicza.



eprasa.pl c3ea528a8b



1. Koleżanki ze szkoły. Od prawej Idalia Żyłowska, Halina Choroszewska, Danka Borusewicz, Halina Tuliszewska. Okolice Wilna
2. Idalka Żyłowska (z prawej strony) z najbliższą przyjaciółką Haliną Choroszewską w czasie egzaminów maturalnych w „Piątce" w 1952 roku
3. Wanda Żyłowska (1896–1941), matka Idalii Żyłowskiej



FOT. ARCH.

Józef Mackiewicz miał dwie córki: Halinę Antoninę i Idalię. Halina urodziła się w 1925 roku, pochodziła ze związku małżeńskiego zawartego w 1924 roku przez 22-letniego wówczas Józefa z Antoniną Kopańską, nauczycielką z Wilna. Małżeństwo przetrwało zaledwie kilka lat. Idalia, druga córka pisarza, przyszła na świat w 1931 roku – była owocem romansu z Wandą Żyłowską, korektorką z redakcji wileńskiego dziennika „Słowo", w której oboje pracowali.

W ostatnich latach powstało wiele publikacji biograficznych poświęconych Józefowi Mackiewiczowi – w żadnej jednak z nich nie znajdziemy informacji na temat córek pisarza, poza jedynie zdawkowymi zdaniami. Kazimierz Orłoś, pisarz, siostrzeniec Józefa Mackiewicza, młodszy o dziesięć lat od swojej kuzynki Haliny Mackiewiczówny, w „Dziejach dwóch rodzin. Mackiewiczów z Litwy i Orłosiów z Ukrainy" (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2015) przywołał ją kilkakrotnie we wspomnieniach. O drugiej córce swego wuja Józefa pisze krótko: „Historia Idalki, jak mówiło się o niej w rodzinie, zasługuje na osobne, dłuższe opowiadanie. Do napisania w przyszłości".

To milczenie o córkach pisarza mogłoby sugerować, że nie interesował się nimi, co przeczy prawdzie. Józef Mackiewicz utrzymywał bliski kontakt z obiema córkami. Kiedy mieszkał na Wileńszczyźnie, dziewczęta odwiedzały go w domu w Czarnym Borze. Sytuacja skomplikowała się po 1944 roku, po wyjeździe pisarza na Zachód. Halina w 1945 roku zamieszkała w Warszawie, Idalia pozostała w Wilnie. Żelazna kurtyna rozdzieliła pisarza od córek, ale wspierał je, choć, jak wiadomo, sam ledwo wiązał koniec z końcem, wysyłał paczki, listy. Często zapracowanego pisarza wyręczała w utrzymywaniu kontaktów z córkami żona, Barbara Toporska.

Losy Idalii Żyłowskiej spróbuję opisać na podstawie zachowanych jej wspomnień, a także wspomnień o niej koleżanek. Idalia nie mogła przyznawać się długi czas do tego, kim jest jej ojciec.

Domek w Czarnym Borze

Wioska Czarny Bór oddalona jest o piętnaście kilometrów od Wilna, leży przy powstałej w 1914 roku linii kolejowej z Wilna do Lidy. Właściwie wraz z wybudowaniem tutaj stacji kolejowej zaczęła się historia tej puszczańskiej wioski, poczęli napływać osadnicy z Wilna. Otoczona jest ze wszystkich stron rosłymi drzewami sosnowymi Puszczy Rudnickiej, zdarzają się też jodły i czarne olchy, które nadają nieco tajemniczego, mrocznego klimatu. Urody puszczańskiej wiosce dodaje rzeka Waka.

eprasa.pl ea528a8b

W okresie międzywojennym Czarny Bór stał się ulubionym miejscem letniego wypoczynku wileńskich Żydów, nazywali oni to miejsce Szwarce Bor. Budowała tutaj też swoje dacze wileńska polska inteligencja, m.in. zakupiła dom Barbara Toporska, żona Józefa Mackiewicza.

Przed kilkunastoma laty po raz pierwszy dotarłem do Czarnego Boru. Po wielu godzinach wędrówki, poszukiwań domu Barbary i Józefa Mackiewiczów, młoda kobieta, Polka, oznajmiła mi, że zna ten dom. Zareagowała na nazwisko Idalii Żyłowskiej. Okazało się, że jej nauczycielką chemii w szkole w Czarnym Borze, ale też jej matki, była Idalia Żyłowska. – To była dobra i skromna nauczycielka – opowiadała mi po drodze do domu pisarza. – Życie poświęciła dla przybranego syna. Wzięła go z domu dziecka. Oddała mu serce. Odejmowała sobie od ust, aby tylko on miał dobrze, sama chodziła wiecznie w tym samym, wytartym palcie. Ale on, Alwidas, nie szanował matki. Później Idalia Żyłowska wyprowadziła się do Wilna. Tam zmarła. W ich domu zamieszkała rodzina Rzeszewskich. A i ostatni z tej rodziny zmarł.

Kobieta zostawiła mnie pogrążonego w myślach. Dzisiaj żałuję, że o nic więcej nie pytałem, ale stałem przez pewien czas zaskoczony jej opowieścią i widokiem domu pisarza. Był opuszczony, dach kryty eternitem nie robił dobrego wrażenia. Przez okna można było dostrzec pozostawione meble, jakieś naczynia w kuchni, tak jakby ktoś niedawno go opuścił, wyjechał jedynie gdzieś niedaleko. Kiedy obszedłem już wszystkie zakamarki, przysiadłem na ławeczce przed domem Barbary i Józefa Mackiewiczów i wyciągnąłem z plecaka „Drogę donikąd". Bez trudu odszukałem swój ulubiony fragment:

„Okres, w którym liście opadają w tym kraju z drzew, łączy się zazwyczaj z okresem wiatrów. Gdy idzie się z wiatrem, liście biegną z tyłu; gdy się wychodzi, odchodzi z domu, są one jak wierne pieski, które toczą się po ziemi, odprowadzając kawałek drogi na ostatnie pożegnanie, czy też jak oswojone ptaszki, pisklęta rude, żółte, brązowe, śmieszne i niezgrabnie podskakujące wydłużanym stadem i czepiające się cholew albo nogawic spodni. Wiatr zadmie i w swym dziecinnym ferworze liście jesienne robią minę, jakby nigdy nie miały zamiaru opuścić podróżnego, a owszem toczyć się za nim aż na kraj świata, a nawet zawadiacko wyprzedzają go na ścieżce. Zwłaszcza liście klonowe na swych pogiętych nóżkach okręcają się młynkiem i wyczyniają tyle szmeru, że ścieżka wydaje się być żywą. Wierzyć im jednak nie można. Cała hałastra zatrzyma się nagle i układa w błocie na płask".

Halina i Idalia odwiedzały ojca w Czarnym Borze mijając się, nigdy nie były tam razem. Odwiedzały ojca zazwyczaj w soboty, niedziele, w czasie wakacji. Długi czas nie wiedziały o swoim istnieniu. Dopiero w 1966 roku Halina Mackiewiczówna dowiedziała się, że ma przyrodnią siostrę, i natychmiast zdecydowała, że musi ją poznać i zaprosiła do siebie do Warszawy – tak przynajmniej pisze o tym wileńska dziennikarka Alwida Bajor.

Zachowało się wspomnienie domu czarnoborskiego Idalii z okresu, kiedy odwiedzała ojca:

„Domek w Czarnym Borze był bardzo ładny, tylko okiennice miał chyba zielone albo brązowe, nie świeciły tak jak dzisiaj. Okna z lewej od ganku należały do gabinetu Józefa. Stała tam skórzana kanapa, biurko i były półki z książkami. Boczne okna w lewej ścianie – to do buduaru Barbary (tak się nazywał) i sypialni. W buduarze stała kozetka, były też miękkie stołeczki i toaletka z pachnidłami. Barbara jednak prawie nigdy tam nie przebywała. W sypialni stało duże łoże i komoda, do której w czasie wojny składano nieprasowaną bieliznę, oraz parawan, za którym były ukryte przyrządy do mycia oraz nocniki. Okno z prawej – to od stołowego pokoju, stał w nim duży kredens, a pośrodku pokoju stół. Ściany zdobiły jakieś ceramiczne talerze, które wydawały mi się brzydkie i nie na miejscu. Pamiętam, że Barbara też miała coś przeciwko tym talerzom.

Ganek nie był oszklony, była to zwykła werandka, na której piło się mleko z keksem (gdy ktoś przyjeżdżał z Wilna) lub z czarnym chlebem kupionym gdzieś za domami, w chatach. W deszcz ławeczka i stolik były przesiąknięte, a w zimie stały na nich czapy śniegowe, podłużne i krzywe. Na tej ławeczce rezydował w swych latach szczenięcych biały jak śnieg owczarek Miś, któremu wszyscy bez końca wyławiali pchły na różowym brzuszku.

Przed gankiem był kwiatowy ogródek dość starannie uprawiony, ale kwitło tu mało. Drzewo z lewej było o ileż młodsze i cieńsze, bogate w szpakówki, o które wróble wiodły zacięty bój z prawowitymi mieszkańcami. Stał tu ładny drewniany płocik z małą furteczką, przez którą wychodziło się od razu do lasu gęsto usypanego szyszkami, porośniętego szorstkim wrzosem, który ukrywał, czasem nawet tuż za płotem, żółciutkie kurki.

Z lewej strony od ganku, za krzewami była brama wjazdowa na placyk-podwórko. Rosły tu dwie samotne sosny ochraniające budy wilczurów Karasa i Tajki [Wojny i Pokoju – w tłum. na polski]. Stamtąd też przez kuchnię wchodziło się do domu. Wzdłuż prawej ściany domu zewnętrzne schodki prowadziły na salkę: dwa prawie nieumeblowane pokoiki. Ten od werandy był większy i słoneczny, miał niemalowaną podłogę. Z prawej strony rósł nieduży, ale bogaty sad, pachnący, brzęczący i zawsze zakazany".

eprasa.pl c3ea528a8b

Przytaczam dłuższy fragment opisu domu przez Idalię Żyłowską, bo świadczy on o talencie literackim, być może odziedziczonym po ojcu. Myślę nawet, że równie dobrze ten tekst mógł napisać sam Józef Mackiewicz. Wspomnienia Idalii świadczą o dużej wrażliwości, a zarazem o sile ducha. Pisała na przykład, że żal jej tego, co było kiedyś dobre, co przeminęło, „ale gdyby nie przeminęło, nie byłoby żalu, nie byłoby uroku". Ileż w tym zdaniu siły, nadziei.

Jakby ich wiatr zmiótł

Idalia nie miała łatwego życia, znalazła się w szczególnie trudnej sytuacji życiowej po śmierci matki w 1941 roku. Dziewczynka miała wówczas jedenaście lat. Trafiła pod opiekę starej, schorowanej, niezaradnej ciotki, która mieszkała w Wilnie przy ulicy Zakrętowej. Chociaż wcześnie doświadczyła biedy, to jednak nie skarżyła się we wspomnieniach.

Jej spostrzeżenia otaczającej rzeczywistości były nad wyraz wnikliwe, świadczyły o dużej dojrzałości: „W ciągu paru dni chłopców zabrakło, jakby ich wiatr zmiótł: i Tadzika z Zakrętowej, o rok tylko ode mnie starszego, i Zbyszka, i Jurka, i Jerzego. Parę tygodni później uciekaliśmy na Sałatę – piękne jezioro za Wilnem. Stodołę, w której spaliśmy, krzaki, w których chowaliśmy się, gdy ostrzeliwano z nisko latających samolotów. [...] Na naszą stodołę natrafili partyzanci, mieli biało-czerwone opaski, wszyscy na koniach, a wśród nich był ranny, którego wnieśli do izby. Był to okres truskawek i, jak się wydawało, prędkiego wyzwolenia. Przyszło, ale inne. Nasze chłopaki, którzy też walczyli o Wilno, wrócili znacznie później, bo aż z Kaługi, twarze mieli ponure, chodzili oddzielnie, milczący, a matki ich opowiadały w sekrecie, że plecy mieli zbiczowane. Zaczęła się »repatriacja« do Polski. Domki, otoczone ogródkami kwiatowymi, jeden po drugim zajmowali Rosjanie, zaś w naszym nowym podwórku pojawiły się dwie rodziny litewskie. Nie pamiętam dnia »zwycięstwa«. Wojna dla mnie skończyła się wówczas, gdy zaczęli rozbierać płoty. Rosjanie twierdzili, że płoty to przeżytek kapitalistyczny i teraz będziemy wszyscy żyć razem".

W latach 1948–1952 Idalka przebywała w domu dziecka na Antokolu.

„Ci, którzy dziś pamiętają Idalkę, nie mogą zapomnieć jej subtelności, skromności, jej głębokiego spojrzenia na życie, choć była zamknięta w sobie" – pisze Krystyna Adamowicz, wileńska dziennikarka. „Wilnianka Barbara Pyszniak pamięta ją ze wspólnych obiadów świątecznych u pani doktor Anieli Sielskiej.

– Dom pani Anieli był dla nas, dzieci mieszkających przy ul. Wileńskiej, piękną przystanią. Zapraszała na świąteczne śniadanie wielkanocne, na wigilię Bożego Narodzenia i po prostu na niedzielę, czy nawet zwykły dzień, gdy wiedziała, że niektórym dzieciom się w rodzinach nie przelewa. Pamiętam duży stół świąteczny, gdzie zasiadały dzieciaki niemal z całej ulicy Wileńskiej. Pani Aniela nie skąpiła dobroci, matczynej czułości. Właśnie tam poznałam Idalkę. Była raczej milcząca, ale chciało się na nią patrzeć. Pokora przez nią przemawiała, a jednocześnie jakiś milczący bunt – wspomina pani Barbara. [...]

Aniela Sielska, lekarz-pediatra, absolwentka Uniwersytetu Stefana Batorego, od razu po studiach, jeszcze przed wojną, podjęła się pracy w Domu Dziecka. Poświęciła temu 60 lat życia. »Moje życie stało się cząstką świata dzieci« – mawiała. [...] Pani Aniela ze szczególnym uczuciem traktowała tę inteligentną, subtelną w każdym ruchu i spojrzeniu dziewczynkę [Idalkę – przyp. D.J.]. Zostały przyjaciółkami przez całe dalsze lata. W roku 1977 Idalka odprowadzała w ostatnią drogę tę szlachetną wilniankę, panią doktor, człowieka o wyjątkowej szczodrości i czułym sercu".

Idalia po ukończeniu szkoły podstawowej zaczęła w 1948 roku naukę w Szkole Średniej nr 5, popularnie zwanej „Piątką". Językiem wykładowym był w szkole język polski. W pierwszych latach istnienia szkoły rozpiętość wiekowa sięgała w niektórych klasach nawet siedmiu, ośmiu lat. Do szkoły trafiali tacy uczniowie, którzy w czasie wojny uczęszczali na tajne komplety, i tacy, którzy nie mieli kontaktu z książką czy z zeszytem. W szkolnych ławach zasiedli też chłopcy, którzy jeszcze niedawno walczyli w Armii Krajowej. W 1948 roku polskie gimnazjum sprzed Ostrej Bramy zostało przeniesione do dzielnicy Antokol i ulokowane w budynkach, gdzie do wojny mieściły się żeńska szkoła nr 15 i męska nr 29, a podczas wojny koszary. Szkoła w owym czasie liczyła ponad tysiąc uczniów. Nierzadkie były przypadki wywożenia polskiej młodzieży na Syberię. Przez długi czas gimnazjum na Antokolu było jedyną szkołą z językiem polskim wykładowym. Trzon kadry pedagogicznej stanowili starzy, przedwojenni nauczyciele. To oni ratowali polską wileńska młodzież przed wynarodowieniem, utratą tożsamości, sowietyzacją, a jednocześnie chronili przed represjami, wywózką na Syberię.

Szkolne wspomnienia

Idalia Żyłowska ukończyła gimnazjum i zdała maturę w 1952 roku. Szkole poświęciła wiele wspomnień. Może trochę przesadzę, a może i nie, jeżeli powiem, że styl pisania, ale też sposób oglądu świata, ma wiele wspólnego z pisarstwem Józefa Mackiewicza:

„Pierwszą polonistką była p. Pieniążkowa, której nie doceniałam i nie lubiłam, bo zmuszała mnie, jakże słusznie, do ortografii. Początków literatury polskiej uczyła nas p. Szumska, która zasypiała na lekcjach, za

eprasa.pl c3ea528a8b

co raz od p. Lipskiej dostała po głowie spodniami gimnastycznymi. Było wiele zabawy, kiedy przyszła na lekcję w czarnym kostiumie fastrygowanym białą nitką. Miała małą córeczkę i pewnie nie dojadała, ale od amerykańskiej pomocy się odmówiła. Była fanatyczną komunistką, ale ten fanatyzm był nam miły [...]. Przez pewien czas byłam prezesem kółka literackiego, które prowadził nauczyciel Kowalewicz, a można było nim manipulować. Wydawaliśmy gazetkę tego kółka, która bardzo nie podobała się Oldze Timofiejewnej Moroz. Zaproponowałam do omówienia »Urodę życia« Żeromskiego. Olga Timofiejewna zaraz to wywęszyła i orzekła, że jest to utwór na wskroś nacjonalistyczny. Prawdopodobnie p. Kowalewiczowi się dostało [...]".

Idalia najbardziej lubiła nauczycielkę matematyki Kazimierę Likszankę, która krótko też była dyrektorką szkoły. Jak pisze, lubiła ją za to, „że dbała o każdego ucznia i walczyła o polskość, póki nie wyrugowano ją i przysłano Tatianę Kurylenko, bardzo sprytnie troszczącą się o naszą duchową rusyfikację".

Kazimiera Likszanka to legenda wileńskiej inteligencji – żołnierz legionów, Armii Krajowej. To za jej dyrekcji zostali przyjęci do pracy w szkole znakomici polscy przedwojenni nauczyciele. Z pracy została zwolniona dlatego, że 11 listopada młodzież „Piątki" wystawiła na cmentarzu na Rossie wartę przy grobie Matki i Serca Syna. Dwaj wartownicy, uczniowie, Tadek Ciesielczuk i Janek Sperski, zostali aresztowani i skazani przez sąd w pokazowym procesie na 10 lat łagrów z pozbawieniem obywatelstwa na trzy lata. W sądzie odważnie bronił uczniów ich nauczyciel historii, Aleksander Jabłoński.

Kazimiera Likszanka wiedziała, że Idalia żyje w skrajnym ubóstwie, a widząc, że dziewczynka chodzi w byle jakich, rozpadających się starych butach, podarowała jej swoje „solidne skórzane, sznurowane buciki". „Oglądałyśmy je z nabożeństwem na nogach naszej koleżanki" – opowiadała po latach Krystyna Pytlewiczówna-Kieliene.

W „Piątce" warunki lokalowe były okropne, dzisiaj nawet trudno je sobie wyobrazić. Najważniejsze jednak, że można było uczyć się w polskiej szkole, rozmawiać po polsku.

„Na Końskiej uczyliśmy się w płaszczach, bo jesień i zima były chłodne, a rzadko palono tam w kaflowych piecach – pisała Idalia. Nosiliśmy ze sobą kałamarze nie wywrotne i obsadki. Na pierwszych lekcjach stukałyśmy w kałamarze bez skutku: zamarzały. Przez wybite okna sypał śnieg na zeszyty. [...] 11 Listopada wywiesiliśmy przez okno biało-czerwony prawdziwy sztandar. Po trzeciej lekcji kazano nam surowo zdjąć go. Na wielkiej przerwie dyżurny biegł z wiadrem po gorącą herbatę i pączki. Pączek przypadał tylko jeden, a herbaty słodkiej wystarczało nawet po dwa kubki. [...] Często na wywoływanie nauczyciela klasa odpowiadała »wywieźli« [chodzi o wywiezienie na Syberię – przyp. D.J.]. Później – »wyjeżdża do Polski«. Nasze panie: Czekotowska, Tyszkówna, Wołczacka, Sucharewiczowa zostały z nami".

W 1951 roku powstała grupa konspiracyjna na wzór Filomatów i Filaretów. Głównym jej celem było samokształcenie się w dziedzinie historii, literatury, zdobywanie wiedzy politycznej. Po 1956 roku grupa przestała działać jako grupa konspiracyjna. W 1973 roku reaktywowała się, dołączyły do niej nowe osoby. Działała do 1 września 1988 roku, do czasu powstania legalnej organizacji – Miejskiego Oddziału Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie imienia Władysława Syrokomli. Założycielem i prezesem OSKPL był Jan Andrzejewski.

Oddajmy głos współzałożycielce kółka patriotycznego, bo tak nazywano wówczas tę organizację, Idalii Żyłowskiej:

„We trzy, z Halką Tuliszewską i Halką Choroszewską postanowiłyśmy założyć kółko patriotyczne, którego działalność nie była zupełnie dla nas jasna, ale potrzeba – niewątpliwie wielka. [...]

Pierwszą naszą działalnością były zbiórki w Zakrecie, na Belmoncie i jeszcze gdzieś. Ułożyliśmy statut, program działania. Główne działania to studiowanie historii Polski i dysputy polityczne. W tym celu urządzaliśmy nocne zebrania, w zimie u Ali Polonisówny i u Irki Nosowiczówny na nartach, jesienią – u Halki Choroszewskiej. Pracowaliśmy do 4 rano, potem nie było gdzie spać. Wybrałam się raz piechotą do domu. Była śliczna noc. Lampy odbijały w rzece, więc stanęłam koło Zielonego Mostu, by się pozachwycać widokiem i odpocząć po długiej drodze z Piasków. Nagle podchodzi milicjant: czy aby nie chcę się utopić?! Musiałam pójść dalej.

Wiosną i latem robiliśmy długie wycieczki za miasto w celach krajoznawczych, np. do Zułowa, z noclegiem na stacji w Podbrodziu. Wydeptaliśmy wtedy cały rejon wileński. Największym naszym wyczynem było nocne zasadzenie brakujących z prawej strony sosenek koło płyty Piłsudskiego. Bałyśmy się bardzo: godz. 24.00, ciągle oświetlały nas mijające auta. Ach, jakie to było naiwne! Nazajutrz stróż te nasze sosenki wyrwał".

▶ Dziękuję Ci za śliczną kartkę z Wilna

Idalia Żyłowska studiowała biologię na Uniwersytecie w Wilnie. Może to przypadek, ale wybrała podobny kierunek studiów co jej ojciec. Po ukończeniu nauki przez 34 lata wykładała chemię i biologię w czarnoborskich szkołach: polskiej, litewskiej i rosyjskiej. Mieszkała w Wilnie w dzielnicy Karolinki, skąd dojeżdżała do pracy, ale też pomieszkiwała w Czarnym Borze.

eprasa.pl c3ea528a8b

▶ Zajrzyjmy do wspomnień Idalii Żyłowskiej z okresu pracy w szkole:

„W pokoju nauczycielskim (w szkole w Czarnym Borze) stały dwa stoły robocze. I co dziwne, mimo ogólnej sympatii i poszanowania, w czasie przerwy następował podział: wokół jednego zbierała się »mniejszość narodowa wszelkiej maści«, koło drugiego – »starszy brat«, chociaż rodzaju męskiego było ich dwóch. I tu i tam nie prowadzono rozmów politycznych, ale jakieś nieuchwytne antypatie rozdzielały te dwa stoły. Nie, te dwa stoły nie były wrogo do siebie usposobione. Razem urządzaliśmy tzw. »sabantuje«, wieczorki. Wtedy Niemiec – germanista, umizgał się do pięknej Żydówki – rusycystki. Zdawało się, że nasi Rosjanie nie mają poczucia humoru. Siedzieli przy stole sztywni, wspominali czasy wojenne lub dzielili się przepisami kulinarnymi – w tym byli świetni. Świetni byli też w wygłaszaniu okolicznościowych przemówień. Było w nich tyle pięknych słów i serdeczności, ale jakoś nie wzruszało. Żydzi zawsze wytrząsali z rękawa anegdoty – broń Boże polityczne, bo nie dla takiego towarzystwa, a o swoim narodzie, który rzeczywiście ma w sobie coś zabawnego, ale takiego lepszej jakości. Polacy wykorzystywali przerwy w rozmowach i zaczynali śpiewać piosenki te ze Śląska, Mazowsza, czasem coś legionowego, na co opiekunowie przymrużali oko. Litwini siedzieli cicho, konsumowali rybę po żydowsku, kwaszeninę po litewsku, różne sałatki. Zawsze im się coś nie podobało, co później omawiali między sobą".

Alina Worotyńska, nauczycielka historii, pracowała w tym samym czasie co Idalia Żyłowska w czarnoborskiej szkole: – Dla mnie Idalia nigdy nie była zamknięta. Przyjaźniłyśmy się. Wiele jej zawdzięczam. Była naprawdę bardzo mądra, tak wiele wiedziała i umiała swoją wiedzę przekazać innym. Liczyłam się z jej zdaniem. Była też bardzo zasadnicza, powiedziałabym twarda w swych poglądach. Dużo dyskutowałyśmy o różnych sprawach życiowych, jej opowiadań o Wilnie przedwojennym mogłam słuchać bez końca. Nieraz po lekcjach w szkole jechałyśmy do Wilna na kawę, do „Astorii". Bywałam też częstym gościem w jej mieszkaniu na Karolinkach, aż do czasu, kiedy wyrósł jej syn i ożenił się. Idalka wzięła na wychowanie chłopaka z tego samego domu dziecka, gdzie przez cztery lata była sama oraz gdzie pracowała dr Sielska.

– Idalka jadąc autobusem, jechała czasem o jeden przystanek dalej. Nie rozumieliśmy wtedy, dlaczego ona to robi. Tylko po jakimś czasie dowiedziałam się, że tam, nieopodal przystanku „Leśniczówka", był dom jej ojca Józefa Mackiewicza, w którym mieszkał z żoną Barbarą Toporską. Rzeczywiście, Idalka nie afiszowała się, że jest córką słynnego pisarza i że w tym domu jako dziecko częstokroć bywała. Dlaczego była w tym taka tajemnicza? Przyczyna zrozumiała – Idalia odczuwała, że jest śledzona, a już na pewno telefon miała na podsłuchu. Bardzo ceniła listy od żony ojca Barbary Toporskiej, uważając, że w ten sposób pisze do niej ojciec. Widocznie dlatego listów od ojca jest niewiele i są raczej o treści neutralnej.

Zachowały się nieliczne listy, kartki pocztowe pisane przez Józefa Mackiewicza i Barbarę Toporską z Monachium do Idalii. „Dziękuję ci za śliczną kartkę z antokolskimi sosnami. Śmieszne, że te domki o czterospadowych dachach są zupełnie podobne do tych, w których mieszkamy. Jeszcze do niedawna była to wieś, a teraz włączona w miasto, przepleciona już zupełnie nowoczesnymi willami. Las jest bardzo blisko i bardzo wielki. A nasze teraźniejsze mieszkanie to właściwie mieszkanko. O tanie mieszkanie jest tu bardzo trudno, nasze składa się z dwóch pokojów i dużej łazienki [...] Na oknie moc kwiatów, a za oknem gąszcz krzaków bzu, jaśminów, złotego deszczu, forsycji, krategusów [...] W drugim pokoju panują już nad wszystkim książki, półki od góry do dołu, tylko tyle miejsca, żeby tapczan wcisnąć i szafę także z książkami. Nad tapczanem wisi kilka obrazków, dwie ikony, Ostrobramska, krzyż z Wilna". „Dziękuję Ci za śliczną kartkę z Wilna. Tu mamy Alpy pod nosem, bardzo piękne widoki, cenne średniowieczne miasteczko, ale za Wilnem bardzo tęsknimy [...]".

Fragmenty kopii tych listów udostępniła redakcji „Kuriera Wileńskiego" dziennikarka Danuta Piotrowicz. Oryginały przechowywała Idalia Żyłowska i traktowała je jak relikwie.

***

Córka Józefa Mackiewicza nie miała łatwych też ostatnich lat życia. Wiele przykrości, upokorzeń musiała znosić ze strony syna adoptowanego z domu dziecka. Niewdzięczny syn ranił jej wrażliwe serce. Pod koniec życia była bardzo samotna.

Idalia Żyłowska zmarła w 1998 roku, a nie w 2002 roku, jak pisał biograf Józefa Mackiewicza, prof. Włodzimierz Bolecki, w „Ptaszniku z Wilna". Miała zaledwie 57 lat. Pochowana została na cmentarzu w Sałtoniszkach. W ostatniej ziemskiej drodze towarzyszyli jej koleżanki i koledzy z „Piątki" oraz ze szkoły w Czarnym Borze. Z inicjatywy koleżanek i kolegów z wileńskiej „Piątki", m.in. Krystyny Pytlewiczówny, Teresy Szydłowskiej, Piotra Szulskiego i wielu innych, zebrano pieniądze na postawienie nagrobka na mogile. ■

_____

Przy pisaniu korzystałem z artykułów red. Krystyny Adamowicz z „Tygodnika Wileńszczyzny".

eprasa.pl c3ea528a8b









Agnieszka Kowalczyk

ROWEREM PRZEZ AFRYKĘ

Współcześni zapamiętali Kazimierza Nowaka jako najdziwniejszego pod słońcem globtrotera z rozwichrzoną brodą, który samotnie „idzie przez dżungle, moczary, przełęcze, wąwozy, pustynie, dręczony żarem, smagany przez wichry, ulewy i ciernie". W tej wędrówce przestaje być zwykłym amatorem-podróżnikiem, a staje się jakimś „tytanem stalowego hartu i potentatem niezłomnej woli". To człowiek-legenda, który w latach 30. XX wieku przebył rowerem Afrykę z północy na południe, a potem, wracając, pokonał ją raz jeszcze, przemierzywszy znów cały kontynent.

eprasa.pl c3ea528a8b





FOT. NAC

Urodził się pod koniec XIX wieku w Stryju na Podolu, a swą młodość związał z Poznaniem. Doczekawszy niepodległości Polski, przeobraził się w reportera i fotografa, by piórem zarabiać na utrzymanie rodziny. Jako korespondent prasowy przemierzył rowerem Węgry, Austrię, Włochy, Belgię, Holandię, Rumunię, Grecję, docierając aż do Afryki Północnej. Wtedy też zapewne zrodziła się jego fascynacja Czarnym Lądem i szalony plan, żeby poznać jego najgłębsze tajemnice, przeniknąć do ostatka ten pociągający swą egzotyką świat tubylczych plemion i zadziwiających tworów przyrody, który zapragnął opisać, dotknąć... Pozostawił po sobie dziesiątki drukowanych w różnych czasopismach reportaży z Czarnego Lądu, które zebrane zostały i wydane w postaci książkowej dopiero w 2000 roku.

Polski Beduin na Saharze

„Oto obóz niecodzienny na Saharze, a może nawet jedyny w jej historii [...]. Rower i polski Beduin, a wokół w promieniu tysięcy kilometrów nic, tylko pustynia i pustynia (...)", w której zapadał się dwukołowy pojazd, do tego mały zapas wody i skwar nie do wytrzymania. Ale były też niesamowite afrykańskie noce, gdy całym swym jestestwem mógł pogrążać się w srebrnym świetle gwiazd i księżyca. W połowie stycznia 1932 roku dotarł do krainy lotnych piasków. „Buty już zdarte, ubranie w strzępach, jedyne paliwo z drzew cierniowych kaleczy ręce" – odnotowywał. Mimo skrajnego wyczerpania chłonął całym sobą pierwotne krajobrazy okolic In Azaua z usypanymi przez wichry kurhanami, z „cmentarzyskami gór i szkieletami skał fantastycznych". Tymczasem głód i pragnienie doskwierały coraz silniej. Aby więc je zagłuszyć, palił arabską herbatę. Przed śmiercią głodową uratowali go tuaresccy pastuchowie, dając garść daktyli i dwie garście mąki. „Rozkosz! – donosił. – Piękna jest Afryka, mili i sympatyczni Tuaregowie, ich brudu nie widzę, bez obrzydzenia jem wspólnie z nimi kaszę rękoma z jednej misy".

Gdy któregoś razu zamiast białych piasków ujrzał przed sobą krwawą przestrzeń Sahary, oczy zaczęły palić go żywym ogniem. Widział coraz słabiej [...]. Mimo to zdołał wdrapać się na szczyt niewielkiego wzniesienia, skąd dostrzegł jeszcze czarną linię drzew oazy i ostatkiem sił rzucił się w tamtą stronę [...]. Spostrzegło go kilku żołnierzy w wysokich fezach i wybiegło mu naprzeciw. „Miałem przed oczyma mgłę, morze krwi, żadnego kształtu [...]. Oślepłem!" – wspominał te chwile grozy. Szczęście nie opuściło go jednak, bo w oazie Maradah znajdował się właśnie przybyły z Rzymu okulista, który leczył tu ślepnących żołnierzy włoskich. Okazało się, że ten niespodziewany paraliż oczu był efektem działania ostrego słońca Sahary, odbijającego

eprasa.pl ea528a8b

się od bieli piasków. Zastrzyki, bandaże i przebywanie w ciemnicy zrobiły swoje. Kazimierz odzyskał wzrok.

Mógł więc na nowo chłonąć ciszę bezludzia i przemierzać bezkresne stepy Morgabi. Wtedy też ukazała się jego oczom rozbita przez włoską armię reduta Maaten-Dżiofer. „Cichy wiatr pośród poszarpanych zasieków z drutu kolczastego, krzyży cmentarnych i muzułmańskich nagrobków zdawał się nieść echa szalejących tu całkiem niedawno walk" – pisał o ziemi bijących się z Włochami Beduinów, płonącej teraz czerwienią dzikich maków, wyrosłych jakby z krwi ofiar wojny kolonialnej, która całą Trypolitanię i Cyrenajkę zamieniła w pobojowisko. Szlaki, które przemierzał, zasłane były szkieletami dromaderów i Beduinów, spotykał też szczątki ciał kobiet i dzieci, których, jak opowiadał, „hieny nie zdążyły jeszcze ogryźć dokładnie [...]". Tymczasem mroki nocy spowiły ziemię i zmuszony był rozbić swój namiot w miejscu, skąd dolatywało wycie wygłodniałych szakali. Reszta zwierzęcego bestiarium była równie upiorna – kryjące się pod kamieniami skorpiony, gigantyczne pająki o śmiercionośnym jadzie i obrzydliwe czarne żółwie.

Najgorsze miało jednak dopiero nadejść wraz z pojawieniem się ogromnego, purpurowego słońca i nastaniem „ziejącego ogniem" pustynnego wichru gibli: „Na nic okulary, na nic turbany i welony z gazy [...], wiatr wyje tryumfalnie i szaleje, jakby cały świat do niego należał [...]. Nic a nic nie widać, człek głuchnie całkiem, a gibli z nóg zwala". I tak smagany jego biczyskami dotarł pustkowiem do wielkiego, opasanego kolczastym zasiekiem obozu internowanych Beduinów – przegranych w wojnie z włoskim najeźdźcą ludzi pustyni. Stłoczeni i pilnowani przez uzbrojone patrole przeżywali istne tortury. „Gwar, beczenie kóz, ujadanie psów i wszelki inny harmider obozu zlewał się z hukiem morza w jakiś piekielny jęk" – pisał, nie mogąc znieść widoku upokarzającej niewoli ludu, który tak bardzo ukochał swobodę.

Minąwszy Benghasi – stolicę Cyrenajki tętniącą gorączkowym życiem tych, którzy gonią za złotem i pławią się w rozpuście – zapuścił się w dzikie góry Gebel el Akhdar. Skrywały one malownicze koryto rzeki Uadi el Kuf o prostopadłych, niebotycznych, skalnych brzegach z mnóstwem jaskiń i grot. Niegdyś to odludne miejsce dawało schronienie rozbójnikom pustyń mających tu pod dostatkiem dzikiej zwierzyny, górskiego miodu i wody pitnej. Wszystko zmieniło się z chwilą, gdy na brzegach Cyrenajki pojawili się żądni afrykańskiej ziemi Włosi. Z początkiem XX wieku, jak przypominał Kazimierz, „zaciszne uroczysko górskie stało się niezdobytą fortecą, która dwadzieścia lat ostała się siłom włoskim, a w końcu padła raczej przez zdradę, opłaconą sowicie złotem zdobywców".

U misjonarzy w Lul

Opuściwszy oazę Derna, ów bajeczny ogród Cyrenajki, przedarłszy się przez dzikie stepy Marmarica i zwiedziwszy kraj nieśmiertelnego Sfinksa, a potem narkotykowe królestwo w Kantarze, stanął wreszcie w Sudanie – kraju dzikim, pozbawionym dróg, handlu i przemysłu, kraju bagnistych puszcz, żyraf, słoni i gazeli. Najpierw zatrzymał się w Malakalu – miasteczku, które, choć było siedzibą gubernatora prowincji Górnego Nilu, przywitało go widokiem prymitywnych kapan – lepionych z błota i chrustu chatek krytych trawiastymi strzechami. Mieszkali w nich Murzyni ze szczepów Szilluk, Dinka i Nuer. A że był to dzień targowy, ulice Malakalu tętniły życiem i kipiały egzotyką, nabite czarnym tłumem ludzi o „spojrzeniach groźnych i rozbieganych". Czarnoskórzy paradowali uzbrojeni w oszczepy i maczugi, bowiem po drodze do miasta musieli pokonać trzęsawiska rojące się od krokodyli i innych żądnych ludzkiego mięsa drapieżników. Sam Kazimierz natomiast, mimo ostrzeżeń gubernatora, postanowił wyprawić się wprost do misji katolickiej w Lul. Uzbrojony w oszczep i dwa aparaty fotograficzne zapuścił się wraz ze swoim przewodnikiem ze szczepu Szilluków w rejony zdradzieckich bagien, trzymając w ręce tobół, a w zębach – broń myśliwską. I tak po dwóch dniach przedzierania się przez moczary porosłe papirusem dostał się do misjonarzy, którzy na samym początku XX wieku założyli tu mały ośrodek misyjny. Z chwilą gdy zawitał nad brzegi Białego Nilu, wokół wzniesionego przez misjonarzy kościółka skupiło się już blisko pięciuset czarnoskórych. Pod czujnym okiem braci zakonnych wyrabiali oni cegły, uprawiali ogród, polowali i łowili ryby, by ich chrześcijańska wspólnota mogła utrzymać się w sercu afrykańskich bagien. Siostry miłosierdzia uczyły młodsze i starsze Murzynki nie tylko katechizmu, lecz także pracy. Wieczorem natomiast wszyscy zbierali się w kościółku na wspólnej modlitwie i nabożnych śpiewach, specyficznie brzmiących w melodyjnym, murzyńskim narzeczu.

Wraz z ojcem Oblisio Kazimierz wędrował po okolicznych wioskach, chłonąc opowieści o życiu Szilluków – od dziecka świetnie władających oszczepem rolników, pasterzy i rybaków. Przybyli oni w te strony wygnani głodem z okolic Bahr el Ghazal i szybko zasymilowali się z miejscową ludnością, tworząc jeden silny szczep. Byli samowystarczalni. Rzadko tylko wyprawiali się w okolice miasta, by w drodze wymiany zdobyć kawałek żelaza, trochę soli i barwnych koralików, którymi zdobili swoje czekoladowo czarne ciała. Europejczyk nie miał czego szukać na tych terenach, gdzie pośród nieprzebytych bagien i trzęsawisk szalały

eprasa.pl c3ea528a8b

czarna febra, malaria i trąd i gdzie przez pół roku bez ustanku trwały tropikalne ulewy, grzmiały pioruny, a w stojących wodach lęgły się miliardy komarów.

W krainie ludożerców Niam-Niam

Mimo przebytej malarii, która zwaliła Kazimierza z nóg na kilka tygodni, pokonawszy wyrastające przed nim góry, stanął w Kongu Belgijskim – kraju olbrzymim, osiemdziesiąt razy większym od Belgii. Hodowano tam bydło rogate, kozy i owce, uprawiano rolę, zakładano olbrzymie plantacje bawełny i kawy, ale prawdziwe bogactwo tej ziemi kryło się gdzie indziej – w nurtach płynącej głębokim jarem rzeki Kibali. Był to „piasek żółty, drobny, za który świat cały kupić można – złoto". Bardziej jednak od złotego pyłu przyciągały uwagę Kazimierza zamieszkujące Kongo ludy ze szczepu Kakua, w tym niedawni ludożercy Arande, zwani też Niam-Niam. Najstarsi z nich, co z przerażeniem odkrył, znali jeszcze smak ludzkiego mięsa, a w swych kapanach przechowywali człowiecze czaszki przeznaczone do czerpania wody. „Na widok białego napływa im ślinka do ust i przewracają dziwnie oczyma", toteż włóczęga znad Warty czym prędzej opuszcza ich siedliska. Afrykanie z Konga zadziwiają go na każdym kroku swymi obyczajami. Opowiada na przykład o tym, że gdy przez wioskę przelatuje ruda, rozszalała chmara szarańczy, tubylcy wychodzą „z koszami i garnkami łapać to szkodliwe robactwo, a gdy napełnią naczynia, zaczyna się obdzieranie skrzydełek. Potem przed każdą chatą rozgrzewają olbrzymie gliniane garnce, w których następnie w palmowym oleju pitraszą szarańczę". Jest to największy przysmak Murzynów, którzy niejednokrotnie spożywają go w takich ilościach, że umierają z przejedzenia. Do innych miejscowych specjałów należy zupa z termitów doprawiana częstokroć mięsem myszy lub ślimakami. Gdy Murzyni jedzą ją, z zadowolenia głaszczą się po wytatuowanych brzuchach. Nie gardzą też padliną antylopy zżeraną przez hieny, która choć cuchnąca i pełna robactwa, staje się dla nich łakomym kąskiem. „Jeść dużo, obojętne co – to rozkosz Murzyna, a potem położyć się w cieniu strzechy i trwać bezmyślnie godzinami" – pisał Kazimierz, porównując kongijskiego tubylca do dużego dziecka, które nie troszczy się o jutro, a żyje dniem dzisiejszym. Gdy dostaje wypłatę, zaraz kupuje wszystko, co tylko widzą jego rozkochane w kolorowych cackach oczy – chustki ze sztucznego jedwabiu, biżuterię z kauczuku, korale, lusterka, łańcuszki, słowem – największą tandetę sprowadzoną z Europy. Charakterystyczną ozdobą czarnych piękności są swego rodzaju tatuaże, które sprawiają, że „całe ciało staje się mozaiką blizn naciętych w różne desenie". Ponadto Murzynki noszą wielce osobliwe fryzury, którym nadają fantastyczne kształty – szyją je, kleją kałem, stylizują na bawole lub antylopie rogi, a wszystko po to, by wyglądać atrakcyjnie. Takie jednak oryginalne uczesanie jest prawdziwą udręką jako „siedlisko pasożytów i brudu".

Wybijanie zębów

Największe jednak wrażenie uczyniła na nim, niepojęta dla Europejczyka, ceremonia inicjacji w dorosłość dwunastoletnich dziewcząt kongijskich. Pewnego wieczoru ujrzał ich dziki taniec przy dźwiękach grzmiącego tambura wokół wonnego ogniska, którego ogromne języry dosięgały firmamentu. Ich młode ciała wysmarowane tłuszczem przypominały posągi wykute z czarnego marmuru, błyszczące blaskiem płomieni, a białka oczu skrzyły się niesamowicie. Opętańczy rytm tańca nasilał się z każdą chwilą, wrzało, huczało, aż tu nagle... wszystko zamilkło wraz z pojawieniem się mistrza ceremoniału. Czarne tanecznice w skokach antylopy opuściły plac, wstępując do wielkiej chaty czarownika, gdzie czekały już na nie stare i przeraźliwie brzydkie wiedźmy. Te kongijskie baby jagi miały wtajemniczać dziewczęta w „barbarzyński katechizm moralności małżeńskiej", ucząc obowiązków matki i żony. „Na środku izby siedzi czarownik. Ubrany fantastycznie na tle dymem wyczernionego wnętrza [...]. Podchodzą do niego kolejno dziewczęta. Twarze ich uśmiechnięte, błyszczą białka oczu. Mistrz ceremonii, władca dusz tej pogańskiej gromady dzikusów, unosi w dłoniach dwa narzędzia: kawałek drewna, rodzaj klina i zwykłą siekierkę murzyńską. Dziewczyna siedząca przed czarownikiem otwiera szeroko usta. Do górnych zębów mistrz przykłada klin, którego szerokość odpowiada szerokości sześciu zębów. Jedno uderzenie siekierką w przeciwny koniec klina – dalej uśmiechnięta dziewczyna wypluwa razem z krwią sześć zdrowych, pięknych, białych zębów. I tak w kółko, a gdy ostatnia wtajemniczona dziewica przeszła tę barbarzyńską operację, zagrzmiały znowu tambury, zawyła młodzież. Znowu tańce i muzyka" – opisywał Kazimierz akt przeistoczenia się afrykańskiej dziewicy w pełnoprawną kobietę.

W osadzie trędowatych

U stóp Gór Księżycowych, w misyjnym ośrodku trędowatych, żyło sześćdziesięciu chorych skazanych na gnicie ciała i rozpadanie się za życia. Sympatię przybyłego w to miejsce Kazimierza zdobył w szczególności kilkuletni Murzynek Remo, który szczerze przywiązał się do „białego gościa". Przyszedł na świat nad rzeką

eprasa.pl c3ea528a8b

Semliką. Jego ojciec zarabiał na życie, wytwarzając pombej – piwo z bananów, matka zaś była trędowata i zaraz po narodzinach malca zmarła. Po tym jak okolicę nawiedziła epidemia czerwonki i śpiączki, rząd nakazał Murzynom ewakuację. Ojciec Rema pozostał jednak w swej chacie, a gdy któregoś razu udał się po drzewo, nie powrócił już nigdy do syna, rozszarpany przez wygłodniałe lwy. Chłopiec został z kozą – karmicielką i pilnującym go wiernym psem. W takim rozpaczliwym położeniu odnaleźli go misjonarze. Zabrali roczne dziecko do wioski trędowatych, ochrzcili je i zapewnili godziwy byt. Po raz pierwszy Kazimierz zobaczył małego Rema, gdy ten klęczał przed figurą Białej Pani i modlił się do Niej językiem swych przodków. Miał jednak świadomość, że „pozostali mu już jedynie brodaci ojcowie, którzy nie mają czasu, by zajmować się sierotką. Stare żebraczki się nim zaopiekują [...] trędowate, jak i matka jego [...]".

Wśród ofiar wojny kolonialnej

Pokonawszy Góry Błękitne i Krainę Wielkich Jezior Afrykańskich, zatrzymał się w dolinie Rutshuru, którą rządził groźny Simbo (jak po murzyńsku nazywano lwa), by zaraz potem znaleźć się na ziemi potężnych wulkanów, zwanej Szwajcarią Belgijską, której sercem było ogromne jezioro Kivu. Niekiedy przychodziło mu spędzić noc wysoko na gałęzi i wtedy jego oczom ukazywały się lwy i lamparty, antylopy, gazele, mrówkojady, małpy, watahy wilków, hien i szakali... Od czasu do czasu stawał też w murzyńskiej wiosce z kilkoma chruścianymi kapanami, wśród biednych, brudnych ludzkich szkieletów i nagich dzieci bawiących się wokół poletek manioku. Wreszcie, tonąc w strugach deszczu, zbliżył się do pól Transwalu, będących nie tak dawno jeszcze widownią krwawych zmagań Burów z Anglikami, którzy zapłonęli żądzą zawładnięcia tym zakątkiem Afryki. Wojna zakończyła się klęską Burów – potomków pierwszych kolonistów holenderskich, których pradziadowie urodzili się już pod afrykańskim niebem. To właśnie od weteranów wojny 1902 roku dowiedział się o ich morderczych zmaganiach z angielskim najeźdźcą. Jeden z napotkanych opowiadał mu, że w walkach stracił rękę, że Jimów, było pięć tysięcy, a ich samych tylko stu. Wytrzymali trzy dni i dopiero gdy znaleźli się w potrzasku, rzucili się do ucieczki hen za wzgórza. Inny dodawał, że ich żony i dzieci Anglicy zagnali do obozów koncentracyjnych i „wytruli jak myszy bezbronne". Samych zaś walczących Burów wywieźli jako bandytów pod bagnetami na wyspę Św. Heleny, gdzie niegdyś konał Napoleon, a w tym czasie ludy Bantu spaliły im fermy i zrabowały bydło. Jeden z burskich weteranów, bezręki żebrak, rozpaczał, że nie mógł odnaleźć grobu własnej rodziny pochowanej „jak padlina". Sam uszedł na drugi kraniec pustyni, ale zawsze tęskno mu było do ojczyzny – tu urodził się jego ojciec, tu w młodości sam hasał po prerii, tu się ożenił i tu wreszcie przeżył piekło zmagań z Jimami. Wszystkie te gorzkie słowa utwierdziły Kazimierza w przekonaniu, że wojna kolonialna jest potwornym wykwitem najbardziej egoistycznych żądz Europejczyków. Anglików trawił głód złota i diamentów Johannesburga – owego „afrykańskiego El Dorado". Francuzom z kolei marzyły się złoża ropy naftowej, po które zachłannie sięgali podczas wojny marokańskiej. Włosi zaś przez dwadzieścia lat wiedli krwawe boje w Trypolitanii i Cyrenajce, by zyskać nowe tereny rolnicze, a przede wszystkim świeżego rekruta niezbędnego w przyszłej wojnie o Abisynię. Polski podróżnik przekonał się, że w walce o kolonie „zwycięża zawsze strona najezdnicza i to niekoniecznie siłą wojskową, ale przekupstwem, zdradą i wykorzystaniem zwierzęcych instynktów wojsk najemnych". Wieszczył jednak, że nadejdzie dzień, gdy afrykańskie ludy powstaną przeciwko swym ciemiężcom i same będą o sobie stanowiły. „Murzyn przelał obficie swą krew, uległ przemocy, poddał się i czeka [...], tak, czeka na chwilę polowania na tych, którzy go zamknęli do złotej klatki. Pozornie złotej [...]".

Dalsze etapy podróży odbył, przesiadłszy się do czółna, zmuszony stawiać czoło zdradliwym mieliznom, wirowatym lejom i progom wodnym, a wreszcie i straszliwej burzy, która w kanale Konga wyrwała mu wiosło z ręki, porywając jego łupinę ku Wyspie Kości Słoniowej. W lesie podrównikowym znów dopadła go malaria. „Krew płonie w żyłach, głowa pęka od bólu. Leżę bezprzytomny w opuszczonej sadybie półkarłów Babinga [...]. Otacza mnie bezludzie, muszę zatem wyrwać się z bezczynności i iść. Iść wciąż naprzód do odległej mety [...]". Przedarłszy się ostatkiem sił przez zielony labirynt i przepłynąwszy rzekę Massę, stanął na ziemi szczepu Sara-Dżendżi, którego kobiety, chcąc ochronić się przed porwaniem przez handlarzy niewolników, gotowe były na barbarzyńskie samookaleczenia. Aby skutecznie się oszpecić, w obie wargi pozwalały sobie wtykać krążki gigantycznych rozmiarów z hebanowego drzewa lub kości słoniowej, zamieniając się w potworne monstra i odstraszając tym samym od siebie białych niegodziwców.

Z początkiem maja 1936 roku Kazimierz stanął w Fort Lamy u bram Sahary. Zamierzał zdobyć ją na swym dromaderze Ueli. Ponieważ pokonywanie grząskich piasków rowerem stało się niemożliwe, musiał zawiesić go na garbatym grzbiecie wielbłąda i dalej ruszyć pieszo. Wędrówka przez Afrykę Ekwatorialną była dla niego prawdziwą „Golgotą tułaczki", bo jak zdradził

eprasa.pl c3ea528a8b

swym czytelnikom: „Kongo Francuskie, kraj Ubangi-Chari, a potem prowincja Czad to na przestrzeni prawie czterech tysięcy kilometrów kolejno puszcza, dżungla, pustynia, [...], gdzie biały człowiek odwraca się od drugiego białego plecami, a słońce pali jak rozżarzone żelazo". Ostatnie tysiąc kilometrów przebył, mierząc się z Pustynią Pragnienia. Był to najtrudniejszy etap jego afrykańskiej wyprawy – „raz siedem dni bez wody i prawie zupełnie bez strawy, potem niebotyczne góry Tassili-n-Ajjer, słona pustynia, złote Ramlah, długie, forsowne marsze".

Z gór zjeżdżał bardziej siłą rozpędu niż własnej woli, bo jego ciało wydawało się jakąś bezwładną masą. Wyłaniający się zza horyzontu ocean witał go szmaragdowym bezmiarem wód. Był to Przylądek Igielny – sam kraniec Czarnego Lądu, upragniony cel kilkuletniej wędrówki. Mógł czuć się dumny z tego, że został pierwszym polskim cyklistą, który „przeciął cały ogrom Afryki". Miał jednak świadomość, że jest to dopiero połowa drogi, bo czeka go powrót przez cały kontynent, tym razem z południa na północ, nową, nieznaną trasą.

W drodze powrotnej

Zimę spędził w Kapsztadzie – wielkim mieście portowym, po czym wyruszył w głąb „najczarniejszej i najsmutniejszej Afryki". Był to zapomniany przez Boga kraj Namakwa, nad którym ciążyło jakieś fatum. „Są tutaj tereny, gdzie od ośmiu lat nie spadła nawet kropla deszczu. Gdzie indziej spadł grad i całe stada trzód uśmiercił olbrzymimi kulami lodu. Wypalone pustkowia, wyschnięte źródła wody, a ostatnio rozszalały się epidemie wśród niedobitków bydła i baranów" – wyliczał, pisząc też o zakażeniach tyfusem plamistym i brzusznym wśród koczujących tu Hotentotów. Najbardziej wzruszającym momentem, jakiego doświadczył w parnej dżungli, był ten, w którym usłyszał tak miłą sercu pieśń „Kiedy ranne wstają zorze", odśpiewaną w afrykańskim narzeczu, a dźwięk dzwonu doprowadził go do stacji misyjnej jezuitów polskich w Kasisi. Zasiadając wieczorami w blasku ogniska, słuchał plemiennych opowieści czarnoskórego nauczyciela historii – mędrca, który, choć nie umiał czytać i pisać, prawił zawzięcie o przeszłości szczepu, o dawnych wojnach i zarazach, o tchórzach i bohaterach. Wtedy to wędrował myślą do dalekiej Polski, gdzie czekała na niego ukochana żona Maria i dwójka stęsknionych dzieci. Nie zważając więc na groźne porykiwania lwa, pomknął ku wyznaczonej sobie mecie na swym do cna wysłużonym rowerze, a gdy ten odmówił mu w końcu posłuszeństwa, przesiadł się na półdzikiego stepowego konia Rysia, prowadząc ze sobą jeszcze jucznego wierzchowca Cowboya. I tak przemierzając najdziksze strony Afryki, dotarł do „oazy życia wśród bezmiaru suchej jak pieprz dżungli" – do jeziora Otjikoto, które przypominało prastary, wulkaniczny krater napełniony wodą i rojący się od milionów kaczek, gęsi, czarnych bocianów, gołębi i pstrokatych papug. Starał się jednak nie zatrzymywać tu zbyt długo, bowiem prawo Afryki mówiło, że „nie wolno stawać [...] by nie zostać na zawsze", tym bardziej że wyrastała przed nim pustynia Kalahari – ojczyzna Buszmenów – myśliwych, którzy nie wiedzą co to dom, nocują w krzaczastych zaroślach, a skóry dzikich zwierząt służą im za strój i pościel, za „kolebkę i trumnę zarazem".

Po przebyciu Angoli wycieńczone długotrwałym marszem i niedożywione konie ledwo powłóczyły nogami. Sam zaś Kazimierz zapadł na malarię i tylko dzięki wysiłkom misjonarzy z Galonque wydarty został śmierci. Nad rzeką Kassai z cyklisty i jeźdźca przeobraził się w żeglarza. Jego łódź „Poznań" uległa jednak katastrofie na Katarakcie Kaveve, skąd szedł pieszo wzdłuż dzikich brzegów rzeki, pokonując setki kilometrów i coraz bardziej tęskniąc za polskim majem. Dopiero w Lulua udało mu się zdobyć nowe czółno, które nazwał imieniem swej żony i po uroczystym chrzcie tego maleńkiego stateczku zawiesił na jego rufie biało-czerwoną flagę z polskim Orłem Białym, ruszając w dziewiczy rejs po niebezpiecznych wodach Kassai pełnych zdradzieckich krokodyli i hipopotamów ciekawie patrzących na pokład.

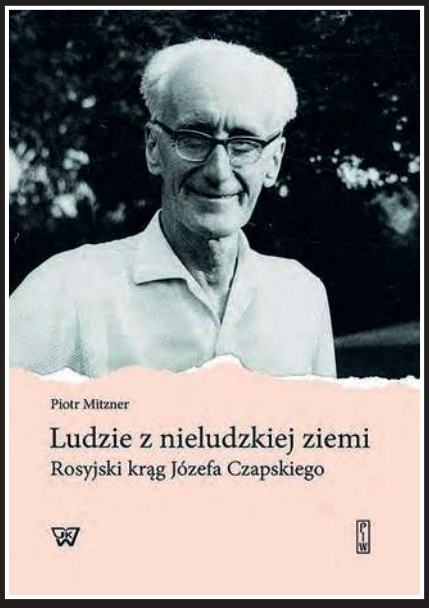
***

Po pięciu długich latach samotnej włóczęgi stanął na plaży Algieru, u brzegów Morza Śródziemnego. Mógł teraz powiedzieć o sobie, że jest pierwszym Polakiem, który dwukrotnie przemierzył przestrzeń Czarnego Kontynentu. Po powrocie do ojczyzny rozpoczął swoje pasjonujące wykłady etnograficzne, na które do poznańskiego kina Apollo ściągały rzesze słuchaczy, złaknionych jego niesamowitych opowieści o Afryce i gotowych oglądać bez końca unikalne fotografie, których podczas swej podróży wykonał tysiące. Poważnie zabierał się też do przygotowania książki o całej tej nieprawdopodobnej eskapadzie, marząc jednocześnie o odbyciu kolejnej – do Azji Południowo-Wschodniej. Planów tych nie udało mu się już nigdy zrealizować, bo niespodziewanie, 13 października 1937 roku, dopadła go śmierć, która była efektem wycieńczenia organizmu długotrwałą malarią. Kazimierz Nowak pochowany został na starym cmentarzu Matki Boskiej Bolesnej w Poznaniu. I w tę ostatnią drogę wyprawił się w stroju podróżnym, a na jego piersi spoczął kask kolonialny. ■

_____

Kazimierz Nowak, „Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd. Listy z podróży odbytej w latach 1931–1936", Poznań 2000.

eprasa.pl c3ea528a8b



Piotr Mitzner, „Ludzie z nieludzkiej ziemi. Rosyjski krąg Józefa Czapskiego", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021

Krzysztof Wołodźko



PRAWDA I GORYCZ

„Ludzie z nieludzkiej ziemi. Rosyjski krąg Józefa Czapskiego" Piotra Mitznera jest czymś więcej niż książką o tragedii polskiej i rosyjskiej inteligencji w XX wieku. Stanowi nie tylko panoramę dziejów i wydarzeń. Jest pytaniem o to, pod jakimi warunkami możliwe jest dobro i przyjaźń między ludźmi, których dzielić powinna absolutna niemal obcość.

eprasa.pl c3ea528a8b

Pisanie o Rosji, szczególnie po 10 kwietnia 2010 roku, stało się znów trudniejsze. O ile głęboki dystans czy niechęć wydają się aż zbyt łatwe i nadto oczywiste, o tyle zainteresowanie czy życzliwość wobec Rosji zdają się nosić w sobie zarzewie podszytej zdradą lub naiwnością rusofilii. W szczegóły tej myśli wejść tu będzie trudno – to temat na osobny artykuł. Problem jednak dobrze zrozumiał Piotr Mitzner. Dlatego udało mu się pokazać Józefa Czapskiego nie tylko w całej jego złożoności, lecz także w prostocie elementarnych wyborów. Za materiał posłużyły w znacznej mierze nigdy dotąd niepublikowane listy Józefa i Marii Czapskich oraz korespondencja do nich skierowana. W tym tekście skupię się przede wszystkim na czasach przedwojennych – bo są one dziś o wiele mniej znane. Ciągłość pamięci o pierwszych dekadach XX wieku radykalnie naruszyły czasy Polski Ludowej.

„Rosja okrutna, Rosja genialna"

Autor „Na nieludzkiej ziemi", mimo kilku przyjaźni i licznych znajomości z rosyjskimi intelektualistami, ludźmi należącymi do różnych epok, jakie musiał udźwignąć XX wiek, był daleki od rusofilii zdrady i rusofilii lekkomyślności. Czapski umknął też łatwej pokusie tłumaczenia, że rosyjska polityka jest zła, a kultura – dobra. Poznał Rosję na tyle głęboko, u źródeł jej idei, u jej społecznych korzeni, że proste dychotomie tego rodzaju musiały go pewnie razić. Poznawał Rosję tak długo, także Rosję białych emigrantów i dysydentów z lat 70. XX wieku, z taką wolą prawdy i lojalnością względem Rzeczypospolitej, że współczucie i zrozumienie nie zmieniło się w nim w naiwność ani tym bardziej – w chęć kolaboracji.

Jego rosyjscy przyjaciele mieli świadomość, że Rosję poznał od podszewki. Tak opisuje to Mitzner: „Przydarzyło mu się kilkukrotnie to, o czym opowiadali rosyjscy inteligenci w XIX wieku – on naprawdę »poszedł w naród«, a dokładnie mówiąc – jeździł. Podróżował kilka razy do Piotrogrodu, żył w głodującym mieście, wrócił pociągiem do Polski. Po amnestii w 1941 roku musiał dostać się do Armii Polskiej, stamtąd znów pojechał do Moskwy. Rozmawiał z ludźmi i potrafił usłyszeć to, co przemilczeli, widział strach, głód i niewytrzebioną wiarę, na przykład wtedy, gdy w obozie w Griazowcu człowiek wywożący szambo złożył mu życzenia wielkanocne".

To w Piotrogrodzie, przed Wielkanocą 1918 roku, młody Józef Czapski, któremu Rosja jawiła się wówczas jako „tytaniczna, okrutna, skrajna i genialna", oglądał dantejskie sceny głodu i przemocy. I jedną z nich opowiedział jako historię mleczarki, którą tłum pobił i rozlał jej całe mleko. Gdy wreszcie udało mu się zdobyć ten drogocenny napój, wysunęła się ku niemu stara, wychudzona kobieta w czerni i błagała z wyciągniętą ręką: „Dajcie choć kroplę!". Czapski zapisał: „Niosłem mleko dla chorego, to jeszcze jedyne moje wytłumaczenie, nie odwróciłem się, nie dałem ani kropli i poszedłem dalej". Z czasem coraz mniej było w nim zachwytu „tytanicznym okrucieństwem i geniuszem" Rosji, coraz bardziej ciążył ku polskości.

W księżycową, głodną noc

Ważne jest coś jeszcze: łaska i przekleństwo długiego życia. Urodzony w 1896 roku Józef Czapski poznał Rosję jeszcze przed bolszewicką rewolucją. Zmarł w 1993 roku, doczekał rozpadu Sowietów i dożył początku ery Jelcyna, która był szczęściem dla wielu narodów wyzwolonych z przymusu „przyjaźni" ze Związkiem Radzieckim. Ale była też głębokim dramatem dla znacznej części rosyjskiego/postradzieckiego społeczeństwa. Andriej Siniawski, postać ważna także dla Czapskiego, w swojej późnej książce, zatytułowanej „Rosyjska inteligencja", pisał wprost, że cierpienia ludu przestały być interesujące dla starej-nowej jelcynowskiej elity: „»Niech się pocą, szukają, sprzedają butelki i wynajmują swoje mieszkania«, powiedział z błogim uśmiechem Borys Zołotajkin, legendarny adwokat, który bronił dysydentów". W tym samym czasie rosyjscy obywatele po stokroć doświadczali tego, co nasi po-PGR-owcy: „Zazwyczaj żywimy się paszą dla zwierząt. Na śniadanie, obiad i kolację" (reportaż z epoki z rosyjskiej gazety „Wek").

Nie wybiegajmy zbytnio do przodu. Jest rok 1918 w Piotrogrodzie, młody arystokrata Józef Czapski, wnuk Emeryka Hutten-Czapskiego, gubernatora Nowogrodu Wielkiego i wicegubernatora Petersburga, poznaje luminarzy rosyjskiej kultury: Dymitra Siergiejewicza Mereżkowskiego, Zinaidę Nikołajewę Gippius i Dymitra Władimirowicza Filosofowa. Jest od nich młodszy, ale jego walutą jest znakomite pochodzenie – bogactwo rodzinnych koligacji przyszłego autora „Kultury" pokazuje „Prawie nic", jego biografia autorstwa Erica Karpelesa. Na ulicach Piotrogrodu Czapski widzi, jak dorożkarz pogania batem zabiedzonego konia. „Jak możesz – mówi – konia twojego popędzać, przecie on jest ledwo żywy – szkielet konia – on zdechnie!". „My wsie pomriom" – odpowiada dorożkarz w księżycową, głodną noc.

eprasa.pl c3ea528a8b

A w petersburskich domach inteligencja rozmawia o apokalipsie swoich czasów: „Kolacji nie ma. Zimny samowar. Herbata bez cukru. [...] Na ulicach ponuro. Ciemności. Bezludzie. [...] Opuszczone miasto. Ponure, z wystraszoną duszą" – zapisał w dzienniku Fiłosofow. A Czapski notował: „Dyskusje o Rosji, o Bogu, o Dostojewskim i Nietzschem bywały gorące i namiętne". To są obrazy Rosji tamtych czasów, które dobrze zapadły w kulturową pamięć: straszliwy podział na ciało i ducha, na wyniszczenie ciał i społecznego porządku i na rozgorączkowanie, malignę dusz. Ale czy była w tym tylko choroba? Po długich dekadach Czapski, chrześcijanin i homoseksualista, wracał jeszcze do modlitwy, ułożonej przez Fiłosofowa: „Panie, Panie/w światłości zstąpiłeś, / aby pomieścić / rany i słabości nasze; / przyjdź do nas, gdy / będziemy porzuceni; / przyjdź, ręką swoją / zetrzyj [je] – sam poddany śmierci". Ale po tamtych głodnych czasach (podobnych miał jeszcze doznać w latach 40. w Rosji) mogło mu zostać jeszcze jedno westchnięcie zbolałej, szalonej duszy, umierającego z głodu człowieka: „choćby białej bułki, bułeczki", westchnienie najdziwniejszego Rosjanina tamtych czasów, zmarłego w 1919 roku Wasilija Rozanowa, którego Czapski próbował przywrócić także rosyjskiej pamięci.

▶ Sawinkow i inni

Wreszcie staje się Polska. I Czapski wybiera polskość. Jego rosyjscy przyjaciele stają się emigrantami, zasilają rosyjską diasporę w Warszawie. Niepogodzeni z bolszewizmem Rosjanie ku polskiej stolicy wędrują przez Wilno, gdzie spotykają się „ze starym znajomym i przyjacielem" Marianem Zdziechowskim. Ale trwa to krótko: „Jesienią 1921 roku, zgodnie z postanowieniami traktatu ryskiego, najaktywniejsi działacze rosyjskiej emigracji mieli opuścić Polskę". Jest to zapomniana dziś sprawa, związana z dramatycznymi konsekwencjami pokoju po wojnie polsko-bolszewickiej, ciągłość tej historii przerwał PRL i „podręczniki szkolne" tamtych czasów. W innym przypadku, gdyby wciąż istniała II Rzeczpospolita, kolejne pokolenia uczyłyby się w szkołach o takich ludziach jak rosyjski pisarz, polityk i eserowiec Boris Sawinkow, o jego spotkaniach i wspólnej polityce wschodniej robionej z Józefem Piłsudskim. Albo o ludziach takich jak Mereżkowski, który mówił o „grzechach Rosji, o braterstwie narodów, o Mickiewiczu i misji Polski w obaleniu bolszewików, [który] porównywał polski mesjanizm z mesjanizmem Dostojewskiego". Ale została nam tragiczna i zapomniana historia Sawinkowa, który zginął w Moskwie w 1925 roku, złapany w pułapkę przez sowiecki kontrwywiad w trakcie nielegalnego pobytu w Rosji. A niemała część polskiej inteligencji kilka dekad później, w pojałtańskim świecie, będzie musiała tworzyć w stolicach wolnego świata własne diaspory, przystanie i instytucje.

Jednym z najważniejszych bohaterów książki Mitznera jest Dymitr Fiłosofow. Także dlatego, że przynajmniej w latach 20. XX wieku wtajemniczał Czapskiego w polską kulturę i literaturę. Więcej jeszcze: to Fiłosofow otwierał Czapskiemu drzwi warszawskich salonów. Maria Dąbrowska w 1927 roku zanotowała w dzienniku: „Dymitr Fiłosofow przyprowadza do nas młodych Czapskich – rodzeństwo. Dziwni ludzie. Hrabiowie, upojeni swoją nową rolą proletariuszy, rewolucjonistów – lewicowców bohemy. Ona bardzo miła. Szalenie wysocy". W latach 30. XX wieku to rosyjski myśliciel przestrzegał swojego polskiego przyjaciela, że „tragedia Europy polega na zwątpieniu w swoją kulturę". Mitzner komentuje: dla Fiłosofowa „jednym z objawów tej tragedii był [...] brak rozeznania Zachodu w sprawach rosyjskich", skutkujący „niezdrowym pociągiem do bolszewizmu".

Nietrudno spostrzec, że dopiero po II wojnie światowej zachodnia sowietologia odkryła i nie bez trudu opowiedziała światowej opinii publicznej to, co wiedzieli korespondujący ze sobą Polacy i Rosjanie jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym. Dodajmy, że Fiłosofow był jednym z rosyjskich emigrantów, którzy zostali po 1921 roku w Polsce. Doradzał Józefowi Piłsudskiemu w sprawach rosyjskich i ukraińskich, nad Wisłą tworzył emigracyjną prasę rosyjską, kierował rosyjsko-polskim klubem literackim „Domek w Kołomnie". Za swoje zżycie z Polską płacił nie tylko nienawiścią ze strony bolszewików. To Fiłosofow na łamach „Za swobodu!" pisał: „Nie widzę podstaw, dla których Rosjanie mogliby pomyśleć, że Polacy zapomnieli już o przeszłości i mogą »w szlachetnym porywie« uczuć pokochać Rosję". Z czasem, ciężko schorowany i rozczarowany względem polityki, wycofał się z życia publicznego. Zmarł w Otwocku, w 1940 roku. „W czasie powstania w Warszawie spłonęły obrazy i dzienniki Czapskiego, a także cała korespondencja, w tym kilkaset listów Fiłosofowa" – dodaje Mitzner.

eprasa.pl c3ea528a8b

Zabójcy ciał i dusz

Błędem byłoby sądzić, że tym, co jedynie połączyło Czapskiego z rosyjskimi przyjaciółmi, było egzystencjalne, kulturowe, religijne radykalne odrzucenie bolszewizmu. Ważna była świadomość, że bolszewizm nie tylko posługuje się masowo zbrodniami, lecz także kradnie bogactwo świata. Wiedzieli lub przeczuwali, że leninowska, a później stalinowska Rosja nie ma już nic wspólnego z głodującym, ale rozdyskutowanym, barwnym od najdziwniejszych idei i środowisk Piotrogrodem 1918 roku; że jej kultura i sztuka podlega coraz silniejszej presji i kontroli, przemocy czekistów i przemocy ideologów. W latach 30. Filosofow pisał: „Ta nowa, bolszewicka ulica, zalana krwią i pozbawiona chleba, ten seraj twórczości artystycznej, którego pilnuje straż złożona z eunuchów, zmusza szanujących się pisarzy do marzeń o odosobnieniu, o wieży z kości słoniowej".

Po 17 września 1939 roku nikt już w Polsce nie mógł wydrukować takich słów. Polska znów wydawała się umarła. I szybko się okazało, że samotność, jaką oferuje sowiecka Rosja, nie jest dla polskiego intelektualisty i inteligenta ucieczką w samego siebie, ale samotnością na nieludzkiej ziemi; jest pustką pośród obcych albo zdradą, która jest innym imieniem samotności.

Zinaida Gippius zapisała wówczas w dzienniku: „A Józio Czapski zginął – zabity czy rozstrzelany". Tak się jednak nie stało. Czapski przeżył. Nie znienawidził Rosji. W Taszkiencie, w trakcie głośnych przyjęć w sztabie armii Andersa i w tymczasowym domu ówczesnego pupila Stalina, pisarza i dramaturga Aleksieja Tołstoja, czytano polską poezję („Testament mój" Juliusza Słowackiego, „Fatum" Cypriana Norwida), bezskutecznie planowano przekład naszej wojennej poezji na rosyjski. W czasie jednej z tych biesiad Tołstoj miał zachwycić się Norwidem i jego definicją patriotyzmu.

Ale Czapski spotykał się w Sowietach nie tylko z wielkimi rosyjskiej literatury, jak Anna Achmatowa. Znów zobaczył Rosję zwykłych ludzi. Zaświadczył o tym, czego nie wytrzebili bolszewicy. I to nie tylko na kartach „Na nieludzkiej ziemi". W 1949 roku pisał w „Kulturze": „Nie umiem zapomnieć ani tej dziewczyny, która mi tajemniczo pokazała krzyżyk na szyi, ani staruszki, chowającej strzępek papieru cyrylicą niezdarnie zapisany – modlitwę przedśmiertną, którą prawosławni tam kładą na twarz w chwili konania, zamiast zakazanych modłów kapłańskich. Nie zapomnę również tego pułkownika armii czynnej, sowieciarza, który w 10 minut po poznaniu mówił mi jak bratu o cerkwi rosyjskiej w katakumbach, choć wiedział, że słowo niedyskrecji z mojej strony byłoby jego zgubą".

„Trzeba mieć w Rosji swą partię"

Wróćmy na moment jeszcze do Norwida. Piotr Mitzner pisze, że dla Czapskiego w czasie wojny lektura listów Norwida była jedną z najistotniejszych. Po kilku latach „wniósł on pisma Norwida w środowisko »Kultury«". Nie bez znaczenia były w tym kontekście tezy naszego wieszcza dotyczące relacji polsko-rosyjskich. W 1863 roku w liście do Karola Ruprechta Norwid pisał: „Tylko wolni ludzie, tylko ci, co nie są od kolebki żelazem napiętnowani jako NIEWOLNICY, wiedzą o tym, że graniczący z Rosją, trzeba w niej mieć SWĄ PARTIĘ – inaczej albowiem spotkają się zawsze dwa monolity, nic pośredniego nie mające – a skoro dwa monolity się zetrą ze sobą, zostaje nicestwo i trzaskanie się sił ostateczne" (pisownia oryginalna). Trzeba dopowiedzieć to, co Mitzner zapisał w ostatnich zdaniach swojej książki: „Rusofilia w Polsce, nie zawsze, ale często, bywa czymś podszyta: sentymentalizmem, pragmatyzmem, strachem albo zdradą. W przypadku Czapskiego jego empatia wobec Rosji i tego, co rosyjskie, w ogóle nie mieści się w kategorii rusofilii. Jest po prostu zrozumieniem, rozpoznaniem podobieństw i odmienności – dzięki własnemu doświadczeniu i zbliżeniom z ludźmi z nieludzkiej ziemi".

Kto sięgnie po książkę „Ludzie z nieludzkiej ziemi", ten szczególnie u dojrzałego Czapskiego znajdzie obok sympatii i współczucia niemałą ostrożność, właśnie z kontaktach z rosyjskimi emigrantami, których część miała mocno imperialne nastawienie wobec Polski. Była w nim także konieczność świadczenia o prawdzie, co w atmosferze powojennej Francji nie ułatwiało mu życia. Dość przypomnieć, że to dzięki słowom świadectwa Czapskiego Wiktor Krawczenko, autor książki „Wybrałem wolność", wygrał w 1949 roku proces z redakcją „Les Lettres Françaises", która próbowała zdyskredytować jego opisy sowieckiego systemu represji.

Obok biografii Czapskiego pióra Erica Karpelesa, „Ludzie z nieludzkiej ziemi" będą w kolejnych latach najważniejszą lekturą dla tych, którzy zechcą lepiej poznać tę postać. Nauczą się z niej wiele o naszej historii i kulturze – i jej niezwykłych przenikaniach ze światem Wschodu i Zachodu. Z goryczą, ale i z dumą. ■

eprasa.pl c3ea528a8b



Marek Kalinowski

Daleko od metalu

Metallica świętuje 30. urodziny „czarnej płyty", nie tylko przełomowej w karierze zespołu, lecz także jednej z najważniejszych rockowych płyt końca XX wieku. Prezentem dla fanów jest reedycja albumu oraz czteropłytowe wydawnictwo z coverami. Za mikrofonem stanęli m.in. Dave Gahan z Depeche Mode, St. Vincent oraz Kamasi Washington, przenosząc rockowe piosenki w odległe od trashmetalu muzyczne rejony.

W latach 80. amerykański zespół Metallica miał już na koncie kilka udanych płyt, wciąż jednak znany był głównie fanom z mocnego, trashmetalowego grania. Historię zespołu zmieniła płyta z 1991 roku nazwana po prostu „Metallica", otwierając szeroko furtkę na wyjście z gatunkowej niszy. Okazało się, że wystarczyło nieco uspokoić zawiłe riffy i szalone tempa perkusji, dołożyć więcej starań do chwytliwych melodii, aby ciężkie brzmienia gitar i charyzmatyczny głos Jamesa Hetfielda przyciągnęły do zespołu miliony nowych fanów. Słuchaczy, co warto zaznaczyć, niemających wcześniej z muzyką trashmetalową wiele wspólnego. Mało kto nie rozpozna dziś charakterystycznego riffu otwierającego album utworu „Enter Sadman" czy wciąż do znudzenia zamęczanych przez stacje radiowe ballad „The Unforgiven" czy „Nothing Else Matters". Ani następny album „Load" czy wspólne nagrania z Lou Reedem, ani też żadna inna płyta Metalliki nie przebiły sukcesu krążka z 1991 roku.



Metallica, THE METALLICA BLACKLIST, Universal

Urodziny „czarnego albumu" Metallica świętuje podwójnie. W ręce fanów trafia reedycja płyty, uzupełniona niepublikowanymi wcześniej wersjami demo i nagraniami koncertowymi. Ciekawszą propozycją wydaje się jednak druga przygotowana przez zespół niespodzianka. Jest nią oddzielne, czteropłytowe wydawnictwo „The Metallica Blacklist" z zaskakującymi coverami, których doczekały się przeboje Kalifornijczyków.

Jak różnie może zabrzmieć wspomniane „Nothing Else Matters", możemy się przekonać, porównując surową wersję wokalisty Depeche Mode, Dave'a Gahana, z bogatym w ozdobniki wykonaniem Miley Cyrus. Tej ostatniej towarzyszą na fortepianie Elton John, perkusista Red Hot Chili Peppers – Chad Smith, a nawet znalazło się miejsce dla wstawek wiolonczeli Yo-Yo Ma. Po ten sam utwór sięgają jeszcze m.in. gwiazda młodego folku Phoebe Bridgers, Chris Stapleton, a także pianista Igor Levit, nagrodzony nie tak dawno za komplet sonat Beethovena, którego na łamach „Nowego Państwa" mieliśmy okazję poznać bliżej dzięki znakomitej płycie „Encounter".

„Enter Sadman" dość wiernie wybrzmiał zarówno w wykonaniu zarówno Kanadyjczyka Mac'a DeMarco, jak i grupy Weezer. Na tle tych niewiele wnoszących interpretacji, w pamięci pozostaje wykonanie utworu przez St. Vincent, z zaskakującym, mrocznym, nieco przybrudzonym podkładem.

W utworze „The God That Failed" znakomicie odnalazł się lider IDLES Joe Talbot, zamieniając pomysły Metalliki w punkrockową ucztę. Ukojenie wrażeń przyjdzie w świetnej wersji akustycznej „Of Wolf And Man" oraz w „My Friend of Misery", na którym skupił się jazzband Kamasiego Washingtona. Trzeba przyznać, że tu, przy pierwszym odsłuchu, znalezienie punktów wspólnych z oryginałami nie było proste. Większość utworów Metallici doczekała się zresztą na albumie co najmniej kilku wersji, przez co czteropłytowy box najlepiej smakować z przerwami. ■

eprasa.pl c3ea528a8b

Ryszard Czarnecki

Polskie DNA i sąsiedzi ze Wschodu i Zachodu

Siostrę mojego ojca, pannę Czarnecką, starszą od niego o kilkanaście lat – a więc moją ciocię – Niemcy zamordowali w czasie ludobójstwa zwanego „rzezią Woli". Była w szpitalu. Nie było pardonu. Cioci nie zdążyłem poznać, urodziłem się 19 lat po jej zabiciu.

Stryjeczny brat mojej mamy, też od niej sporo starszy, pan Bieliński, zginął w partyzantce jako porucznik AK, pseudonim Jerzy Ostrowski.

Z czasów mojego dzieciństwa pamiętam opowiadanie mamy, w czasie okupacji niemieckiej młodziutkiej dziewczyny, którą podczas legitymowania żandarm bez żadnego powodu uderzył w twarz. Nie zastrzelił, tylko upokorzył. Do dziś pamiętam tę opowieść mamy, przywołującą tamto poczucie bezradności i wstydu.

Niemal cztery dekady wcześniej, w czasie antyrosyjskiej rewolucji w 1905 roku, zginął pchnięty bagnetem przez carskiego żandarma rodzony brat mojego dziadka „po kądzieli" Ryszarda Bielińskiego (zresztą jeden z 15 braci Bielińskich!). Podczas demonstracji rosyjski sołdat uderzył Polkę, pan Bieliński (kolejny) stanął w jej obronie i został śmiertelnie zraniony bagnetem.

Zapewne każda polska rodzina, a przynajmniej rodziny zakorzenione w historii, ma takich rodzinnych wspomnień więcej. To one w wielkim stopniu, nie tylko książki czy filmy, decydują o świadomości Polaków i nastawieniu do naszych zachodnich i wschodnich sąsiadów. Oczywiście możemy powtórzyć za Ezopem: „Zawsze istnieje człowiek bardziej cierpiący od ciebie". To prawda, tyle że te moje rodzinne „stories" i podobne historie setek tysięcy polskich rodzin świadomych historycznie wpisują się w ważny kod DNA tożsamości narodowej Polaków. Pamiętając o ofiarach w swojej rodzinie i w swoim narodzie – tej „rodzinie rodzin", by użyć określenia Prymasa Tysiąclecia, już błogosławionego Kardynała Stefana Wyszyńskiego – jednocześnie, siłą rzeczy, mamy świadomość, że musi to rzutować na mój, Twój, nasz narodowy stosunek do sąsiadów, bądź co bądź potomków tych, którzy zabierali życie i wolność czy starali się upokorzyć naszych przodków.

Skala polskiej martyrologii ze strony szeroko rozumianego Wschodu (Rosjanie, a w czasie II wojny światowej także Ukraińcy) i Zachodu (Niemcy) była tak duża, że przełożyła się na instynktowną niechęć Polaków do obu naszych byłych zaborców i okupantów. Wyraża się to dziś w niemaskowanej nawet niechęci, w internetowych memach czy podczas wydarzeń sportowych. Pisał Szekspir: „Jeśli jeszcze macie łzy, to nadchodzi czas, by je wylewać".

Jak to się dzieje, że polscy sportowcy i trenerzy, przez nikogo nie nastawiani, sami z siebie mówią, że mecze, pojedynki, zmagania z Rosjanami czy Niemcami są dla nich wyjątkowe, a radość ze zwycięstw szczególna – ba, niepowtarzalna?

Obrzydliwa „polityczna poprawność" każe Polakom minimalizować krzywdy doznane ze strony naszych zachodnich i wschodnich sąsiadów. Czasem nasi rodacy robią to dla świętego spokoju („bo co to zmieni?"), z głupoty, braku horyzontów czy swoistego ahistoryzmu. Chciałoby się powiedzieć za Zbigniewem Herbertem: „i nie przebaczaj zaiste nie w twojej mocy/ przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świcie".

Jako historyk mogę stwierdzić, że jedni i drudzy mają do nas stosunek taki sam jak przed wiekami czy bardzo do niego podobny. Zmieniają się epoki, formy zniewalania, dyktat bywa inny niż kiedyś, ale mamy tu swoistą, tyleż zastanawiającą, co przerażającą – ciągłość, która każe nam stwierdzić, że tak naprawdę ONI nic się nie zmieniają – choć przecież świat się zmienia. No właśnie. Świat może i tak, sąsiedzi – nie.

Ironiczne powiedzonko, znane mi od dziesięcioleci, sprowadza się do pytania: „Dlaczego, u licha, nasi przodkowie urodzili się w takim, a nie innym miejscu Europy? Pogoda – straszna. Sąsiedzi – też straszni" (w oryginale jest ostrzej...).

Na szczęście my, Polacy, też się nie zmieniamy. Zostało nam jeszcze wiele hardości. I chęci bycia na swoim, odrębności... ■

eprasa.pl c3ea528a8b



Olga Doleśniak-Harczuk

Antoni Opaliński (PR24)

Landszaft po bitwie, landszaft przed bitwą

Już dzień po ogłoszeniu wyników wyborów do Bundestagu w kierownictwie CDU i AfD doszło do ostrych turbulencji. W CDU podniosły się głosy wzywające do „wyciągnięcia konsekwencji personalnych", co znaczy ni mniej, ni więcej, jak pełzający bunt wobec Armina Lascheta. Alternatywę dla Niemiec utrata 1,3 punktu procentowego (w stosunku do 2017 roku) będzie kosztować 11 mandatów poselskich, a wewnętrznie najprawdopodobniej doprowadzi do radykalizacji na modłę frakcji, którą nie tak dawno rozwiązano, łudząc się, że wyborcy docenią odbicie w kierunku partii środka. Postkomunistyczna Linke ledwo przekroczyła próg wyborczy, towarzysze utracili swoje wyczucie dla wschodu, a ich elektorat zzieleniał i poszedł za Annaleną Baerbock. I tylko Olaf Scholz (SPD) śpi spokojnie. Wygrał nieznacznie, ale wygrał. Nie, chwila, najlepiej dziś sypia Christian Lindner z FDP.

FOT. OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK

eprasa.pl c3ea528a8b


SCHOLZ PACKT DAS AN.



26 września 2021 roku, kilometr piechotą od stacji S-Bahnu Treptower Park, wielkie zbiegowisko. Wozy transmisyjne, kamery, głośna muzyka, około 40-metrowa kolejka ciągnąca się do wejścia klubo-restauracji „Festsaal Kreuzberg". To tutaj poczekają na wyniki wyborów politycy i sympatycy Linke. Na razie więcej emocji budzi certyfikat covidowy.

Atmosfera jak na lewicowej manifie

Kolejkowicze przekazują sobie informację, że tym razem nie wystarczy okazanie żółtego zaświadczenia Światowej Organizacji Zdrowia, ochrona imprezy wymaga cyfrowego certyfikatu i dodatkowo negatywnego wyniku na covid. Robi się mała awantura. A co z babcią, która nie ma smartfona? A dlaczego nam o tym nie napisali w zgłoszeniu? Ktoś wybiega z kolejki i skanduje „Fucking Linke!", za chwilę na trawniku przed klubem wyrasta grupka z „Freie Linke", odszczepieńcy Linke, dla których „sojusz byłej partii robotniczej i establishmentu" był już nie do zniesienia. „Freie Linke" płynie w nurcie antyszczepionkowym i jest bardziej czerwona niż najbardziej czerwone wino w piwniczce Oscara Lafontaine'a i Sahry Wagenknecht. Działacze rozwijają czerwony transparent z hasłem: „Mask is a bitch, fuck the rich", policja pędzi w ich kierunku i kolejna awantura w powietrzu. Jeden z kolejkowiczów to dziennikarz z Kuby, wspomina z rozrzewnieniem, jak był kiedyś w Berlinie na konferencji PDS (jedna z części składowych Linke) i nikt go nie kontrolował, wszystko było wtedy w porządku, a teraz Linke zachowuje się jak pozostałe partie, dawny duch się ulotnił. Kubańczyk przyjechał pewnie busikiem z napisem Cuba.si!, czerwone auto stoi nieopodal, na szybach plakaty wzywające do zaprzestania wojny gospodarczej przeciw Kubie. Rewolucja trwa zatem w najlepsze, tu w tym imprezowym zaułku, między seniorem z długim włosem à la Marx wpatrującym się w tablicę wyników a ponaddwumetrowym transwestytą z rudą czupryną i wąsami na przedzie, który wylewnie wita się z obecnymi już w środku politykami Linke. Atmosfera jak na lewicowej manifie, między stolikami ogródka piwnego przeciska się Petra Pau, jedna z wiceprzewodniczących Bundestagu, minę ma nietęgą, a na sobie nieśmiertelny kolorowy żakiecik, jej znak firmowy. Spływają pierwsze wyniki, nie jest dobrze, dookoła zatroskane miny. Mija godzina, zanim na scenę wychodzi przewodniczący Gregor Gysi i wypala: „Tak, nie oszukujmy się, ten wynik to katastrofa! Przespaliśmy problemy Niemców wschodnich. Pewnie teraz zaczną się spory i kłótnie!". Sala skanduje: „Gregor, Gregor!", ale Gregor ma trochę dość i każe wszystkim iść na lampkę wina, potem jeszcze raz się pojawi i powie, co dalej z tą katastrofą począć. Jeszcze nie wiadomo, czy partii uda się w ogóle wejść do Bundestagu, trzeba poczekać. Nazajutrz słupek wskazuje 4,9 proc. Niby poniżej progu wyborczego, ale silna pozycja w kilku okręgach ratuje sytuację, w samym Berlinie Gregor Gysi bije polityczną konkurencję w dzielnicy Treptow-Köpenick, to najsilniejszy bastion postkomuny w Berlinie zaraz po czerwonym Lichtenbergu z domkami zamieszkanymi przez dawne kadry Stasi. Wieczór wyborczy kończy marzenia Linke o wejściu w koalicję z SPD i Zielonymi. Jeszcze tydzień wcześniej mogli liczyć nawet na 8 proc. głosów, a Armin Laschet straszył Niemców sojuszem złożonym z narwanych obrońców klimatu, przeciwników NATO i nadgorliwców fiskalnych. Linke skarlała. Taka koalicja już nie wchodzi w grę.

Wyłaniający się z błota duch proletariatu

Droga z centrum niemieckiej stolicy w kierunku siedziby SPD prowadzi przez Checkpoint Charlie. Mimo turystyczno-muzealnej konfekcji, jaką obrosła dziś pamięć o podziale miasta, miejsce to wciąż robi wrażenie, przywołuje obrazy z klasyki szpiegowskich filmów czy książek Johna le Carre. A jeśli ktoś miał szczęście urodzić się w czasach, których nie pamięta pokolenie Grety Thunberg – przypomina się jedyna w swoim rodzaju schizofreniczna, zimnowojenna i zarazem artystyczna atmosfera Berlina Zachodniego. To miasto naprawdę „murem podzielone" miało swój przedziwny urok...

Zostawmy jednak wspomnienia, przecież właśnie kończą się wybory, a niemieccy politycy powtarzają w kółko: „Zukunft, Zukunft". Położona niedaleko okrągłego Mehringplatz (nazwa na cześć marksistowskiego historyka i publicysty Franza Mehringa – postać, ciekawa, choć dziś dwuznaczna, bo klasową analizę dziejów Niemiec łączył z ostrą krytyką roli niemieckich Żydów w budowie kapitalizmu) siedziba SPD robi wrażenie. Ten nowoczesny budynek powstały w latach 90. to już efekt zjednoczenia i przeniesienia stolicy kraju do Berlina. Wraz z końcem „republiki bońskiej" do dawnej stolicy pruskich królów przeniosły się za instytucjami państwa również kwatery głównych niemieckich partii. Kreuzberg został przez SPD wybrany nieprzypadkowo, tu niedaleko mieściły się partyjne instytucje socjaldemokratów przed 1933 rokiem.

eprasa.pl c3ea528a8b

Nowoczesny budynek to nie tylko siedziba partii i komercyjny biurowiec, lecz także miejsce dla licznych, oczywiście mniej lub bardziej lewicowych, inicjatyw kulturalnych. Na dole jest też księgarnia-antykwariat o historycznej nazwie „Vorwärts" (czyli „Naprzód") – to nazwa historycznej gazety niemieckich socjalistów ukazującej się od 1876 roku. Podobną nazwę miał krakowski dziennik PPS, gdzie swoje bojowe, lecz pisane piękną polszczyzną artykuły dawał m.in. Ignacy Daszyński. Zbieżność nazw nie jest przypadkowa – złośliwy Roman Dmowski miał naprawdę rację, mówiąc, że niemiecka socjaldemokracja jest wyrocznią i wzorem dla partii z innych krajów). W księgarni można sobie kupić przemówienia Helmuta Schmidta, dzieła Marksa albo książeczki o tym, że wszyscy, którzy wątpią w sens „walki o klimat", to wredni faszyści. W przykrytym szkłem patio, gdzie zgromadzeni politycy, dziennikarze i „aktyw" czekają na ogłoszenie wyników, wita przybyłych pomnik Willy'ego Brandta, „kanclerza pojednania" i współtwórcy „nowej polityki wschodniej" (wciąż w Polsce nie chcemy zrozumieć, że ta polityka nie była jedynie jakimś odruchem dobrych serc, tylko mądrym krokiem na drodze do zjednoczenia Niemiec). Pomnik autorstwa Reinera Fettiga, malarza i rzeźbiarza związanego kiedyś z grupą młodych i zbuntowanych artystów zwanych „Neue Wilde" (Nowi Dzicy), też jest nieco... dziki, a wybitny polityk wygląda na nim trochę jak wyłaniający się z błota duch proletariusza. Niezależnie od ocen sztuki nowoczesnej zmarły w 1992 roku Brandt jest obok Helmuta Schmidta patronem dzisiejszej SPD. Olaf Scholz wraz z towarzyszami bardzo lubią powoływać się na te historyczne przecież postacie, podczas gdy wciąż aktywny Gerhard Schröder, który wpłynął na dzisiejszy kształt partii dużo bardziej niż przywódcy bońskiej republiki z lat 70., nie wiedzieć czemu pozostaje w cieniu. Kończąc sprawę berlińskiej siedziby partii, zauważmy jedno – czołowe niemieckie partie są instytucjami niemieckiego państwa i partyjne siedziby oddają ten fakt. Piszemy to z pozdrowieniami dla wydawanych w Polsce niemieckich tabloidów i polskich publicystów, którzy przy jakiejkolwiek próbie podobnej inwestycji w naszym kraju piszą o... Bizancjum.

Rozmowy przy piwie

W Willy Brandt Haus nerwowe, lecz optymistyczne oczekiwanie – zgromadzeni wiedzą, że sondażowe wyniki idą „łeb w łeb", ale to SPD zyskała nowych wyborców, podczas gdy chadecka Unia straciła ich najwięcej od lat. I niezależnie od tego, kto wygra zaczynającą się „drugą turę", czyli koalicyjne negocjacje, to chadecy i namaszczony przez Angelę Merkel na następcę Arnim Laschet są w oczach opinii publicznej przegranymi tej elekcji. Zresztą krótkie wymiany zdań z obecnymi i zasłyszane rozmowy przy piwnych stołach nie pozostawiają złudzeń – po wyborach możliwości są różne, ale jakakolwiek dalsza współpraca z CDU/CSU... wykluczona. Czy przywództwo partyjne posłucha głosu aktywistów i sympatyków? To już inna sprawa, w niemieckiej polityce elity nieraz przechodziły do porządku nad emocjami „bazy partyjnej". Na razie Olaf Scholz zapytany na pierwszej po wyborach konferencji prasowej o ocenę „epoki Merkel", odpowie uśmiechem księgowego, tłumaczącego klientom, ile wyniesie nowy podatek, że „wyborcy wskazali, iż miejsce Unii jest w opozycji". Tak się kwituje parę lat rządowej współpracy – nie tylko w niemieckiej polityce.

Aha, o czym to pisaliśmy? Że rozmowy przy piwie? Tak, tak, to nie pomyłka. Zgromadzeni przy stolikach przed partyjną siedzibą socjaliści – zarówno młodzi aktywiści w tęczowych kolorach, jak i starzy, wąsaci i palący fajki weterani związkowi (to już mniejszość, ale wciąż można ich spotkać) – czekali na wyniki wyborów klasycznie po niemiecku – przy piwie i kiełbaskach. Nie sprawdzaliśmy, czy kiełbaski były chociaż wegańskie, i naprawdę nie wiemy, co by na to powiedziała młodzież ze strajku klimatycznego... Brak dostatecznie postępowych nawyków żywieniowych to niejedyny problem. Dużo bardziej niepokojące jest co innego. W metrze w drodze

Dzień po wyborach. Konferencja prasowa w Konrad Adenauer Haus, atmosfera stypy po CDU i przedsionek intryganckiego piekła dla Arnima Lascheta. W partii są na niego wściekli.

eprasa.pl c3ea528a8b

na Kreuzberg widać dzisiejszy Berlin – wielokolorowy i wielokulturowy, przeważnie afrykański lub bliskowschodni, czasem azjatycki , miejscami słowiański lub rumuński... A w klimatyzowanych salach „Domu Brandta"? Niech nas nie zmylą czerwone i tęczowe flagi partyjnej młodzieżówki, przecież z małymi wyjątkami zgromadziła się tu reprezentacja białych Niemców. Mimo berlińskich problemów z cenami mieszkań są to w znacznej mierze zamożni i zadowoleni z życia przedstawiciele klasy urzędniczo-medialno-instytucjonalnej. Tak, owszem, wszyscy jesteśmy tu bardzo postępowi, chcemy pomagać imigrantom (no, o tym akurat za wiele nie wspominaliśmy w tej kampanii...) i w ogóle Bella Ciao i Bandera Rossa, i Wyklęty powstań ludu ziemi... Ale gdzie właściwie jest polityczna reprezentacja tych ludzi z berlińskiego metra? Czy to nie również ich ciężka praca utrzymuje dziś ekonomiczny polityczny ład Bundesrepubliki wraz z jej dobrze opatrzoną partyjną infrastrukturą?

Hej, kto chadek, na Lascheta!

Dzień po wyborach. Konferencja prasowa w Konrad Adenauer Haus, atmosfera stypy po CDU i przedsionek intryganckiego piekła dla Arnima Lascheta. W partii są na niego wściekli. Markus Söder, szef siostrzanej CSU i niedoszły kandydat CDU/CSU na kanclerza, już dzień wcześniej pogratulował Olafowi Scholzowi wygranej i stwierdził, że CDU nie ma legitymizacji, by podjąć misję tworzenia nowego rządu. Takie słowa są jak brzytwa. Od wielu miesięcy Söder i Laschet uprawiają grę pozorów, niedoszły kandydat i przeforsowany kandydat, jeden o temperamencie politycznego buldożera, drugi miękki i jednostajny, jakby czasem ktoś z premedytacją odłączał mu prąd. Teraz gra przechodzi na wyższy poziom. Laschet rozumie, że może wylądować w ławach opozycji i usiłuje zapobiec ponownemu obraniu na szefa frakcji CDU/CSU Ralfa Brinkhausa. Chce dla niego jedynie funkcji komisarycznej, by w razie awarii wskoczyć na jego miejsce. Rzecz w tym, że szef frakcji to najważniejszy człowiek w partii, to on zarządza, łagodzi, negocjuje. Starania Lascheta napotykają na opór ze strony Södera i większości frakcji. Kończy się kompromisem, Brinkhaus zostaje mianowany szefem frakcji na kolejne pół roku. Laschet pytany o samopoczucie zbolałym głosem przyznaje, że mogło być lepiej. Teraz, kiedy to FDP i Zieloni zadecydują, kto zajmie miejsce Merkel, Arnim Laschet nie może spać spokojnie. Lider FDP, Christian Lindner, jeszcze kilka dni przed wyborami flirtował z CDU i CSU, stwarzał wrażenie zainteresowanego koalicją z czarnymi i Zielonymi. Teraz jednak nic nie jest pewne. SPD wygrało, CDU jest w rozsypce, za chwilę Laschet może nie wytrzymać presji, a na najbliższym zjeździe chadeków już ktoś inny chwyci stery partii. Może w końcu tak długo wyczekiwany Friedrich Merz? Ktoś musi zapłacić za utratę 50 mandatów poselskich, za upokorzenia. Na razie to FDP i Zieloni trzymają wszystkie karty, jeżeli zechcą – Laschet spadnie na samo dno.

Kibole z AfD

Od czasu, gdy staraniem Jörga Meuthena i pozostałych członków umiarkowanego skrzydła AfD rozwiązano tzw. Flügel, czyli radykalną frakcję Björna Höckego, partia złagodniała. Łagodność to raczej naskórkowa, ponieważ zwolennicy Höckego nie przestali działać i szemrać przeciw centrystom, ale jedynie zeszli do partyjnego podziemia. I teraz to podziemie triumfuje. Z Turyngii, matecznika frakcji radykalnej, dostało się do Bundestagu aż pięciu członków AfD, najlepsze wyniki Alternatywni odnotowali na wschodzie – w Turyngii i Saksonii, na zachodzie Niemiec nie było już tak słodko. Jednak z tego podziału jest jeden wniosek, i to taki, który nie zachwyca centrystów – ekstrema sprzedaje się lepiej i nie da się jej wykluczyć. To zwolennicy Höckego uratowali ostateczny wynik AfD, to ci ludzie stanowią żelazny elektorat partii, której liderom wydawało się, że czas najwyższy wyrwać ją z brunatnych skojarzeń i wprowadzić na salony. Cóż, nie udało się. Ktoś, kto głosuje na AfD, nie chce lukrowanych plakatów, nie chce umiarkowanych przekazów, domaga się mocnego uderzenia w stół. Jeden z polityków AfD zapytany przez nas, jak by określił rolę frakcji radykalnej, stwierdził ze śmiechem, że w każdej partii są „kibice i kibole", a członkowie (przynajmniej oficjalnie nieistniejącego już) Flügel zaliczają się do tej drugiej grupy. 10,3 proc. zdobyte w skali całych Niemiec i ponad 24 proc. w Turyngii i Saksonii, ten wynik mówi sam za siebie. Alternatywni wezmą się za włosy. Nie tylko oni. Annalena Baerbock też jakaś taka potargana ostatnio. ■

Wyniki wyborów:
SPD – 25,7 proc. (plus 53 mandaty w Bundestagu)
CDU/CSU – 24,1 proc. (minus 50 mandatów)
Zieloni – 14,8 proc. (plus 51 mandatów)
FDP – 11,5 proc. (plus 12 mandaty)
AfD – 10,3 proc. (minus 11 mandatów)
Linke 4,9 proc. (minus 30 mandatów)

eprasa.pl c3ea528a8b



Antoni Rybczyński

Putin i taktyka salami

Państwo Związkowe Białorusi i Rosji formalnie istnieje od 21 lat, jednak w rzeczywistości wiele jego zapisów istniało dotąd tylko na papierze. Teraz Mińsk i Moskwa zapowiadają pogłębienie integracji. Co się zmieniło? Reżim Alaksandra Łukaszenki przetrwał protesty po sfałszowanych wyborach 2020 roku tylko dzięki wsparciu Moskwy. Jeszcze bardziej uzależnił się od niej także w sferze gospodarczej. Więc musi teraz za to płacić.

FOT. ARTYOM KOROTAYEV/PAP/ITAR-TASS.

9 września na Kremlu liderzy Białorusi i Rosji obwieścili, że uzgodnili pakiet 28 programów (wcześniej nazywany mapami integracji), mówiący o pogłębieniu integracji. 10 września zatwierdzili go premierzy obu krajów na posiedzeniu Związkowej Rady Ministrów. Do rangi symbolu urasta fakt, że mapy integracji zostaną podpisane przez prezydentów w dniu rosyjskiego święta Jedności Narodowej. Właśnie 4 listopada zaplanowano specjalne posiedzenie Najwyższej Rady Państwowej Państwa Związkowego Białorusi i Rosji. Na obecnym etapie chodzi wyłącznie o integrację gospodarczą, a takie sprawy, jak wspólne organy ponadpaństwowe, wspólny parlament czy jedna waluta, „na razie" nie są brane pod uwagę. Realizacja już uzgodnionych 28 programów, nawet w przypadku szybkiego podpisania dokumentów, również będzie rozciągnięta w czasie – nawet do 2027 roku. W tej chwili nie ma wystarczających informacji, aby móc wyciągnąć jednoznaczne wnioski na temat podjętych decyzji i sposobu ich realizacji. Na podstawie opublikowanej listy obszarów integracji trudno stwierdzić, jak szczegółowe są programy, jakie są plany i harmonogramy ich realizacji. Prawdopodobnie bardziej konkretne szczegóły zostaną ujawnione po ostatecznym zatwierdzeniu programów przez prezydenta Rosji Władimira Putina i jego białoruskiego odpowiednika Alaksandra Łukaszenkę w listopadzie. Aktualna lista daje jednak pewne wyobrażenie o tym, dokąd zmierza integracja rosyjsko-białoruska.

Integracja bez pośpiechu

Umowa o Państwie Związkowym zakładała powstanie konfederacji przy zachowaniu „nienaruszalności suwerenności i integralności terytorialnej oraz ustroju państwowego". Jej najwyższym organem jest Rada Najwyższa Państwa Związkowego z udziałem dwóch prezydentów, którzy rotacyjnie sprawują w nim kierownictwo. W grudniu 2018 roku ówczesny premier Rosji Dmitrij Miedwiediew, oświadczył, że by nadal otrzymywać rosyjskie wsparcie gospodarcze, Mińsk powinien zgodzić się na pogłębienie integracji i realizację umowy o państwie związkowym z 1999 roku. Negocjacje toczyły się burzliwie. Początkowo podpisanie porozumień planowano pod koniec 2019 roku, jednak wówczas się ono nie udało, a pomiędzy Mińskiem i Moskwą doszło do kolejnego kryzysu energetycznego i czasowego wstrzymania dostaw ropy z Rosji. Negocjacje wznowiono na fali ponownego zbliżenia Mińska i Moskwy po tym, jak na Białorusi wybuchły latem ubiegłego roku masowe protesty z żądaniem uczciwych wyborów, a Moskwa zaoferowała sojusznikowi wsparcie swoich struktur siłowych.

Negocjowane od trzech lat mapy integracji określają ramy ujednolicania działania obu państw w różnych sektorach – od polityki celnej po sektor energetyczny. W dyskutowanych obecnie planach integracyjnych nie ma mowy o polityce wewnętrznej i zagranicznej. Mińsk zapewnia, że chodzi wyłącznie o gospodarkę, jednak integracja ekonomiczna musi pociągnąć za sobą polityczną. Spotkanie 9 września było już piątym w tym roku osobistym spotkaniem Putina i Łukaszenki – i żadne nie miało miejsce na Białorusi, co też świadczy o tym, kto ma w tej relacji zdecydowaną przewagę. Jeszcze kilka dni wcześniej ambasador Białorusi w Moskwie, Uładzimir Siamaszka, powiedział, że wszystkie mapy drogowe mogą być gotowe do podpisania, gdy spotkają się Łukaszenka i Putin. Jednak nie podpisano żadnych dokumentów, przynajmniej publicznie. Po ponad trzech godzinach rozmów Putin zasugerował dziennikarzom, że jest jeszcze coś do zrobienia. Podając niewiele szczegółów, powiedział, że on i Łukaszenka zgodzili się koordynować politykę makroekonomiczną krajów, wprowadzić wspólne środki podatkowe i celne oraz zharmonizować inne kontrole finansowe.

Pomimo istnienia od 1995 roku jednego obszaru celnego w Rosji istnieje bowiem cały szereg ograniczeń dla białoruskiego biznesu. Państwowe subsydia czy przetargi są zarezerwowane dla rodzimych wytwórców, wielu producentów białoruskich ma problem z dostępem na rynek rosyjski. Jednym z punktów spornych wciąż pozostaje kwestia wspólnej waluty Państwa Związkowego, szczególnie jeśli tylko Rosja miałaby prawo do jej emisji – bo to by pozbawiało Łukaszenkę kluczowego instrumentu władzy: pieniędzy. Putin i Łukaszenka przyznali, że banki centralne obu krajów nie są jeszcze na to gotowe i „muszą ujednolicić politykę zarządzania finansami, zapewnić integrację systemów płatniczych oraz bezpieczeństwo informacji w sferze finansowej". Wspólna waluta i jedno centrum emisyjne nie powstały, choć mówi o nim umowa związkowa. Zarówno Kreml, jak i Alaksandr Łukaszenka podkreślają, że obecnie nie ma planów wprowadzenia wspólnej waluty i centrum emisji czy państwowych organów ponadnarodowych.

Gazowe przepychanki

W Moskwie ogłoszono plany integracji rynków energetycznych Białorusi i Rosji. Pod rządami Łukaszenki tanie ropa i gaz długo były kroplówką dla etatystycznej i mało efektywnej gospodarki białoru-

eprasa.pl c3ea528a8b

skiej. Większość rosyjskiej ropy Mińsk reeksportował po wyższych cenach na Zachód – albo w postaci surowca, albo produktów z dwóch swoich stosunkowo nowoczesnych rafinerii w Mozyrzu i Nowopołocku. Aż do końca 2018 roku Rosja sprzedawała Białorusi ropę po cenach krajowych, bez opłat celnych. Ale wtedy w Rosji wprowadzono zmiany w systemie podatkowym sektora naftowego, które podrożyły ropę dla Białorusi. Mińsk twierdził, że tylko w 2019 roku kosztowało go to dodatkowo 330 mln dolarów. Doszło do ostrego konfliktu, bo Białoruś nie chciała tyle płacić Rosjanom. Więc ci na początku 2020 roku najpierw wstrzymali na pewien czas, a potem ograniczyli dostawy ropy. To wtedy Łukaszenka sprowadził pierwszą dostawę ropy z USA i prowadzono rozmowy o dostawach na Białoruś rewersem Ropociągu Przyjaźń – z terminalu naftowego w Gdańsku. Podczas spotkania 9 września Putin zaoferował Łukaszence utrzymanie w 2022 roku ceny gazu na obecnym poziomie 128,5 dolarów za 1000 m³. Oczekiwania białoruskiego dyktatora są dużo większe. Chciałby, aby Białoruś płaciła za surowce energetyczne tyle samo, co rosyjskie regiony. Na przykład sąsiadujący z Białorusią obwód smoleński płaci Gazpromowi za dostawy gazu połowę tego, co reżim Łukaszenki. Póki co, oba kraje mają podpisać dokumenty o utworzeniu wspólnych rynków gazu, ropy naftowej i energii elektrycznej, co daje Łukaszence pewne nadzieje na tańszą energię w przyszłości. Pytanie, kiedy to nastąpi?

Uzgodnione 28 programów wydają się kompromisem. Patrząc na ich listę, nie wygląda na to, by Kreml zyskał aż tak dużą przewagę z racji słabości sojusznika, aby przeforsować swoją agendę. Poza tym wiele z tych programów wygląda raczej na ogólne ramowe dokumenty, które trzeba jeszcze uzupełnić i sprecyzować poprzez przyjęcie dodatkowych ustaw w obu krajach oraz porozumień. Na przykład mapa dotycząca polityki monetarnej przewiduje, że centralne banki Rosji i Białorusi osiągną porozumienie o zasadach i mechanizmach wdrożenia takiej polityki do grudnia 2022 roku. Istotne jest również to, czego na liście map integracyjnych na razie nie ma: jednej waluty, polityki obronnej, bezpieczeństwa państwa czy ponadnarodowych organów państwowych. Nie ma w ogóle mowy o integracji politycznej. Fatalne doświadczenia ukraińskie skłoniły wyraźnie Kreml do przemyślenia polityki. Zamiast zmuszać Łukaszenkę do szybkiej kapitulacji i oddania suwerenności Białorusi, Putin woli zachować cierpliwość i powoli realizować taktykę salami wobec Białorusi: kawałek po kawałku odcinając kolejne części jej niepodległości. Czy Kreml ryzykuje, rozciągając ten proces w czasie – wszak nie ma pewności, że gdy Łukaszenka poczuje się pewniej, znów zacznie „dywersyfikować" swoją politykę zewnętrzną? Najlepszym rodzajem gwarancji będzie obecność militarna Rosji na terytorium Białorusi. I tutaj żadne mapy integracji nie są potrzebne, bo proces zwiększania bezpośredniej obecności wojskowej Rosji u sąsiada już się rozpoczął. Poza tym, jeśli mowa o kwestiach obronnych, to armia białoruska już od dawna jest *de facto* podporządkowana rosyjskim strategom.

ZAMIAST ZMUSZAĆ ŁUKASZENKĘ DO SZYBKIEJ KAPITULACJI I ODDANIA SUWERENNOŚCI BIAŁORUSI, PUTIN WOLI ZACHOWAĆ CIERPLIWOŚĆ I POWOLI REALIZOWAĆ TAKTYKĘ SALAMI WOBEC BIAŁORUSI: KAWAŁEK PO KAWAŁKU ODCINAJĄC KOLEJNE CZĘŚCI JEJ NIEPODLEGŁOŚCI.

Wspólna przestrzeń obronna

Putin i Łukaszenka ogłosili w Moskwie plany budowy „wspólnej przestrzeni obronnej", nie podając jednak żadnych szczegółów ani terminów. Prawda jest taka, że już teraz armia białoruska jest częścią rosyjskiej machiny wojennej. Oba kraje mają jeden system obrony powietrznej i przeciwlotniczej. Regionalne zgrupowanie składa się zaś z czterech brygad białoruskich i białoruskiego specnazu oraz 20. Armii Rosyjskiej. Przez wiele lat na Białorusi były – na stałe – tylko dwie wojskowe instalacje rosyjskie, na inne Łukaszenka się nie zgadzał. Stacja radiolokacyjna w Hancewiczach koło Baranowicz (obwód brzeski) to ukierunkowana na zachód część systemu ostrzegania przed atakiem rakietowym. Z kolei 43. Centrum Łączności Floty Wojennej w Wilejce w obwodzie mińskim już od lat 60. XX wieku wspiera łączność sztabu rosyjskiej floty z rosyjskimi podwodnymi

eprasa.pl c3ea528a8b

okrętami atomowymi na całym świecie. Jednak 28 sierpnia białoruskie ministerstwo obrony ogłosiło, że do Grodna przybyły oddziały rosyjskich wojsk rakietowych w celu utworzenia wspólnego z Rosją centrum szkolenia lotnictwa bojowego i obrony powietrznej. Elementem tego ośrodka, obok przeciwlotniczych sił rakietowych, jest grupa rosyjskich samolotów wielozadaniowych Su-30SM, która wylądowała w Baranowiczach, jakieś 150 km od granicy z Polską. Rosyjskie maszyny mają patrolować przestrzeń powietrzną Białorusi, głównie przy granicach z krajami NATO. Z kolei w Rosji ma powstać ośrodek szkoleniowy dla wojsk lądowych oraz bojowe centrum ćwiczebne na bazie Floty Bałtyckiej w obwodzie kaliningradzkim. Jeszcze 5 marca ministrowie obrony Białorusi i Rosji ogłosili plany stworzenia trzech stałych wspólnych ośrodków szkolenia wojskowego: w Niżnym Nowogrodzie i Kaliningradzie (Rosja) oraz w obwodzie grodzieńskim (Białoruś). Podpisany pięcioletni plan współpracy strategicznej ministerstw obrony obu państw przewiduje też intensyfikację wspólnych ćwiczeń.

W umowie związkowej znajdują się zapisy na temat współpracy wojskowej, jednak tak naprawdę jest ona określana przez wiele innych dwustronnych umów czy też fakt członkostwa obu krajów w Organizacji Układu i Bezpieczeństwie Zbiorowym (OUBZ) i odbywa się niezależnie od rokowań w sprawie integracji ekonomicznej. W tej zresztą dziedzinie Łukaszenka idzie na największe ustępstwa wobec Putina. Integracja wojskowa Białorusi i Rosji przyspieszyła w wyniku wydarzeń politycznych na Białorusi. To również odbiło się w scenariuszu Zapad 2021, który po raz pierwszy przedstawia Rosję (Federację Centralną) jako „obrońcę" Białorusi, a nie Białoruś – jako strażnika zachodnich rubieży państwa związkowego. W tym scenariuszu umowne państwa Wilia, Pomorze i Republika Polarna (Litwa, Polska i prawdopodobnie jakiś kraj skandynawski) próbują zdestabilizować Republikę Polesia, czyli Białoruś, dążąc do zajęcia jej zachodniej części. Ćwiczenia Zapad – które odbywają się co cztery lata – mają na celu test zdolności rosyjsko-białoruskiego potencjału militarnego do obrony Państwa Związkowego Rosji i Białorusi przed USA i NATO. Oczywiście oficjalnie Zapad-2021 miały charakter „z natury defensywny" i „nieskierowany przeciwko żadnemu konkretnemu narodowi". Według informacji podanych przez rosyjskie ministerstwo obrony w tegorocznych ćwiczeniach wzięło udział około 200 tys. żołnierzy oraz 80 samolotów i śmigłowców. Zaangażowanych zostało 760 jednostek sprzętu, w tym 290 czołgów i 15 okrętów. Po raz pierwszy wykorzystano w pełnym składzie zgrupowanie lotnicze Floty Bałtyckiej, utworzone w obwodzie kaliningradzkim: myśliwce, bombowce, śmigłowce i drony należące do 34. dywizji. Połączone siły bojowe piechoty morskiej Floty Bałtyckiej i Północnej, wspierane przez okręty wojenne, przeprowadziły zakrojoną na szeroką skalę operację desantową z bronią ciężką w obwodzie kaliningradzkim, naśladując ewentualny atak wojenny na wybrzeże Polski lub krajów bałtyckich. Zapad 2021 były ćwiczeniami z wykorzystaniem walki elektronicznej na skalę dotąd niewidzianą.

Rosyjscy stratedzy traktują terytorium Białorusi jako część własnego obszaru operacyjnego. Armia białoruska pełni tylko rolę pomocniczą. Tak naprawdę dowodzą nią rosyjscy generałowie z dowództwa Zachodniego Okręgu Wojskowego SZ FR.

Rosyjski obszar operacyjny

Regularna armia białoruska nie jest ani duża, ani silna. Łukaszenka wydaje na obronność zaledwie 1 proc. PKB rocznie (około 500 mln dolarów). W czasach pokoju białoruskie wojsko opiera się na poborze i nie jest liczne, to zaledwie pięć brygad, w tym dwie zmechanizowane. Dla Łukaszenki priorytetem zawsze było KGB i siły MSW – bo to te formacje gwarantują mu utrzymanie władzy. Dla obrony przed zagrożeniami zewnętrznymi reżim zbudował system mobilizacji rezerwistów oraz siły obrony terytorialnej (około 120 tys. ludzi). Ale tak naprawdę od lat kwestię obrony zewnętrznych granic Białorusi w coraz większym stopniu ceduje na Rosję – tak więc to nie jest tak, że dopiero od roku zaczął iść na ustępstwa wobec Kremla w obszarze obronnym. Dla Łukaszenki jest to jeden ze sposobów na wzmocnienie własnej pozycji w kraju. Jakie są z kolei cele Mo-

eprasa.pl c3ea528a8b

skwy, jeśli chodzi o Białoruś w kontekście militarnym? Sprawowanie wojskowej kontroli nad terytorium Białorusi ułatwi Rosji prowadzenie ewentualnej operacji wojskowej wymierzonej w NATO lub Ukrainę. Rosyjscy stratedzy traktują terytorium Białorusi jako część własnego obszaru operacyjnego. Armia białoruska pełni tylko rolę pomocniczą. Tak naprawdę dowodzą nią rosyjscy generałowie z dowództwa Zachodniego Okręgu Wojskowego SZ FR. „Przedsięwzięcia wojskowe, realizowane wcześniej przez Białoruś własnym sumptem, są obecnie co najwyżej projektami dwustronnymi z jej udziałem. Na szczeblu operacyjnym i strategicznym jej armia ćwiczy wyłącznie z rosyjską, a na szczeblu taktycznym – według schematów wypracowanych przez Rosjan [...] Białoruskie lotnictwo wojskowe w zasadzie przestaje istnieć, a pozostające na marginesie modernizacji technicznej formacje pancerne i zmechanizowane w przypadku regularnego konfliktu zbrojnego przeznaczone są de facto na stracenie" – czytamy w analizie eksperta Ośrodka Studiów Wschodnich, Andrzeja Wilka.

Łukaszenka oznajmił 30 lipca, dzień po spotkaniu Swiatłany Cichanouskiej z Joe Bidenem w Białym Domu, że jest gotowy zaprosić rosyjskie wojska na Białoruś, jeśli taki krok będzie konieczny dla zapewnienia bezpieczeństwa obu krajom. To zwrot w jego postawie – dotychczas absolutnie wykluczał taką możliwość. Ale czy stałe bazy na białoruskim terytorium faktycznie zmienią tak mocno sytuację strategiczną na korzyść Rosji, czy może cały ten problem ma bardziej polityczny charakter? „Istniejąca infrastruktura umożliwia szybkie przemieszczenie i rozwinięcie na Białorusi jednostek dyslokowanych w graniczących z nią obwodach FR. W ramach przygotowań do uderzenia na Zachód przerzucenie wojsk ZOW na Białoruś odbyłoby się zdecydowanie szybciej (w ciągu kilkunastu godzin) niż ściągnięcie na środkowoeuropejski teatr działań wojennych jednostek z innych regionów Rosji" – nie pozostawia wątpliwości Wilk.

Front białoruski, model armeński?

Warto jednak pamiętać, że coraz dalej idące wojskowe podporządkowanie Białorusi Rosjanom to nie tylko powód do niepokoju dla NATO. Bardziej martwi się Ukraina, której relacje z Mińskiem przez ostatni rok uległy gwałtownemu pogorszeniu. Łukaszenka zapowiedział w czasie Zapadu, że zamierza kupić od Rosji systemy rakietowe S-400, które gotów jest umieścić na południu kraju, czyli na granicy z Ukrainą. To jest realizacja planu rosyjskiego, który pozwoliłby Rosji kontrolować z Białorusi przestrzeń powietrzną Ukrainy. „Kompleksy S-300 całkowicie pokrywają kierunek zachodni, ale, jak wiecie, doszedł także kierunek południowy [...]. Zaczynają nas »podgrzewać od południa«. Powinniśmy przygotowywać się – mamy 1200 km granicy z Ukrainą" – wskazał Łukaszenka. Dyktator zapowiedział zakupienie od Rosji uzbrojenia wartego łącznie ponad 1 mld dol. „W najbliższym czasie z Rosji dostarczone zostaną dziesiątki samolotów, dziesiątki śmigłowców, ważne uzbrojenie obrony przeciwlotniczej. Może nawet S-400. Bardzo ich potrzebujemy, już o tym mówiłem" – wygrażał Łukaszenka. Białoruski przywódca wskazał, że podczas spotkania z prezydentem Rosji Władimirem Putinem w Moskwie 3,5 godziny rozmów poświęcono tematowi obronności.

To by potwierdzało, że Kreml działa teraz wobec Białorusi dwutorowo. Z jednej strony są powolne i z punktu widzenia Łukaszenki niezbyt mu zagrażające plany integracji głównie w gospodarce. Z drugiej zaś presja Moskwy w obszarze obronnym – tak, aby przekształcić Białoruś w element systemu wojskowego Rosji, i to niezależnie od tego, kto będzie rządził w Mińsku. Pod koniec 2020 roku wyciekł do mediów zbiór dokumentów z kremlowskiego Zarządu ds. Stosunków Międzyregionalnych i Kulturalnych z Obcymi Krajami, na czele którego do marca 2021 stał generał Służby Wywiadu Zagranicznego (SWR) Władimir Czernow. To „dossier Czernowa" rzekomo powielało plany Kremla dotyczące wykorzystania białoruskiej kampanii prezydenckiej i późniejszego kryzysu politycznego jako korzystnego pretekstu do ingerencji w wewnętrzne sprawy Białorusi: w tym kształtowania kryzysu, tworzenia nowych prokremlowskich sił politycznych na Białorusi, pozyskiwania aktywów politycznych oraz narzucenia kluczowych parametrów reformy konstytucyjnej w celu przekształcenia Białorusi z republiki prezydenckiej w parlamentarną lub parlamentarno-prezydencką. Wszystkie te działania ewidentnie ułatwiłyby ekspansję rosyjskich interesów i wpływów na Białorusi w środowisku postłukaszenkowskim. W gronie prokremlowskich analityków dyskutowany jest bowiem pomysł „armeńskiego modelu" dla Białorusi. To oznacza wysyłanie sygnału do Zachodu i opozycji białoruskiej, że Moskwa jest gotowa do dialogu z nimi tak długo, jak długo są gotowi uwzględniać rosyjskie interesy na Białorusi. Putinowi nie zależy na Łukaszence, zależy mu na kontroli nad Białorusią. Nie ma wątpliwości, że gdy tylko nie będzie to zagrażało temu celowi, może spróbować usunąć dyktatora. Pokojowo lub siłą. Ale Łukaszenka też to wie. Problem w tym, że ma coraz mniejsze pole manewru. ■

eprasa.pl c3ea528a8b



TAJWAŃSKI RABIN – przyjaciel Polski

eprasa.pl c3ea528a8b

Hanna Shen



15 września na Tajwanie w wieku 103 lat zmarł rabin Ephraim Ferdinand Einhorn. Jego życie to gotowy scenariusz na hollywoodzki film, w którym musiałyby się znaleźć związki z Polską: Einhorn napisał przedmowę do tajwańskiego wydania „Raportu" Witolda Pileckiego i przyczynił się do rozwoju relacji naszego kraju z Tajwanem.

Po raz pierwszy spotkałam dr. Einhorna w drugiej połowie lat 90. na Tajwanie. Przybyłam wtedy na wyspę na stypendium rządu tajwańskiego (była to grupa kilku studentów z Polski, którym po raz pierwszy w historii Tajwan przyznał stypendia na naukę języka chińskiego). Relacje wyspy z Polską dopiero się zaczynały i my, studenci, przecierając szlaki, wiedzieliśmy, że zawsze, gdy pojawiał się jakiś problem, mogliśmy udać się do biura dr. Einhorna. Siadał z nami, wysłuchiwał nas, wykonywał telefony i rozwiązywał różnego rodzaju biurokratyczne kłopoty, z jakimi się borykaliśmy.

Gdy po latach wróciłam na wyspę, spotykaliśmy się z dr. Einhornem na różnych oficjalnych przyjęciach i odwiedzaliśmy go z mężem w biurze, by złożyć życzenia z okazji jego kolejnych urodzin.

Zawsze też wiedziałam, że gdy brałam udział w organizowaniu jakiegoś wydarzenia promującego kulturę i historię Polski, to mogę liczyć na wsparcie dr. Einhorna.

Miał zawsze czas dla Polski

Tak było przy promocji filmu Andrzeja Wajdy „Katyń". Na specjalnym pokazie filmu, gdzie pojawili się tajwańscy celebryci, dziennikarze i politycy, nie mogło zabraknąć dr. Einhorna. To on zachęcał mnie, bym opowiedziała o Katyniu w tajwańskiej telewizji. I tak zrobiłam. W popularnym programie publicystycznym profesora Shieh Jhy-wei (dziś przedstawiciela Tajwanu w Niemczech) w stacji Formosa TV posłużyłam się analogią między zbrodnią katyńską a okresem terroru na Tajwanie. Starałam się mówić oczywiście z punktu widzenia Polki, ale także żony Tajwańczyka, którego ojciec był jedną z ofiar Białego Terroru*. Opowiedziałam o kłamstwie katyńskim, które według mnie można porównać do prób zupełnego przemilczenia przez Kuomintang wydarzeń z lat 1947–1989 na Tajwanie. Przypomniałam także, iż w Katyniu zginęła polska inteligencja – co było częścią planu Stalina. Podobnie sytuacja wyglądała na Tajwanie; Czang Kaj-szek za największych wrogów uważał tajwańskich inteligentów.

* Biały terror – okres od końca lat 40. do roku 1987, kiedy to zniesiony został na wyspie stan wojenny. Był to czas dyktatury Kuomintangu i Czang Kaj-szeka (a potem jego syna Chiang Ching-kuo), którzy pokonani przez komunistów w Chinach (na kontynencie) uciekli na Tajwan. Władza kuomintangowska brutalnie rozprawiała się z tymi, którzy ją krytykowali. Miały miejsce masowe aresztowania i egzekucje m.in. organizatorów protestów, studentów i przedstawicieli tajwańskiej elity.

FOT. AUTORA

eprasa.pl/c2ea528a8b

Wiem, że program, w którym nie pojawiłabym się, gdyby nie zachęta ze strony dr. Einhorna, spowodował, że ten tragiczny fragment naszej historii poznało wielu tajwańskich patriotów.

Przez lata, opiekując się polskim stoiskiem na Międzynarodowych Targach Książki w Tajpej (jednej z największych imprez wydawniczych na świecie), wiedziałam, że mogę liczyć na wsparcie dr. Einhorna. Mimo wielu zajęć znalazł czas, był wygłosić wykład na targach dla Tajwańczyków na temat Holocaustu. To wtedy mieszkańcy wyspy, wielu z nich po raz pierwszy, usłyszeli o japońskim Schindlerze, Chiune Sugiharze, dyplomacie z Kraju Kwitnącej Wiśni, który uratował życie przynajmniej 6 tys. Żydów, w tym także obywateli Rzeczypospolitej. Ale dzięki Einhornowi na Tajwanie dowiedziano się, że ta pomoc nie byłaby możliwa bez zaangażowania Polaków.

Wszystko zaczęło się w listopadzie 1939 roku, gdy Chiune Sugihara nawiązał kontakt z oficerem polskiego wywiadu Leszkiem Daszkiewiczem. Ich współpraca polegała na utworzeniu sprawnie działającej siatki wywiadowczej. Tej współpracy nie przerwało nawet wkroczenie na Litwę w czerwcu 1940 roku Armii Czerwonej. Z czasem Polaków i Japończyków połączyła także pomoc dla osób narodowości żydowskiej i ratowanie ludzi zagrożonych śmiercią.

Na prośbę polskiej placówki wywiadowczej Sugihara wywiózł w swoim bagażu dyplomatycznym dwa sztandary: jeden został wykonany w Wilnie jako dar społeczeństwa dla Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, a drugim był sztandar 81. Pułku Strzelców Grodzieńskich uratowany z kampanii wrześniowej.

Tajwańczycy słuchali wykładu Einhorna z ogromnym zainteresowaniem, a ja byłam dumna, że w trakcie niego padły przykłady bohaterstwa Polaków, przykłady podane przez Żyda, którego rodzina doświadczyła okrutności niemieckiej okupacji.

I jeszcze jeden przykład pomocy ze strony dr. Einhorna, o którym nie mogę nie wspomnieć. Gdy udało mi się zainteresować jednego z tajwańskich wydawców „Raportem" Witolda Pileckiego i zaczęliśmy się zastanawiać, kto mógłby napisać wstęp do tego pierwszego wydania książki po chińsku, znów zwróciłam się do dr. Einhorna. Od razu zgodził się wziąć udział w tym projekcie. Myślę, że przedmowa dr. Einhorna pozwoliła Tajwańczykom poczuć, że historia wyjątkowego polskiego żołnierza może być im bliska, bo są ludzie, którzy mieszkają na wyspie, a doświadczyli niemieckiego barbarzyństwa w okresie II wojny światowej – rodzice dr. Einhorna zginęli w obozie Sachsenhausen.

Publikacja „Raportu" była sukcesem – na Tajwanie książkę czterokrotnie dodrukowywano. Prezydent Tajwanu Tsai Ingwen, w wywiadzie dla jednej z największych gazet na wyspie „China Times", wymieniła „Raport" jako lekturę, która była dla niej inspirująca. Tsai stwierdziła, że poznając życiorys Pileckiego i widząc, jak komunistom nie udało się skazać polskiego herosa na zapomnienie, jeszcze lepiej zrozumiała, iż „przywracanie pamięci to ważna część procesu rozliczeń z przeszłością".

Wsparcie dla dwóch rodzących się demokracji

Nie byłoby tych sukcesów, a Tajwańczycy nie poznaliby głębiej naszej historii, gdyby nie zaangażowanie dr. Einhorna. Wspomniałam, że miał zawsze czas dla polskich studentów, ale można też śmiało powiedzieć, iż miał zawsze czas dla Polski, dla jej promocji na Tajwanie.

Doktora Einhorna można by też nazwać ojcem dyplomatycznych relacji polsko-tajwańskich. Wykorzystał swoje kontakty w Warszawie i w Tajpej, by pomóc w zbliżeniu obu państw. To przyniosło owoce.

W 1992 roku pomiędzy Ministerstwem Współpracy Gospodarczej z Zagranicą RP oraz Ministerstwem Spraw Zagranicznych Tajwanu podpisano umowę o utworzeniu biur przedstawicielskich w Tajpej i Warszawie. Placówka rozpoczęła swoją działalność w 1995 roku pod nazwą Warszawskie Biuro Handlowe w Tajpej**. Mało kto wie, ale gdy na wyspę przybył pierwszy przedstawiciel Polski i zanim jego biuro oficjalnie zaczęło działać, to korzystał z gościnności udzielonej mu właśnie przez dr. Einhorna. To z jego biura prowadził pierwsze organizacyjne działania.

Doktor Einhorn pomagał także w ustanowieniu relacji pomiędzy stolicami Tajwanu i Polski. Te działania zaowocowały podpisaniem umowy o ustanowieniu kontaktów Miast Siostrzanych między miastem Warszawą a miastem Tajpej.

Dla dr. Einhorna Polska i Tajwan w latach 90. to były dwie rozwijające się demokracje, które zasługiwały na wsparcie.

Biznesmen, republikanin, chodząca encyklopedia

Lata doświadczeń i pracy w wielu krajach, znajomość języków obcych (mówił po angielsku, hebrajsku, w jidysz, po węgiersku, włosku, francusku, znał łacinę i czytał po polsku) i międzynarodowe kontakty rzeczywiście czyniły z dr. Einhorna autorytet.

Urodził się w Wiedniu w 1918 roku. Jako młody człowiek przeniósł się do Wielkiej Brytanii – jego rodzice pozostali w Austrii, później zostali zamordowani przez niemieckich nazistów.

** Obecnie przedstawicielstwo nosi nazwę Biuro Polskie w Tajpej.

eprasa.pl c3ea528a8b

Po zdobyciu zarówno święceń rabinackich, jak i doktoratu z filozofii w nieistniejącej już londyńskiej jesziwie, Einhorn rozpoczął współpracę ze Światowym Kongresem Żydów, najpierw w Anglii, a później w Stanach Zjednoczonych, gdzie jednocześnie prowadził kilka kongregacji jako rabin od końca lat 40. do lat 50. XX wieku.

W 1944 roku dr Einhorn otrzymał wysokie odznaczenie z rąk Lady Clementine Churchill, żony premiera Sir Winstona Churchilla, jako wyraz uznania dla jego wybitnego zaangażowania humanitarnego w Czerwony Krzyż podczas II wojny światowej.

Po wojnie, już w USA, Einhorn podjął się tajnych misji do krajów Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu, aby pomagać mieszkającym tam mniejszościom żydowskim. Podczas jednej z takich misji w Iraku w 1951 roku podawał się za protestanckiego ministra, który miał zbadać sytuację grupy irackich Żydów, którzy mieli być torturowani. Einhorn chwalił się później misją w lokalnych gazetach w Detroit, gdzie pełnił wówczas funkcję rabina, mimo że nie był upoważniony do omawiania tego publicznie. Dla tych, którzy poznali dr. Einhorna, ta historia nie powinna być zadziwiająca. Einhorn miał, jak to określił jeden z jego znajomych, „pasję do promocji". Choć w przypadku misji na Bliskim Wschodzie nie była to cecha wskazana, to w przyszłości ta smykałka do PR i dyplomacji nieraz pomogła także Polsce i Tajwanowi.

W 1968 roku Einhorn założył World Trading Patent Corp. i otworzył biuro za żelazną kurtyną w Pradze, gdzie miał krewnych. Jednak jego aktywność nie podobała się komunistycznym władzom i w 1973 roku został wydalony z Czechosłowacji za działalność „niezgodną z interesami państwa".

W 1975 roku Einhorn przybył do Tajpej jako doradca finansowy kuwejckiej delegacji handlowej. I już na wyspie pozostał. Jego posługa jako rabina na początku nie była łatwa. Pracował wcześniej w krajach arabskich, co wzbudziło nieufność wśród lokalnych Żydów. Einhorn skupił się na pomocy potrzebującym. Wyciągnął za kaucją Żydów, którzy na wyspie trafili do więzienia, pomagał im rozwiązać problemy wizowe, a raz nawet pomógł zorganizować specjalny lot medyczny.

Do 2011 roku był jedynym rabinem na Tajwanie. Dziś Żydzi rezydujący na wyspie przyznają, że są mu wdzięczni, iż zbudował, choć nieliczną, ale silną społeczność utrzymującą tradycje.

Jako obywatel USA Einhorn założył na Tajwanie Klub Republikanów. Pamiętam jedną z naszych ostatnich rozmów jeszcze za prezydentury Donalda Trumpa. Doktor Einhorn cieszył się z niej i wierzył, że przyniesie dużo dobrego Polsce i Tajwanowi.

O Einhornie mówiło się, że jest chodzącą encyklopedią. Imponował wiedzą i niesamowitą pamięcią. Wierzył, że człowiek musi uczyć się całe życie, ale też lubił nauczać. Spotykał się z tajwańskimi studentami w szkołach i na uczelniach. „Najwspanialszą rzeczą na świecie jest, gdy słyszę, jak inni mówią mi: »Chcę się uczyć«" – twierdził.

Drzwi jego biura były zawsze otwarte dla ludzi, którzy mieli pytania filozoficzne lub religijne, a jego ogromna biblioteka – która według niego samego była największym zbiorem żydowskich książek w Azji – zawsze służyła innym. Ale były tam nie tylko pozycje żydowskie. Jedną z książek, która stamtąd trafiła w moje ręce, była „The Art of the Deal" (Sztuka robienia interesów) Donalda Trumpa. Było też kilka pozycji o Ronaldzie Reaganie i „Raport" Witolda Pileckiego (wydanie angielskie, a także chińskie).

Pod prąd

Doktor Einhorn potrafił budować relacje z wpływowymi ludźmi. Niejedna osoba mogłaby powiedzieć, że wydawało się, iż zna on każdego na Tajwanie, że wiele drzwi jest dla niego otwartych.

Ale potrafił też iść pod prąd. Miał bardzo dobre relacje z politykami Kuomintangu (KMT), partii rządzącej Tajwanem przez lata. Jednak nie bał się zrugać polityków tej formacji, gdy porównali prezydenta Chen Shuibiana***, z opozycyjnej do KMT partii DPP, do Hitlera. KMT przeprosiło za reklamę sugerującą to w mediach, ale Einhorn nie ustępował i sam grzmiał w tajwańskich mediach, że bezpośrednie przeprosiny należą się także demokratycznie wybranemu prezydentowi Chenowi. „Jestem do granic zniesmaczony. Zrobiono straszną rzecz. Porównywanie prawowitego prezydenta kraju lub kojarzenie go z potworem jest czymś, z czym bardzo trudno mi się pogodzić" – mówił w jednym z wywiadów.

Reagował także na pojawiające się jeszcze kilka lat temu w mediach na Tajwanie określenie „polskie obozy koncentracyjne". Za każdym razem, gdy widziałam takie określenie w publikacjach po chińsku, prosiłam o sprostowanie. Zawsze też mogłam liczyć, że do mediów z podobnym apelem zwróci się dr Einhorn. Ta kampania przyniosła owoce. Dziś już określenie „polskie obozy koncentracyjne" prawie nie pojawia się po chińsku na wyspie. Wielka zasługa w tym także rabina Einhorna.

Doktor Einhorn wierzył w Boga, w pracę nad sobą, wierzył w siłę ludzkich relacji. Ale wierzył też w Polskę i Tajwan. Będzie go naprawdę brakowało. ■

*** Tajwański prawnik, polityk, członek DPP, prezydent Tajwanu w latach 2000–2008.

eprasa.pl c3ea528a8b

Olga Doleśniak-Harczuk



Gadżety z wyborczego Berlina

26 września stolica Niemiec była jak rozgrzany do czerwoności piec. Duszna, jesienna aura, pewna nerwowość pomieszana z wesołością. Z jednej strony maraton z tysiącami amatorów biegu, z drugiej typowy berliński spleen, gdzie czarna muzyka miesza się z zapachem tureckiej piekarni. W muzeach oczywiście nie ma zasięgu, w księgarniach można nabyć wyciskarkę do cytryn w kształcie Angeli Merkel i kiełbaskowy zegar ścienny, na rachunek przyjdzie zaś poczekać nieco dłużej, ponieważ cyfryzacja utknęła na poziomie kieszonkowego kalkulatora. To wszystko ma swój urok, owszem. I ten Berlin tak sobie swoim leniwym rytmem płynął również w dzień wyborów, politycy gryźli palce z nerwów, berlińczycy świętowali, tańczyli na ulicach, biegali, i modlili się w podwórkowych kościołach spod znaku tęczy. A turyści krążyli po sklepikach w poszukiwaniu historycznych pamiątek po Angeli.

eprasa.pl c3ea528a8b

Księgarnia Bundestagu kojarzy się sztywno. Książki, przedruki, sprawozdania, długopisy z czarnym orłem i cały ten parlamentarny anturaż utrzymany w atmosferze cichego podziwu dla sprawności niemieckiej machiny. A jednak to nie do końca tak. Sztywno jest tylko na wejściu. Potem człowiek omiata wzrokiem milion książek o Angeli Merkel i gadżety wykorzystujące popularność pani kanclerz w sposób daleki od czołobitności. Znajdziemy tu książkę „Mutti nie zawiniła!", oczywiście z Merkel na okładce, podtytuł: „Popularne legendy i kolektywne nieporozumienia dotyczące Angeli Merkel, kryzysu migracyjnego i Europy", dalej przemowy pani kanclerz zebrane w zgrabny tom, biografia zatytułowana „Merkel – portret pewnej epoki", Angela w wydaniu obrazkowym, i to raczej nie dla najmłodszych, i jest jeszcze „Miss Merkel. Morderstwo w Uckermark", czyli powieść z żyłką kryminalną wzorowana zapewne na perypetiach uroczej Miss Marple. A dalej typowy objaw niemieckiego poczucia humoru – Merkel jako kaczka (w dwóch wariantach fryzowych) i jako wyciskarka do cytryn (wyjątkowo szpetny obiekt za całe 16 euro), niestety w asortymencie nie ma Merkel-niedźwiadka, ale to obiekt limitowany i dość drogi – blisko 190 euro za kawałek wytartego futerka, oczy z paciorków i głowę pani kanclerz bardziej niż misiową przypominającą lwią. Średnio udany gadżet, lecz amatorów nie brakuje. Tylko nie tu. Tutaj misie są zwyczajne, berlińskie, z magnesem na lodówkę, a akcent kiełbasiany, w Berlinie nieodzowny – to zegar z kukułką i zwisającymi na łańcuszkach bockwurstami. Znajdzie się i coś dla zapalonych antykapitalistów. Ceramiczna skarbonka będąca jednocześnie popiersiem Karola Marksa.

Pomaluj mnie, antynazistowsko

Marks jest zresztą wszędzie. Nie tylko w szacownej księgarni parlamentarnej. W muzeum historycznym, tuż przy Teatrze Gorkiego, można nabyć gumkę do ścierania w postaci miniaturowego „Kapitału", czerwony brodacz zostawił też ślady w księgarni SPD zlokalizowanej w słynnym „Willi Brandt Haus". Tam też wielbicielki kosmetyków z politycznym przekazem zaopatrzą się w wazelinowe pomadki antynazistowskie. Tak, coś takiego również wymyślono. Pomadki są opatrzone wizerunkiem bociana Heinara, socjaldemokratycznej maskotki, która „nie znosi nazistów". A nie znosi tych bardzo konkretnych nazistów z NPD i narodził się w głowach młodzieżówki SPD w 2006 roku na znak sprzeciwu wobec możliwych sukcesów tej partii w kolejnych wyborach do landtagu. Trochę dziwne, że Heinar nie został jakoś przemodelowany, w końcu to nie NPD, ale AfD stanowi dziś największe wyzwanie dla socjalistycznych młodzieżówek, a pocztówka z hasłem „Niemiecka kultura wiodąca" z kolażem przedstawiającym polityków AfD w staroświeckich strojach i pozach chyba nie załatwia sprawy. Dobrze, że przynajmniej w tej pierwszej księgarni nieopodal Reichstagu można kupić poradnik „Jak obchodzić się z AfD w parlamencie". Bez instrukcji byłoby znacznie trudniej wnosić do kolejnych komisji projekty wcześniej zgłoszone przez tych złych ludzi z AfD, lecz napisane mniej radykalnym językiem. Spryciarze!

Matka nielubiana i akcent polski w SPD

Socjaldemokraci co jakiś czas bardzo przeceniają książki. Tym razem padło na bestseller tygodnika „Der Spiegel" z 2013 roku pt. „Mutter Blamage". Skojarzenie z „Mutter Courage" Bertolda Brechta uprawnione, tyle że zamiast markietanki Fierling, z książki wychodzi kanclerz Merkel. Autor dzieła, Stephan Hebbel, od razu przechodzi do rzeczy – napis na okładce: „ Dlaczego naród nie potrzebuje Angeli Merkel i jej polityki". W tamtym czasie o Kanzleramt z żelazną Angelą walczył Peer Steinbrück, kto go jeszcze dziś poza politologami-hobbystami pamięta? Mało kto. Hebbel promował wtedy pomysł koalicji SPD z Linke i Zielonymi, czyli konstelację braną pod uwagę również w kampanii wyborczej 2021. Długie osiem lat czekał Stephan Hebbel na odejście chadeckiej kanclerz, jego marzenie ziściło się teraz, kiedy ważą się losy następnej koalicji, a CDU wije się jak piskorz pod gradem oskarżeń o nieudolność i mizerię wizerunkową. Taka to nowa wojna i współczesna markietanka Merkel. SPD wyceniła tę książkę na 1 euro. Na tyle samo, co pozycję Erica Gujera pt. „Koniec z hipokryzją. Niemcy są mocarstwem". Gujer, który w czasie upadku muru był korespondentem szwajcarskich mediów w Berlinie Wschodnim, w kilku zdaniach wyjaśnia, jak Angela Merkel, łagodząc nieco retorykę, miała pomóc przełknąć Warszawie gazowe interesy Gerharda Schrödera. Ciekawy punkt widzenia i bardzo szczery. Nie mniej szczery ton przybrał inny autor, Reinhold Vetter, zadający w 2008 roku dramatyczne pytanie: „Dokąd zmierza Polska? Trudne dziedzictwo Kaczyńskich". I tu uwaga, SPD wyceniło to dzieło na 5 euro, czyli za równowartość tej książki można kupić bestseller o „Matce blamaż" dla pięcioosobowej rodziny! I każdy dostanie własny egzemplarz, co wyeliminuje kłótnie i umili wszystkim domownikom długie jesienne wieczory. Co pisze Vetter? Podsumowuje lata 2005–2007, nazywając je „bolesną lekcją", a „rządy braci Kaczyńskich" nazywa „zagrożeniem dla demokracji pokrągłostołowej bez precedensu od czasu transformacji ustrojowej". Tyle szczerości za skromne 5 euro. Jedna trzecia ceny wyciskarki do cytryn w kształcie kanclerz Merkel. Niech żyją gadżety z partyjnych sklepików! ■

eprasa.pl c3ea528a8b

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Tajwan–Polska

Na początku września Polska przekazała Tajwanowi ponad 400 tys. szczepionek AstraZeneca.

Okres pandemii zaowocował bliską współpracą Warszawy z Tajpej w walce z koronawirusem. W pierwszej fazie pandemii to Tajwan podarował Polsce milion maseczek ochronnych, 5 tys. kombinezonów ochronnych oraz 20 tys. fartuchów chirurgicznych. Polska zaś pomogła tajwańskim studentom w powrocie do domu, współorganizując bezpośrednie rejsy z Warszawy do Tajpej specjalnie wyczarterowanym samolotem Polskich Linii Lotniczych LOT.

W walkę z koronawirusem na wyspie zaangażowanych jest też około tysiąca tajwańskich lekarzy wykształconych na polskich uczelniach medycznych.

Ale to właśnie podarunek szczepionek wywołał prawdziwą falę wdzięczności i większego zainteresowania Polską na Tajwanie. Były oficjalne podziękowania m.in. od prezydent Tajwanu, Tsai Ingwen, i premiera, Su Tseng-changa. W dniu, w którym szczepionki przybyły na wyspę, na jednym z najwyższych budynków świata, Taipei 101, znajdującym się w centrum stolicy Tajwanu, wyświetlono podziękowania dla Polski.

Sami Tajwańczycy pytali w internecie, a także polskie przedstawicielstwo na wyspie, jakie polskie produkty można kupić w ich kraju. Wspierając Made in Poland, chcieli podziękować Polsce za wsparcie w trudnym momencie.

Tajwan ma trudności z zakupem szczepionek m.in. ze względu na działania komunistycznych Chin. I tak na przykład w styczniu bieżącego roku Tajwan miał już podpisywać umowę na zakup 5 mln szczepionek Pfizera. Jednak niemiecki BioNTech w wyniku presji Pekinu wycofał się z umowy. BioNTech w Chinach współpracuje z Shanghai Fosun Pharmaceutical i to poprzez tę firmę Pekin doprowadził do zerwania umowy. Na zakup przez Tajwan szczepionek od niemieckiej firmy Pekin zgodził się kilka miesięcy później, gdy ustalono, że kupującymi będą prywatne firmy tajwańskie, a nie rząd na wyspie. Pierwsza dostawa Pfizera miała miejsce mniej więcej w tym samym czasie, gdy na wyspę trafiły szczepionki z Polski.

Do tej pory na wyspę dotarły szczepionki przekazane przez Japonię, USA, Litwę i Czechy. Szczepionki z Polski to trzecia co do wielkości donacja, jaką Tajwan otrzymał z zagranicy.

Zainteresowanie Polską w związku z podarowanymi szczepionkami bardzo dobrze wykorzystało nasze przedstawicielstwo na Tajwanie. Bartosz Ryś, p.o. dyrektora Polskiego Biura w Tajpej (oficjalna nazwa polskiej placówki), w udzielonym tajwańskim mediom wywiadzie zachęcał Tajwańczyków do większej współpracy gospodarczej i zaangażowania inwestycyjnego w Polsce, zwłaszcza w ramach Trójmorza. „Inicjatywa jest otwarta na państwa i przedsiębiorstwa, które podzielają te same podstawowe wartości i zasady" – przekonywał przedstawiciel Polski na Tajwanie.

Podarowanie Tajwanowi szczepionek przez Polskę nie było oficjalnie skomentowane przez Pekin. Jednak tajwańscy komentatorzy i analitycy wskazują, że pomoc ta nie była po myśli Komunistycznej Partii Chin. I nie było dziełem przypadku to, że po około dwóch godzinach po wylądowaniu na Tajwanie samolotu ze szczepionkami z Polski w strefie obrony powietrznej wyspy pojawiło się 19 myśliwców chińskich, w tym bombowców zdolnych do przenoszenia broni nuklearnej.

Chińskie samoloty w okolicy Tajwanu to element wojny psychologicznej mający wzbudzić strach i chaos wśród Tajwańczyków i działanie mające pokazać, że mimo rosnącego wsparcia dla Tajwanu na arenie międzynarodowej, to Pekin ma decydujący głos w kwestii sytuacji w Cieśninie Tajwańskiej.

eprasa.pl c3ea528a8b

Niemcy–Chiny

Berlińska organizacja pozarządowa Europejskie Centrum Praw Konstytucyjnych i Praw Człowieka (ECCHR) złożyła doniesienie o popełnieniu przestępstwa przez kilka niemieckich firm, ponieważ miały one czerpać korzyści z pracy przymusowej ujgurskich muzułmanów przetrzymywanych w obozach w Chinach. Według ECCHR znane marki, w tym sieci odzieżowe Hugo Boss i C&A, oraz sieci dyskontów Lidl, Aldi Nord i Aldi Sud są współwinne „bezpośrednio lub pośrednio" istnieniu systemu przymusowej pracy w chińskiej prowincji Xinjiang, a także winne „domniemanego współudziału w zbrodniach przeciwko ludzkości".

Niemieckie firmy zaprzeczają postawionym zarzutom. Grupa Aldi poinformowała, że sprawa dotyczy jej dostawcy Turpan Jinpin Knitting, u którego od końca 2019 roku firma nie dokonuje już zakupów. C&A twierdzi, że nie kupowała odzieży od dostawców z Xinjiangu i że nie pozyskiwała stamtąd ani włókna, ani tkanin. Hugo Boss również odrzucił zarzuty, twierdząc, że „przy produkcji naszych towarów przestrzegane są wartości i standardy oraz nie dochodzi do łamania prawa". Rzecznik Lidla w wypowiedzi dla Reutersa stwierdził, że zarzuty dotyczące firmy były „oparte na starych listach dostawców i odnoszą się do przeszłych zamówień lub okresów". Firma mówi, że prowadzi politykę „zero tolerancji" wobec pracy przymusowej i pracy dzieci, zobowiązując wykonawców w całym łańcuchu dostaw do przestrzegania norm społecznych.

„Niedopuszczalnym jest, aby europejskie rządy krytykowały Chiny za łamanie praw człowieka, a w tym czasie europejskie firmy czerpały korzyści z wyzysku ludności ujgurskiej. Najwyższy czas, aby osoby odpowiedzialne za to w tych firmach zostały pociągnięte do odpowiedzialności, jeśli potwierdzą się podejrzenia o pracę przymusową" – stwierdziła Miriam Saage-Maass, szefowa programu ECCHR ds. Biznesu i Praw Człowieka.

W lipcu bieżącego roku podobnymi wykroczeniami zachodnich firm w Xinjiangu zajęli się francuscy prokuratorzy. Wszczęli śledztwo w sprawie czterech firm odzieżowych podejrzanych o ukrywanie zbrodni przeciwko ludzkości w Xinjiangu. Sprawa dotyczy Uniqlo, Inditex (właściciela Zary), francuskiego SMCP i amerykańskiej firmy Skechers.

Chiny przez lata zaprzeczały, że stosują przemoc wobec Ujgurów w Xinjiangu, ale dowody zebrane m.in. przez USA i UE bezsprzecznie wskazują na to, że na terenie Chin znajduje się kilkaset (co najmniej 400 na terenie samego regionu Xinjiang) obozów pracy i obozów reedukacyjnych.

Według ONZ wiarygodne są doniesienia o milionie muzułmanów przetrzymywanych w obozach i przymusowo zatrudnionych w Xinjiangu.

Halmurat Harri Uyghur, chrześcijanin pochodzący z Xinjiangu, dziś już obywatel Finlandii i założyciel organizacji UyghurAid, w wypowiedzi dla „Nowego Państwa" mówi, że Ujgurzy nie tylko są ofiarami przymusowej pracy, lecz wręcz są poddani ludobójstwu. „Poprzez skomplikowany system biurokratyczny i system zarządzania dopuszcza się nieludzkiej zbrodni, która jest usystematyzowana i przeprowadzana przy użyciu nowoczesnych technologii. Sterylizacja ujgurskich kobiet, zabieranie ujgurskich dzieci rodzicom i wychowywanie ich w chińskiej kulturze i języku, przymusowe małżeństwa ujgurskich dziewcząt z Chińczykami itd. To jest bezkrwawe ludobójstwo".

Wietnam–Japonia

W wyniku obaw o rosnące wpływy militarne Chin, Japonia i Wietnam zacieśniają współpracę wojskową. 11 września bieżącego roku w czasie wizyty ministra obrony Japonii Nobuo Kishi w Hanoi oba kraje podpisały umowę podnoszącą ich partnerstwo w dziedzinie obrony „na nowy poziom". Japonia i Wietnam planują też pogłębienie więzi obronnych poprzez m.in. wielonarodowe wspólne ćwiczenia. Tokio zapowiada również przekazanie Wietnamowi sprzętu i technologii obronnych. Według japońskiego resortu obrony szczegóły dotyczące transferu konkretnego sprzętu, w tym okrętów wojennych, zostaną dopracowane w kolejnych rozmowach.

Wietnam to jedenasty kraj, z którym Japonia podpisała umowę o transferze sprzętu obronnego i technologii. Tokio chce poszerzyć współpracę wojskowa skoncentrowaną przez długie lata na relacjach ze Stanami Zjednoczonymi i podpisało podobne umowy m.in. z Wielką Brytanią, Australią, Filipinami i Indonezją.

Porozumienie japońsko-wietnamskie zawarto dwa tygodnie po tym, jak Wietnam odwiedziła wiceprezydent USA Kamala Harris, aby wzmocnić więzi z państwami Azji Południowo-Wschodniej. Podczas spotkań Harris zaoferowała Wietnamowi podniesienie sojuszu obu krajów do rangi partnerstwa strategicznego. Zapowiedziała też większą obecność amerykańskich okrętów na wietnamskich wodach, nowe inwestycje energetyczne, redukcję ceł na produkty rolne i wsparcie finansowe przy utylizacji niewybuchów pozostałych po wojnie wietnamskiej. Amerykańska wiceprezydent skrytykowała przypadki naruszania przez chińskie jednostki wód, które według prawa międzynarodowego podlegają jurysdykcji Wietnamu i innych państw regionu. ■

eprasa.pl c3ea528a8b



TŁUMACZENIE
Antoni Rybczyński

Kontrowersyjna „Zgoda”. 80 lat temu Londyn i Moskwa podzieliły Iran

Osiemdziesiąt lat temu, 25 sierpnia 1941 roku, rozpoczął się konflikt zbrojny między ZSRS i Wielką Brytanią z jednej strony a zajmującym neutralne stanowisko w II wojnie światowej Iranem, w efekcie czego Iran stracił na kilka lat niepodległość i był okupowany przez wojska sojuszniczych państw. O tych wydarzeniach być może zapomnieli już lub wolą nie wspominać i w Moskwie, i na Zachodzie. Jednak w samym Iranie tę wojnę wszyscy jeszcze pamiętają bardzo dobrze – pisze Aleksandr Gostew na łamach portalu Radio Swoboda. Artykuł został opublikowany 25 sierpnia.

eprasa.pl c3ea528a8b

W II wojnie światowej uczestniczyły 62 państwa ze wszystkich istniejących wtedy na świecie. Wojna toczyła się w Europie, Azji, Afryce oraz na wodach wszystkich oceanów. Jej historia, której władze rosyjskie z taką uwagą dziś się przyglądają, obfituje w wydarzenia zupełnie nieznane ogółowi społeczeństwa. Jednym z takich wydarzeń jest udział Iranu w II wojnie światowej. Przy czym jeśli na to spojrzeć, kierując się współczesnymi wyobrażeniami – najpierw był to udział w roli neutralnego państwa będącego ofiarą zewnętrznej agresji, a potem państw-marionetki wielkich mocarstw. „W Iranie tradycyjnie z bólem wspominają wydarzenia II wojny światowej, które w historycznej pamięci mieszkańców tego kraju nierozerwalnie wiążą się z okupacją przez sojuszników z antyhitlerowskiej koalicji, utratą państwowej suwerenności, głodem, smutą, groźbą terytorialnego rozpadu, a także przekształceniem Iranu w »grę planszową«, na której rozgrywały swoje szpiegowskie i wojenno-polityczne partie ZSRS, Wielka Brytania, USA i Niemcy, pozostawiając samym Irańczykom rolę statystów w ich własnym państwie" – podkreśla w rozmowie z Radiem Swoboda politolog i iranista Nikołaj Kożanow.

Dwie strefy wpływów

W sowieckiej i potem rosyjskiej historii wojskowej ta krótkotrwała wojna, tocząca się od 25 sierpnia do 17 września 1941 roku, nosi nazwę „Irańska Operacja", zaś na Zachodzie, w pierwszej kolejności w Wielkiej Brytanii, Operacja „Zgoda". W jej wyniku sojusznicy z antyhitlerowskiej koalicji, Związek Sowiecki i Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Północnej Irlandii (przy wsparciu wojsk swoich kolonii i dominiów, przede wszystkim Indii i Australii), odnosząc szybkie zwycięstwo, obalili i zmusili do abdykacji legalnego władcę, szacha Rezę Pahlawiego, którego podejrzewali o sympatię do Hitlera, oraz ustanowili pełną kontrolę nad całą infrastrukturą kraju. Północna część Iranu do maja 1946 roku była pod bezpośrednią okupacją wojsk sowieckich, zaś południowo-zachodnia – do marca 1946 roku – okupowana przez wojska brytyjskie i amerykańskie.

Głównym celem inwazji ogłoszonym oficjalnie było zwiększenie zaopatrzenia ZSRS dostawami wojskowymi poprzez terytorium irańskie w ramach programu lend-lease oraz zabezpieczenie irańskich złóż naftowych – wszystko to w związku z obawami, że w kraju rośnie wpływ agentów hitlerowskich Niemiec. Jednak Stalin, gdy podejmował decyzję o wkroczeniu do Iranu, z pewnością miał też inne przemyślenia. Dziś opublikowano niemało dokumentów świadczących, że on zawsze dążył do włączenia irańskiego Azerbejdżanu i tzw. Turkmeńskiego Stepu w skład ZSRS, a także doprowadzenia do władzy w Iranie lokalnych komunistów. Z kolei Wielka Brytania miała już wtedy niedawne smutne doświadczenie bardzo podobnego zbrojnego konfliktu w sąsiednim Iraku, w maju tegoż 1941 roku. Choć Królestwo Iraku od 1930 roku było formalnie niepodległym krajem, Londyn wciąż jeszcze w pełni kontrolował jego politykę i gospodarkę. Wiosną 1941 roku Wielka Brytania, w tym momencie samotnie przeciwstawiająca się Hitlerowi i jego sojusznikom okupującym całą Europę, znalazła się w bardzo trudnym położeniu – co też wykorzystali iraccy nacjonaliści, którzy wywołali w kwietniu antybrytyjskie powstanie. Szef nowego irackiego rządu Raszid Ali al-Kilani zwrócił się bezpośrednio do Niemiec i Włoch z prośbą o pomoc. Berlin i Rzym nawet zdążyły wysłać przez Turcję na północ Iraku, odpowiednio, 29 i 12 samolotów, ale sytuacji nie mogło to już zmienić. Brytyjczycy szybko pokonali powstańców irackich (Raszid Ali al-Kilani zdołał zbiec do Niemiec, gdzie został przyjęty przez Hitlera, uznającego go za szefa irackiego rządu na uchodźstwie). Jednak perspektywa przejścia całego lub choćby części Bliskiego i Środkowego Wschodu w sferę wpływów państw Osi bardzo mocno niepokoiła i Londyn, i od 22 czerwca 1941 roku Moskwę – wierzono, że coś podobnego może się wydarzyć w Iranie.

Zbrojna agresja i zaskoczony Teheran

Szachinszacha Iranu Rezę Pahlawiego, w młodości służącego w Perskiej Dywizji Kozackiej w armii carskiej Rosji i rządzącego Iranem od 1925 roku w wyniku przewrotu, który obalił poprzednio rządzącą dynastię Kadżarów, w tym czasie nienawidziła duża część własnych poddanych. Cieszył się opinią okrutnego „prozachodniego" despoty i tyrana, który zniósł odwieczne prawa (na przykład noszenia przez kobiety zasłony twarzy i burki) oraz wzmocnił władzę wielkich właścicieli ziemskich. Właśnie Reza Pahlawi w 1935 roku jako pierwszy w historii zwrócił się do ambasadorów innych państw, aby oficjalnie używali zamiast nazwy „Persja" terminu „Iran". W latach 30. pod jego rządami zacofa-

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl c3ea528a8b

ny Iran zaczął się stopniowo przekształcać w nowoczesny kraj ze zurbanizowanymi miastami, przemysłem i armią – choć sytuacja biedoty tylko się pogarszała. Jako że szach Pahlawi, podobnie jak wielu innych władców spoza Europy, nie do końca wtedy rozumiał, czym tak naprawdę są nazizm i faszyzm, jego państwo (jeszcze od początku XX wieku) rozwijało gospodarcze kontakty z Niemcami choćby dlatego, że Iran uważał, iż Berlin nie prowadzi tak agresywnej kolonialnej polityki jak Wielka Brytania i Imperium Rosyjskie, a potem ZSRS. Żądania koalicji antyhitlerowskiej – wydalić z Iranu niemieckich inżynierów, handlowców i dyplomatów – szach początkowo kilka raz odrzucił. W efekcie Londyn i Moskwa zaczęły zarzucać Teheranowi okazywanie pomocy III Rzeszy, nie chcąc zauważyć, że Iran ogłosił neutralność. Pod naciskiem sojuszników po wybuchu II wojny światowej Iran zaczął zrywać więzi z Niemcami – ale było za późno.

Zbrojna agresja zaskoczyła Teheran i była dla niego kompletnie nieoczekiwana. Przy czym oficjalnie wojny Iranowi nie wypowiedziały ani ZSRS, ani Wielka Brytania. Zaraz po rozpoczęciu Operacji „Zgoda" szach wezwał ambasadorów Wielkiej Brytanii i ZSRS i zażądał wyjaśnień, na jakiej podstawie żołnierze ich państw wtargnęli do jego kraju. Obaj ambasadorowie odpowiedzieli, że nastąpiło to z powodu „obecności przedstawicieli Niemiec w Iranie". Na pytanie Rezy Pahlawiego, czy interwencja będzie kontynuowana, jeśli on nakaże wydalenie Niemców, odpowiedzi nie było. Irańska armia, próbująca krótko przeciwstawiać się wojskom sowieckim i brytyjskim, które wtargnęły z północy, zachodu i południa, straciła w walkach co najmniej 800 wojskowych, a także niemal cały sprzęt wojskowy, samoloty i okręty. Straty Armii Czerwonej wyniosły 40 zabitych, 150 rannych i trzy stracone samoloty. U Brytyjczyków było 22 zabitych i 50 rannych. W tej wojnie były i bombardowania miast przez sowieckie i brytyjskie lotnictwo, i śmierć cywilów, i różne wojenne zbrodnie.

Do 29 sierpnia szach Reza Pahlawi faktycznie przestał rządzić swoim krajem. Przestrzeń powietrzna i większość terytorium Iranu wpadły w ręce aliantów. Wiele dużych miast, w tym Teheran, było coraz częściej celem nalotów. Sowieckie lotnictwo rozrzucało ulotki nad stolicą, w których zapowiadano dywanowe bombardowanie. Oficerowie i żołnierze irańskiej armii, której klęskę Reza Pahlawi uznał za szczególne poniżenie, masowo oddawali się do niewoli. Szach zbił laską dowodzącego wojskami lądowymi generała Ahmada Nahdżawana i chciał go osobiście zastrzelić na miejscu (skończyło się tylko na uwięzieniu po interwencji następcy tronu) – po czym wydał rozkaz zaprzestania jakiegokolwiek oporu. Bardzo szybko Brytyjczycy aresztowali Rezę Pahlawiego i jako jeńca wysłali do Afryki Południowej, gdzie zmarł w 1944 roku.

Nowym (i, jak się okazało, ostatnim) szachinszachem Iranu został ogłoszony jego syn, książę krwi Mohammed Reza Pahlawi, wyrażający gotowość współpracy z Wielką Brytanią i ZSRS. W 1942 roku podpisał z nimi umowę sojuszniczą. A 9 września 1943 roku Iran wypowiedział nazistowskim Niemcom wojnę. Umowa z 1942 roku określała też termin wyjścia obcych wojsk z Iranu. Zgodnie z nią, Wielka Brytania, ZSRS i USA powinny wyprowadzić wszystkich swoich wojskowych z kraju „w ciągu sześciu miesięcy po zakończeniu wojny". Kwestię wyprowadzenia wojsk z Iranu omawiano też na konferencji w Poczdamie, gdzie określono to w następujący sposób: „w ciągu sześciu miesięcy od momentu zakończenia wojny z Japonią". Do 1 stycznia 1946 roku Iran opuścili wszyscy Amerykanie. Wielka Brytania wyprowadziła swoje pododdziały do 2 marca 1946 roku. Jednak stalinowski ZSRS w ogóle nie zamierzał wypuszczać Iranu ze strefy swych wpływów. Stalin wyprowadził Armię Czerwoną z Iranu dopiero w maju 1946 roku – po wybuchu tzw. irańskiego kryzysu, czyli próbach stworzenia przez Kreml na północy Iranu marionetkowej samozwańczej socjalistycznej Demokratycznej Republiki Azerbejdżanu, groźbie ataku Teheranu przez sowieckie czołgi, złożeniu przez irański rząd w dopiero co powstałej Radzie Bezpieczeństwa ONZ pierwszego w historii tej organizacji oficjalnego oskarżenia ZSRS o agresję (co było jednym z pierwszych dowodów na wybuch zimnej wojny) oraz skrajnie ostrej reakcji i ostrzeżeń ze strony Zachodu.

Gorzki sens „zwycięstwa"

Jak wskazuje politolog Nikołaj Kożanow, rocznica początku Operacji „Zgoda" w historycznej pamięci irańskiego narodu, tak jak generalnie wydarzenia II wojny światowej, skłaniają do porównań z historią Persji na przełomie XIX i XX wieku, gdy słaba dynastia kadżarska faktycznie była zakładnikiem w globalnym sojuszu geopolitycznym Londynu i Sankt Petersburga, utraciwszy jakąkolwiek niezależność:

eprasa.pl c3ea528a8b

„W 1941 roku, nie bacząc na sukcesy w konsolidowaniu kraju i jego modernizacji, szachowi Rezie wyraźnie udowodniono, że los jego królestwa wciąż nie jest rozstrzygany w Teheranie. W efekcie tego to, co nam może się wydawać radosnymi symbolami Zwycięstwa – słynne zdjęcia »trójki liderów« w Teheranie lub opowiadania o parze sowieckich szpiegów Wartanianów, historia lend-lease – dla Irańczyków ma inny, gorzki sens. To symbole przedłużenia wielowiekowej tradycji klęsk zadawanych przez zewnętrzne siły. Oczywiście Irańczycy nie stawiają znaku zapytania przy cenie i wadze zwycięstwa nad nazizmem, zaś wyczyny ich ochotników w wojnie z Irakiem w latach 80. XX wieku często porównują z wytrwałością ludzi sowieckich w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, wiem to z własnego doświadczenia. Ale ówczesna utrata suwerenności, pod dosyć dyskusyjnym pretekstem »zapobieżenia działalności niemieckiej agentury«, nakłada się na dużo starszą i bolesną dla Irańczyków narrację o konieczności walki o niepodległość swego kraju z sąsiadami na przestrzeni wielu stuleci. Taka narracja zbiega się z jedną z kluczowych idei islamskiej rewolucji 1979 roku, która była nie tylko islamska, ale też antyimperialistyczna w szerokim tego słowa pojęciu, idei wyzwolenia Iranu od mieszania się w jego wewnętrzne sprawy przez siły zewnętrzne. Obecne irańskie władze, tak na marginesie, co jakiś czas wracają do pomysłu ponownej oceny działań sojuszników koalicji antyhitlerowskiej, widząc w tej okupacji jeszcze jedno źródło gospodarczych problemów i biedy po zakończeniu wojny. Przy tym kwestia strat i walki o niezależność w Iranie jest starsza od islamskiej rewolucyjnej ideologii i tkwi w Irańczykach dużo głębiej. Nic dziwnego, że niedawny postępek dwóch zagranicznych ambasadorów, rosyjskiego i brytyjskiego, na dodatek bezpośrednio przed 80. rocznicą inwazji, wywołał tak burzliwą reakcję, która objęła wszystkie warstwy irańskiej ludności, niezależnie od ich politycznych poglądów, a także niezależnie od stosunku do współczesnych Rosji czy Wielkiej Brytanii. Mówię o fotosesji zrobionej w sierpniu, naśladującej słynną fotografię Roosevelta, Stalina i Churchilla, na tych samych schodach sowieckiej ambasady w 1943 roku. Moim zdaniem, cała ta historia wyraźnie pokazała, że myślenie niektórych współczesnych dyplomatów i działaczy politycznych niespecjalnie zmieniło się od czasów »imperialistycznych aneksji i kontrybucji«. Jeśli jednak w Londynie po prostu starali się nie zauważyć tego skandalu, to późniejsza reakcja Moskwy (zarówno dyplomatów, jak i niektórych »intelektualistów«) po prostu mnie szokuje. Za niezdarnymi wymówkami, że »oddaliśmy hołd czasom sojuszniczym« (zaprosilibyście więc nowego prezydenta Ibrahima Raisi i pojechalibyście z nim na przejścia graniczne, którymi przewożono dostawy lend-lease do ZSRS w tym czasie!), zaczęły pojawiać się artykuły pracowników niektórych »dworskich« instytucji kremlowskich, którzy niemal otwarcie wzywają Iran do przeprosin za ostrą reakcję na zachowanie szefa rosyjskiej misji dyplomatycznej i przypominają Teheranowi o znaczeniu Moskwy jako »obrońcy przed machinacjami Waszyngtonu«. Ci, którzy lubią płakać nad czasami, kiedy rosyjski car mógł za jednym zamachem »wysłać widzów w szarych szynelach do Paryża«, by zmienić repertuar francuskiego teatru, zapominają, jak to może wrócić, by dziś straszyć w trudnym momencie. Wydaje się, że to naprawdę, nie żartując, rosyjska dyplomacja, słynąca z rzekomo doskonałych tradycji znajomości Wschodu, popełniła teraz głupi i denerwujący błąd – chcąc zasiąść na miejscu Stalina. Chociaż nie można było nie wiedzieć, do czego to doprowadzi ”. ■

Zbrojna agresja zaskoczyła Teheran i była dla niego kompletnie nieoczekiwana. Przy czym oficjalnie wojny Iranowi nie wypowiedziały ani ZSRS, ani Wielka Brytania.

_____

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP”.

eprasa.pl c3ea528a8b



Marcin Wolski

KLĄTWA SMOLEŃSKA

Przed laty napisałem tekst pt. „Smoleńsk – miejsce przeklęte", opowiadając o mocach zła związanych z tym miejscem, tak tragicznym dla Polaków. Pominąłem jeden aspekt – implikacji na przyszłość. Klątwa smoleńska trwa i obecnie rzuca się głębokim cieniem na możliwości uprawiania przez nasz kraj polityki zagranicznej, w której bowiem podstawową rolkę odgrywają nie iluzoryczne przyjaźnie, lecz twarde, realne interesy Niewyjaśniona zbrodnia, w której głównym podejrzanym są władze ościennego mocarstwa, jest podstawową przeszkodą prowadzenia racjonalnej polityki, polegającej na możliwości wielu opcji, balansowania, a w pewnych sytuacjach porozumiewania się nawet z historycznym wrogiem. Ma takie możliwości Orban i je wykorzystuje. My nie możemy nawet rozważać takiej opcji, przynajmniej dopóki Rosją rządzą ci sami ludzie co przed jedenastu laty. I mamy, co mamy!

Od chwili, gdy zmieniła się radykalnie administracja w Waszyngtonie, nie mamy specjalnej alternatywy od tego, co proponuje totalna opozycje – podporządkować się bez reszty Unii, zrezygnować z ambicji, również gospodarczych, rzucić białą flagę podszytą tęczową podszewką w kwestiach obyczajowych i cieszyć się, że przynajmniej pozwolą mówić nam po polsku. Bo co pozostaje, szukać przyjaciół (jeśli do wyboru mamy takich jak Czesi, to gratuluję!), budować własną siłę i grać na czas. Być może jeśli nastanie nowy car, który zda sobie sprawę, że ZSRS odbudować się nie da, a wyludniająca się stacja benzynowa będzie stanowić coraz większą pokusę dla imperialnych Chin i trzeba będzie zrewidować stosunek do zachodnich sąsiadów...? Tyle że to cięgle przyszłość. Oczywiście w realny sojusz z Rosją, nawet bardziej demokratyczną, nie wierzę, ale przynajmniej w paru kwestiach można by się dogadać – na przykład w sprawie wsparcia tradycji chrześcijańskiej (nawet jeśli nawrócenie naszego sąsiada jest tylko na pokaz) czy na gruncie obrony tradycyjnej rodziny, obyczaju czy wreszcie kultury. Cokolwiek by mówić, nawet bolszewicy nie niszczyli tak gorliwie dorobku cywilizacji białego człowieka jak lewicowcy z Zachodu, którzy niczym talibowie pałają nienawiścią do przeszłości. Jaka to różnica niszczyć pomniki Buddy czy Ojców Założycieli demokracji amerykańskiej?

Kiedyś ideą fixe rosyjskich ideologów był „panslawizm", w którym Polacy stanowili główną przeszkodę, rozumieli bowiem, że dla imperium sowieckiego to prosty środek do hegemonii i rusyfikacji. Ale czasy się zmieniają i łatwo policzyć, że dziś dokonując podsumowania, więcej jest nas Słowian nierosyjskojęzycznych niż Wielkorusów. Czy jest szansa na równopartnerstwo? W historii nigdy nie powinno mówić się nigdy. A klątwy też nie trwają wiecznie. Gdańsk, miasto, od którego zaczęła się najstraszliwsza z wojen, stał się kolebką ruchu Solidarności, co zadziwiło świat. Kataklizm „rewolucji kulturalnej", wydawałoby się pogrążający Chiny w odmęty niespotykanego od tysiącleci barbarzyństwa, pomógł im w szybkim przekształceniu się w nowoczesne mocarstwo. Skuteczne, bo niedemokratyczne.

Czy porozumienie naszego Międzymorza z Rosją mogłoby w przyszłości stać się alternatywą dla upadającego na naszych oczach Zachodu? Zaiste byłby to chichot historii, ale nie zapominajmy, że Bizancjum przetrwało Rzym o tysiąc lat...

Czy porozumienie naszego Międzymorza z Rosją mogłoby w przyszłości stać się alternatywą dla upadającego na naszych oczach Zachodu? Zaiste byłby to chichot historii, ale nie zapominajmy, że Bizancjum przetrwało Rzym o tysiąc lat...

Zostawiając jednak takie perspektywy naszym dzieciom i wnukom, dodam tylko, że dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby „Trzecim Rzymem" został na przykład Kraków! ■

eprasa.pl c3ea528a8b

Tomasz Sakiewicz

Dlaczego PO jest tak agresywna

Skala niesamowitej agresji w polityce już nieraz nas zaskoczyła. Grzeszą nią różni przedstawiciele życia publicznego, ale jest jedna partia, która z niewiadomych przyczyn przyjęła takie zachowanie za metodę. Dzieje się tak od wyborów w 2005 roku. Przegrana Donalda Tuska w wyborach prezydenckich (16 lat temu) z Lechem Kaczyńskim była dla niego istnym upokorzeniem. Porażka nastąpiła mimo sondaży, które dawały mu pewne zwycięstwo. Potem jeszcze, wbrew wszelkim przypuszczeniom, udało się utworzyć koalicję z Samoobroną i LPR. To przelało czarę goryczy. Elity III RP poczuły się odstawione do kąta. Podobno pomysł na agresywny atak na obóz władzy padł ze strony znanej psycholog społecznej. Nie da się wykluczyć, że tak było, ale to, co się działo, bardziej oddawało nastroje w obozie elit III RP niż realną kalkulację polityczną. Od czasu rządu Jana Olszewskiego nie było tak zdecydowanie prawicowej i antykomunistycznej władzy. Legitymacja do rządzenia w ramach pewnej kasty została mocno podważona. Kontratak nastąpił nie tylko na polityków, lecz także na wyborców. Elektorat prawicowy próbowano poniżyć i przede wszystkim zastraszyć. Władze PO uwierzyły, że taka polityka jest skuteczna. Jest to jednak bardzo wątpliwe. PiS rzeczywiście przegrał wybory w 2007 roku. Nie miało to wiele wspólnego z taktyką przeciwnika. Partia Kaczyńskiego nie zdołała utrzymać koalicji głównie dlatego, że zachowania jej partnerów politycznych były faktycznie i wizerunkowo sprzeczne z tym, co głosili zwolennicy PiS. W wyborach jednak ewidentnie Kaczyński poprawił wynik swojego ugrupowania. Tym razem jednak nie było koalicjantów, którzy przepadli z kretesem i na własne życzenie. Gdyby PiS miał jakąkolwiek alternatywę, utworzyłby większość rządową, ale takiej możliwości nie było. Wyborów prezydenckich w 2010 roku nie można analizować w zwykłych kategoriach, na pewno to, co wyrabiał sztab, który miał pracować dla Jarosława Kaczyńskiego, było pod prąd nastrojów społecznych. Nic dziwnego, że wielu jego członków wkrótce znalazło się po drugiej stronie barykady. Ostatecznym dowodem na skuteczność polityki agresji mogły być wybory parlamentarne w 2011 roku, ale właśnie wtedy Tusk ogłosił politykę „miłości", zaprzeczając temu, co robił przez ostatnie lata, a winą za powstałą skalę emocji obarczano Palikota i PiS. Już wtedy Tusk musiał zdawać sobie sprawę, że agresja nie daje dobrych rezultatów. Zresztą PO – gdyby uczciwie policzyć głosy – pewnie i tak miałaby problem z rządzeniem.

Dlaczego więc Tusk powrócił do polityki, którą sam uznał za nieskuteczną? Trzeba chyba zrozumieć, jak dalece zmieniła się sytuacja. PiS, nawet dla wielu niezdecydowanych wyborców, przestał być partią egzotyczną. Jeżeli jacyś wyborcy nie przepadają za PiS-em, to i tak muszą odnosić się do programu i realizowanych celów. One są w wielu sprawach ludziom bardzo bliskie. Z wyborów na wybory elektorat PiS-u po prostu rośnie.

STRACH PRZED UZNANIEM PIS-U ZA NORMALNĄ PARTIĘ MUSI BYĆ TAK WIELKI, ŻEBY NIKT NAWET O TYM NIE POMYŚLAŁ. WIĄŻE SIĘ TO NIE TYLKO Z FALĄ WYZWISK I AGRESJI, CZĘSTO JUŻ NIESTETY BLISKIEJ PRZEMOCY, LECZ TAKŻE Z KOMICZNYMI SYTUACJAMI, JAK OSTRACYZM W SYTUACJACH TOWARZYSKICH.

Zatrzymać ten proces mogą tylko rozgrzane na nowo emocje. Tak przynajmniej oceniono w sztabie Tuska. Strach przed uznaniem PiS-u za normalną partię musi być tak wielki, żeby nikt nawet o tym nie pomyślał. Wiąże się to nie tylko z falą wyzwisk i agresji, często już niestety bliskiej przemocy, lecz także z komicznymi sytuacjami, jak ostracyzm w sytuacjach towarzyskich. Urodziny Roberta Mazurka były istnym testem dla nowej polityki Tuska. Ponieważ zacietrzewienie i agresja mądrze nie wyglądają, to wyszło, jak widzieliśmy. ■

eprasa.pl c3ea528a8b







Najlepsi wracają do gry



4K

Dekoder polsat box | 4K

Wybierz ofertę TV **od 30 zł/mies.**
z nowym dekoderem 4K
i dobieraj pakiety sportowe



polsat box

Wybierz swoje wszystko

TV satelitarna TV kablowa IPTV

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl Oferta ważna na dzień 23.09.2021 r. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.

eprasa.pl